

Margit Sandemo

NA RATUNEK

Saga o Królestwie Światła 17

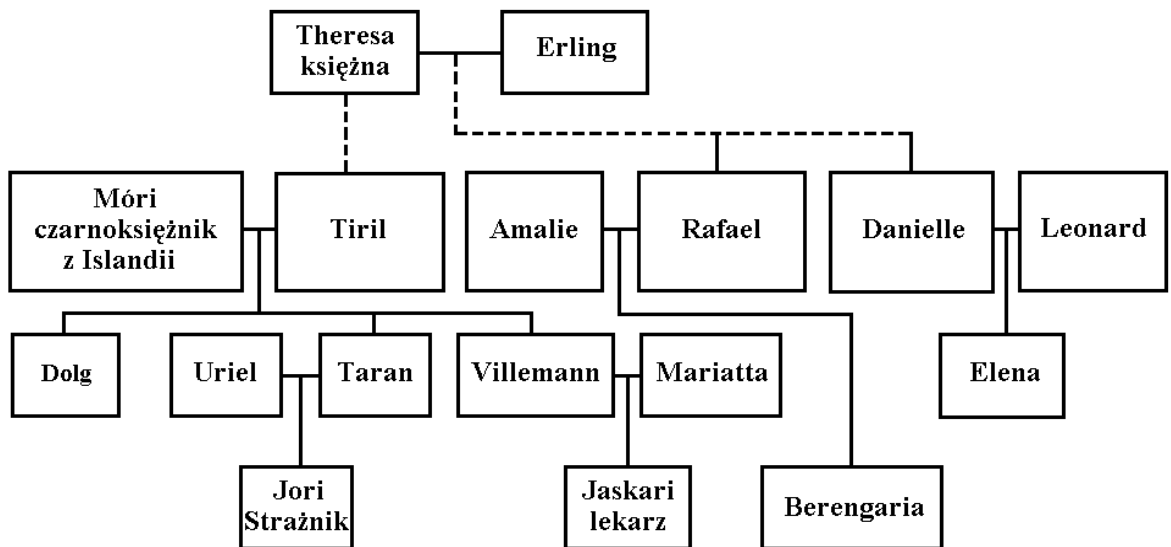
Z norweskiego przełożyła

ANNA MARCINIAKÓWNA

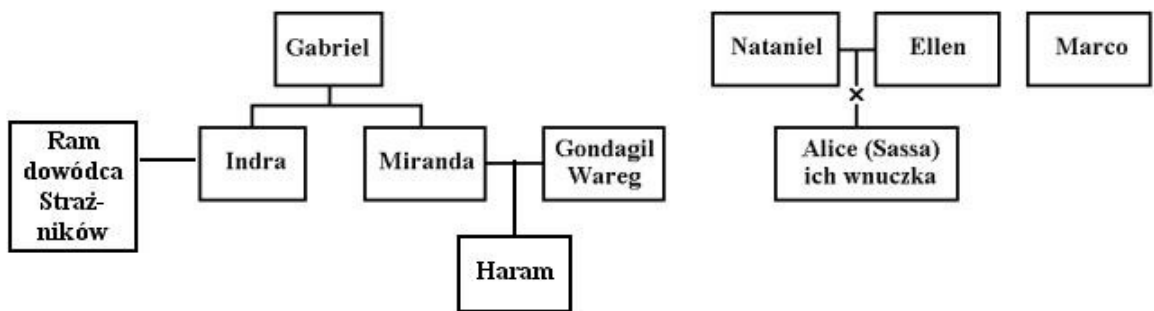
POL - NORDICA

Otwock

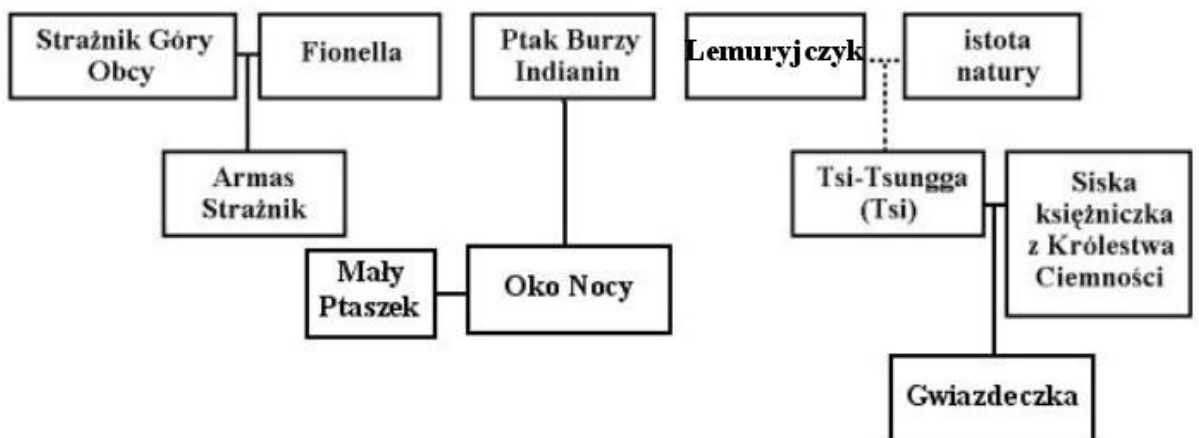
RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA



LUDZIE LODU



INNI



Ram, najwyższy dowódca Strażników

Inni Strażnicy: Rok, Tell, Kiro, Goram

Faron, potężny Obcy

Oriana i Thomas

Lilja, młoda dziewczyna

Paula i Helge, Wareg

Misa, Tam, Chor, Tich i mała Kata, Madragowie

Geri i Freki, dwa wilki

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie wywodzący się z rozmaitych epok, tajemniczy Obcy, Lemuryjczycy, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyją Atlantydzi, a w Królestwie Ciemności - znane i nieznanne plemiona.

Wnętrze Ziemi
(jedna połowa)



STRESZCZENIE

Królestwo Światła położone jest w centrum wnętrza Ziemi. Oświetla je i ogrzewa Święte Słońce.

Obcy, Lemuryjczycy, Madragowie oraz część mieszkających w Królestwie Światła ludzi zdołali stworzyć eliksir będący w stanie usunąć wszelkie zło z ludzkich serc. Mają oni wielki cel: stworzyć trwały pokój na Ziemi i uratować planetę Tellus przed unicestwieniem.

„Czas” to w Królestwie Światła jedynie słowo bez znaczenia, ale w świecie zewnętrznym jest już rok 2080.

CZĘŚĆ PIERWSZA

WSPINACZKA

1

Nieliczna grupka wędrowców z Królestwa Światła wybierała się na powierzchnię Ziemi. Wszystko zostało już przygotowane do tej największej, ostatniej ekspedycji. Obawiano się bowiem, że bez pomocy Ziemi czeka wyrok śmierci. Żądza zysku doprowadziła nawet do poważnych zmian klimatycznych na planecie, wszędzie panuje korupcja i mafie. Przeludnienie oraz pandemie, czyli epidemie ogarniające cały świat, stały się ogromnym problemem, chociaż można by sądzić, że jedno wyeliminuje drugie: potężne epidemie zmniejszą zaludnienie, a przy mniejszym zaludnieniu epidemie nie będą się tak bardzo rozprzestrzeniać. Nikt jednak nie odnosił się do tego aż tak cynicznie. Kolejne nieustanne zagrożenie to lekkomyślność w odniesieniu do energii atomowej, w dodatku do Ziemi zbliżają się wielkie roje meteorytów i grozi jej wiele innych katastrof.

Nic z tych rzeczy nie znalazło się, rzecz jasna, w programie „zbawców świata”, oni mieli się koncentrować na oczyszczeniu ponurych i pozbawionych litości charakterów ludzi. A że szeptem powtarzano sobie, iż Marco, Móri i Dolg mają jeszcze znacznie większe zadania do spełnienia, to już całkiem inna sprawa.

Najpierw serca ludzi!

Zresztą już samo to nie należało do najłatwiejszych. Jak bowiem rozpylić niezwykłą substancję Madragów nad tak ogromnym terytorium, i to w taki sposób, by każdy człowiek, absolutnie każdy, wchłonął przynajmniej kilka kropli? Jak dotrzeć do każdej jednostki na wszystkich kontynentach?

To był od dawna wielki problem Madragów. Teraz zdawało się, że został rozwiązany. Być może.

Dwaj Obcy, Faron i Erion, patrzyli, jak uzbrojeni po zęby wysłannicy Królestwa Światła, pełni zapału, w nastroju krucjaty wstępowali na pokłady gondoli, które miały ich przewieźć do bazy startowej.

- Tak patrzę na Joriego i Sassę - powiedział Erion w zamyśleniu. - Czy oni nie są za młodzi na tę wyprawę?

- Jori jest w wieku pozostałych - odparł Faron. - Sprawia wrażenie niedojrzałego, ale to nieprawda. A Sassę też trzeba już uważać za osobę dorosłą. Znakomicie radziła sobie w Górach Czarnych, jest więc zaprawiona w bojach. Zresztą daliśmy im najłatwiejsze zadanie. Powierzylimy im odpowiedzialność za stosunkowo spokojne części Ameryki Południowej: Urugwaj, Chile i Argentynę aż do Ziemi Ognistej. Dotychczas nie było tam żadnych problemów.

Umilkli obaj. Byli niewiarygodnie przystojni i pociągający na swój osobliwy sposób, jak to Obcy, stali jeszcze długo i patrzyli, jak ostatni uczestnicy wyprawy wchodzi na pokład.

W końcu Erion powiedział:

- Ktoś musi się przecież podjąć innych obowiązków.

- To się samo ułoży - uciął Faron. - To akurat ostatnia sprawa. - Po chwili westchnął. - Bardzo mi się nie podoba, że musiałem ich zostawić własnemu losowi na powierzchni Ziemi. Powinienem być z nimi, martwię się o wszystkich.

Erion spojrzał na niego spod oka.

- A zwłaszcza o kogoś jednego?

Faron zbył tę uwagę.

- Nie mogliśmy się jednak tam wyprawić, żaden z nas. Jesteśmy zbyt egzotyczni, zbyt się różnimy...

- No właśnie, ale na szczęście, w razie czego, mamy z nimi kontakt radiowy.

- Dobrze i to - powiedział Faron głucho.

Żaden z nich nie wiedział, że miejsce, do którego właśnie wysłali Sassę i Joriego, najbardziej ze wszystkiego przypomina gniazdo os.

W bazie startowej grupa musiała się rozdzielić. Uczestnicy w mniejszych zespołach udawali się w różnych kierunkach, lecieli więc w różnych rakietach, prowadzonych przez Strażników. Wszyscy siedzieli w milczeniu, spięci, czuli, jak

pędzące rakiety wbijają ich w fotele, gdy ze świstem mknęły w stronę ziemskiej skorupy. Każde z nich pragnęło w duchu pozostać razem z innymi, jak zawsze, teraz zostali samotni, nagle opuszczeni, pozostawieni własnemu losowi i przerażeni tym, co ich czeka u kresu podróży. Wszyscy wbili sobie dobrze do głów wszelkie instrukcje, ale przecież wiele może się zmienić albo pójść nie tak jak trzeba.

Tak strasznie mało wiedzieli.

Kiedy jednak już znaleźli się w rejonach, gdzie mieli pracować, wszyscy doznali tego samego uczucia. Ogromnie zdumieni wydali niemal jednobrzmiący okrzyk: - Jak mało zniszczony jest ten świat! Oczekiwaliśmy raczej wyschłej, martwej ziemi i cywilizacji w ruinie!

Strażnicy przyjmowali to z uśmiechem:

- Oglądaliście za dużo filmów science fiction w rodzaju „Mad Max” i temu podobnych. Musicie też pamiętać, że lądujemy w stosunkowo rzadko zaludnionych miejscach, gdzie naturę przeważnie pozostawiono w spokoju. Przeważnie... bo dostrzegamy jedynie powierzchnię zjawisk i lepiej nie wiedzieć, jak jest naprawdę. W innych rejonach zniszczenia są znacznie większe. No cóż, pozostaje nam życzyć wam powodzenia!

W chwilę później wysłannicy zostali sami w obcym świecie.

Tych, którzy nigdy nie byli na powierzchni, zdumiewało wszystko. Błękitne niebo. Wiatr. Wegetacja. Księżyc i gwiazdy, kiedy nastąpiła noc. Mróz w jednych okolicach, upały w innych.

Piękno.

Nie przypuszczali, że świat zewnętrzny ma do zaoferowania tyle niewiarygodnej urody. Były widoki wywołujące w patrzących ból, jakiś niewytłumaczalny smutek. Jakby planeta już teraz została pozbawiona ludzi i zwierząt, pusta i wymarła krążyła w gwiazdnej przestrzeni, choć to już nikomu na nic się nie zda.

Wiedzieli jednak, że przynajmniej ludzi można jeszcze na Ziemi spotkać, i to całkiem sporo. Ludzi dobrych i ludzi złych. To właśnie złymi polecono im się zająć.

Przemienić ich w wartościowe jednostki.

Nie jest to łatwe zadanie, o, nie!

Jori i Sassa zostali wysadzeni nad fantastycznie pięknym niedużym jeziorkiem w Andach, na terenie Argentyny, w tak zwanej Srebrnej Krainie. Przez chwilę stali oboje bez słowa i podziwiali nowy dla siebie widok.

Mam czuć się dumny czy raczej upokorzony? zastanawiał się Jori. Dlaczego mnie zawsze powierzają zadania razem z Sassą? Czy nie wart jestem tego, by pracować z dorosłymi, czy też dlatego, że w tej parze ja jestem dorosły i silny, a ona może mnie podziwiać?

Bogowie jednak raczą wiedzieć, czy Sassa rzeczywiście mnie podziwia.

Sassa również się nie odzywała. Zresztą nie mogła mu powiedzieć, że prosiła o wysłanie jej z Jorim, bo na pewno by się na nią rozgniewał.

- Chodź, praca czeka - rzekł w końcu Jori krótko.

2

Niesłuchanie barwne budynki otaczały patio, gdzie na wygodnym leżaku wypoczywała Altea, starannie ukryta przed ciekawskimi spojrzeniami, a także przed piekącym słońcem, które mogłoby jej zaszkodzić. Liczne w tej posiadłości baseny mieniły się lazurowo. Dziewczyna słyszała cichy plusk, służący czyścił za pomocą gumowego węża któryś z nich, bo pewnie spadł na wodę jakiś liść i zakłócał perfekcyjny widok.

Altea - nosiła imię, będące nazwą pewnego gatunku róż - bardzo cierpiała.

Nienawidziła tego życia, uważała, że zamknięto ją w luksusowym więzieniu.

Nienawidziła tych wszystkich strażników patrolujących ogromną posiadłość, dość miała goryli z pistoletami pod płóciennymi marynarkami, tych rosnących osiłek o ciemnych oczach, które ją łapczywie obserwowały, sądząc, że nikt ich nie widzi.

Altea w tajemnicy pisała powieść. Jakże inaczej czas mógłby płynąć w jej pięknym piekle? Ale nie miała wprawy w pisaniu książek. Nie, Altea nie była pisarką.

Nudzila się po prostu śmiertelnie i musiała czymś zająć umysł.

Wygladziła cieniuteńką sukienkę i westchnęła. Wszystko jest takie przesadnie

luksusowe w tym tak zwanym raj. Jakieś wysokie, egzotyczne drzewa, które miejscowi służący nazywają gwiazdami wigilijnymi, krzewy hibiscusa inaczej zwanego różą hawajską, bijący w oczy kwiatowy przepych gdzie tylko spojrzeć. Niskie budynki zaprojektowane wyraźnie pod wpływem architektury hiszpańskiej, rozrzucone z pozoru bezładnie, w gruncie rzeczy jednak w bardzo przemyślany sposób, nikną wśród roślinności. Rozległe artia, fontanny, białe ściany z wapienia, pośród bujnych ogrodów. Wszystko oszałamiająco harmonijne.

Ale w tym ziemskim raj. brakowało harmonii. Harmonii ducha.

Altea ponad wszystko tęskniła, żeby stąd wyjść. Niestety, za murami rozciąga się spalona słońcem pustynia, martwa ziemia, gdzie mogą przeżyć jedynie kaktusy i jaszczurki. Z tyłu za hacjendą wznoszą się potężne góry, Andy, z kopalniami soli oraz kaktusowymi lasami w dolinach i pośród skał, a wysoko ponad wymarłym krajobrazem i pokrytymi śniegiem szczytami wciąż krzyczą kondory.

Za bramą natomiast leży ta straszna pustynia ciągnąca się aż do Oceanu Spokojnego. Świadomość, że na wybrzeżu oceanu, nie tak znowu daleko stąd, znajduje się wielkie miasto, nie dawała dziewczynie spokoju, wabiła i przyciągała. Nigdy jednak biedna Altea tam nie bywała.

Była podwójnie związana z tą ogromną, pełną przepychu posiadłością.

Mimo woli wyciągnęła rękę, by sprawdzić, czy lekarstwa są w zasięgu wzroku.

Serce Altei nie funkcjonuje jak trzeba. Urodziła się jako blue baby, z otworem w ścianie między komorami serca, a kolejne ciężkie operacje nie przyniosły poprawy. Chociaż bowiem jej rodzice powierzali ją opiece najlepszych na świecie lekarzy, to po prostu w tych czasach nie było już prawdziwych, „najlepszych na świecie” fachowców.

Postarali się o to ludzie pokroju jej ojczyma.

Ale nie, Altea nie była aż tak obłożnie chora, by nie mogła pędzić jako tako normalnego życia, musiała tylko unikać większych wysiłków, a zwłaszcza głębokich przeżyć i szoków.

Tu przecież nic takiego jej nie groziło, tu nie było żadnych niebezpieczeństw, bo

tutaj po prostu nic się nie działo!

Jak, na miłość boską, jej matka mogła wyjść za mąż za Jacka Lomana?

Ona, taka piękna! Jedna z najwspanialszych kobiet z towarzystwa mogła dostać każdego mężczyznę.

O swoim prawdziwym ojcu Altea zachowała jedynie najlepsze wspomnienia.

Umarł nagle, córka nigdy nie dowiedziała się, w jaki sposób. O takich sprawach się nie rozmawia. Matka i ona żyły samotnie tylko kilka miesięcy, po czym matka ponownie wyszła za mąż. Za tego Jacka Lomana, prawdopodobnie najbogatszego człowieka na świecie.

Jak nazywał się dawniej, nie wiadomo. Był Europejczykiem, należał do najbardziej ciemnych typów pod słońcem. Nigdy nikomu nie mówił, z jakiego kraju pochodzi, wspinał się po prostu coraz wyżej po szczeblach społecznych, nie ulega wątpliwości, że piał się w górę po trupach. Dlaczego ukrył się tutaj, w tych bezludnych okolicach Chile, było dla Altei tajemnicą. Widocznie jednak miał swoje powody.

Naprawdę starała się go polubić ze względu na matkę, ale sprawa okazała się zbyt trudna. Nienawidziła zapachu jego wody po goleniu, jego zrośniętych, krzaczastych brwi, jego sonej pod zarostem skóry i tych wszystkich złotych łańcuchów, w które wplątywały się gęste, czarne włosy na jego piersi - po domu uwielbiał obnosić nagi tors. Był owłosiony na plecach i na ramionach, co samo w sobie nie jest niczym złym, powinien jednak bardziej dbać o figurę. Kiedy chodził, wciągał brzuch i wydawało mu się pewnie, że wygląda jak atleta. Na nic się jednak nie zdadzą tego rodzaju zabiegi, jeśli się ma taki jak on byczy kark i zwały tłuszczu na biodrach.

Nie, uff, już od trzech lat musiała znosić ojczyzma, to powinno wystarczyć, teraz chciałaby się stąd wyrwać za wszelką cenę.

Altea skończyła szesnaście lat i zaczęła dostrzegać, że na świecie istnieją również chłopcy.

Tu jednak nie było żadnego w jej wieku. Jakiś czas temu zadurzyła się w jednym

ze strażników, dość Jeszcze młodym mężczyźnie. Zamienili nawet ze sobą parę słów, ale on w pewnym momencie zniknął. Później dowiedziała się, że został zastrzelony.

Brama była bardzo pilnie strzeżona, któregoś dnia Jednak Altea zdołała się, dzięki paru kłamstwom, wymknąć strażom. Chciała się dostać do miasta. Zbliżał się wieczór i słońce nie piekło już tak niemiłosiernie. Daleko jednak nie zaszła, wkrótce dogonił ją samochód strażników. Widziano ją z daleka, bo w okolicy nie było się gdzie ukryć, tam, skąd ją zabrano, znajdował się tylko jeden jedyny kaktus. Matka była wściekła, lecz także zmartwiona, Altea ma Przecież słabe serce, mogła dostać po drodze ataku i umrzeć! Jack za karę nie odzywał się do niej przez wiele dni. To były jej najlepsze dni od wielu lat.

Jack Loman obserwował potajemnie młodą pasierbicę ukryty za firanką w jednym z pokoi.

Ona tam leży ze względu na mnie, myślał. Specjalnie wybrała to miejsce, bo w przeciwnym razie, dlaczego położyłaby się akurat tam? Oczywiście, że robi to z mojego powodu.

Jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że to on nie bez przyczyny usadowił się w tym prawie nigdy nie używanym pokoju.

Zrobiła się ładna ta smarkula. Wystarczy popatrzeć na te jej okrągłe bioderka i na jasną, świeżutką skórę! Nie taka wspaniała jak jej matka, rzecz jasna, ale to ciało, ta skóra! Nie zniszczona przez słońce. A u Judy, niestety, coraz więcej oznak starzenia. Jaką ma wysuszoną, ciemnobrązową skórę na ramionach, na przykład! I zmarszczki na twarzy tyle razy poddawanej operacjom plastycznym. Niedługo lekarze już nie będą mogli jej pomóc, za dużo czasu spędza na słońcu. Ona uważa, że brązowi ludzie wyglądają młodo. No tak, ja na przykład, mnie z opalenizną do twarzy, ale Judy to postarza. Już nie jest mnie warta, niedługo trzeba ją będzie wymienić...

Jack Loman poprawił maseczkę na twarzy. Wszyscy jego ludzie nosili ostatnio

takie jasnozielone maseczki. Altea nie chciała za nic jej nałożyć, ale może to i lepiej, myślał Jack.

Jego ciemne aksamitne oczy prześlizgiwały się po ciele dziewczyny. Nie powinna była tak leżeć, wystawiona na spojrzenia wszystkich. Obleśni strażnicy mogą ukrywać się za krzakami i gapić na nią.

Loman dotknął pasa i poprawił spodnie, odsunął się od okna. Wiedział, że powinien wracać do swego urządzonego z wielkim przepychem gabinetu, gdzie skomplikowane aparaty przekazywały raporty z całego świata na temat jego wciąż rosnących aktywów. Ta hacjenda, w której teraz mieszkają, to tylko jedna kropla w morzu jego ogromnych majątków.

Osiągnąłem swój cel, myślał z dumą. Panuję nad wszystkim, kontroluję wszystko. Podlega mi bez reszty mafia europejska, chińska zresztą też. A także mafia w Stanach Zjednoczonych. Nie istnieje żaden transport narkotyków, o którym bym nie wiedział, żadna transakcja dotycząca handlu bronią. Wszelki przemysł, cały handel, wszyscy muszą liczyć się ze mną.

Nikt jednak nie wie, kim jest on sam. Ani policja, ani władze, żadna konkurencja, żadni wrogowie. Znalazł sobie znakomitą kryjówkę tutaj, między górami i pustynią. Nie zdając sobie z tego sprawy, ponownie skierował się do okna. Altea leżała teraz na drugim boku i twarz miała zwróconą w jego stronę. Ale widzieć go nie mogła, ukrywał się za zasłoną. Co ona tam robi? Pisze coś? Z pewnością nie list, to wiedział, nie wolno jej bowiem niczego stąd wysyłać.

Była piękna niczym kwiat jabłoni, taka świeża, młoda, nietknięta, o takiej delikatnej skórze.

Dłoń Jacka wsunęła się pod pasek, do środka... Rozpiął sprzączkę, rozsunął zamek błyskawiczny.

Dotarłem na najwyższe szczyty, myślał, a równocześnie, wstrzymując dech, pieścił sam siebie. Mimo to muszę się tutaj ukrywać. To niesprawiedliwe, tak nie może być. Chcę pisać dalej. Panowanie nad światem nic nie jest warte, jeśli tak niewielu wie, że to właśnie ja jestem władcą.

Chcę jeszcze dalej. Wyżej! Chcę stanąć w pełnym świetle, chcę zostać uznany za władcę tego świata, całego wszechświata!

Niewiele zostało mi już do pokonania, ale czas jeszcze się nie dopełnił. Żeby się to mogło stać, muszę najpierw wejść do polityki, tym się trochę pozajmować, chociaż to okropnie nudne. Na szczęście mam pieniądze, a za pieniądze można kupić wszystko i wszystkich. Każdego przeklętego człowieka. Wszystkie przewroty państwowe są przecież od dawna robione przez moich ludzi. Moi ludzie zajmują najwyższe stanowiska. Ja stoję za wszystkim. Władca!

Myśli zaczynały mu się mącić, ciało przepelniała wielka słodycz. Trzeba najpierw ją uciszyć, musiał oprzeć się o futrynę okna... śliczna... śliczna... och, jakaż pociągająca jest ta istota na leżaku! Taka młoda i taka niewinna, wspaniała... może powinien zaraz tam pójść? Nie, nie teraz... za późno, oooch!

Skulił się, dysząc za ochronną maseczką. Po chwili wytarł się starannie i pozapinał ubranie. Usiadł w fotelu i siedział tam długo, jakiś zgaszony. Normalne zmartwienia odnajdywały do niego drogę.

Co to się ostatnio dzieje na świecie? Te pogłoski o dziwnej łagodności ogarniającej ludzi... Właśnie dlatego nakazał swoim nosić maseczki na twarzach, gadano bowiem, że owa łagodność spływa na ludzi z powietrza. A on nie chciał, żeby jego bezlitośni pracownicy stali się sympatycznymi chłopakami, co to muchy nie skrzywdzą. Z pomocą takich nie byłby w stanie zarządzać światem. Sam może stałby się jakimś cholernym altruistą lub innym filantropem. Nigdy w życiu, wtedy wszystko by przepadło!

Krażyły opowieści o jakichś podobnych do talerzy, czy raczej łodzi, latających pojazdach, które bezgłośnie przemierzają nocami przestworza ponad ziemią. Widywano je wszędzie, i w Azji, i w Ameryce Północnej. Mówiono, że rozpylają nad ziemią delikatne kropelki jakiejś cieczy i że to właśnie w ślad za nimi pojawia się ta śmieszna łagodność. Miłość bliźniego. Niech to diabli!

Wszyscy czują się szczęśliwi, opowiadano. Wymarłe pustynie zaś przemieniają się w urodzajne pola, pokrywają się bujną roślinnością.

Kiedy usłyszał o tym po raz pierwszy, wybuchnął śmiechem. Nie należy do tych, co to wierzą w UFO. Ale raporty jęły napływać z całego globu. Jednobrzmiące. Opowiadały o tym samym. I że dzieje się tak wszędzie.

Do licha, nie chciał takich przemian! Niestety, nieszczęście zdawało się coraz bliższe, podobno z każdym dniem obejmuje coraz większe przestrzenie.

Choć więc Ziemia jest wielka...

Inni ludzie mogą sobie być łagodni, to nawet lepiej, łatwiej będzie nimi kierować, ale jego podwładnym nie wolno przemienić się w nieśmiałe stworzenia, co to przepraszają, że żyją, kto by w takim razie wykonywał za niego czarną robotę? Kto by zarządzał w jego imieniu?

Zostałby pozbawiony wszelkiej ochrony.

Jeśli chodzi tu o jakieś przejściowe zjawisko, to z pewnością on i wszyscy jego pomocnicy dadzą sobie radę. A potem, po wszystkim, on będzie jeszcze potężniejszy niż kiedykolwiek przedtem! Jeśli bowiem wszyscy mieszkańcy Ziemi staną się tak idiotycznie dobrzy, jeśli wszyscy będą bez szemrania nadstawiać drugi policzek... Jezu, ależ on w takiej sytuacji mógłby być potężny!

Nikt by go już więcej nie prześladował. Nawet ten przeklęty pies, de Castillo, też musiałby spuścić nos na kwintę przed jedynym panem...

Jack Loman przeciągnął się rozkosznie. Tak, teraz naprawdę osiągnął szczyty. Wszędzie cieszył się niebywałym szacunkiem. Jako filantrop, właściciel wielkich dóbr, Jack Loman, którego nikt o nic złego nie podejrzewał i wszyscy starali się mieć z nim jak najlepsze stosunki. Szacunek, jaki okazywali mu ludzie jego pokroju i kalibru, był niewiarygodny. Jest pośród nich bogiem.

Mimo to wciąż jeszcze istnieją obszary nie zdobyte. Ogromne kraje, niezależne państwa. Wszystko to musi być jego. Jedno państwo po drugim. Dopiero wtedy będzie mógł stanąć w pełnym świetle jako władca świata.

Nie zdobyte obszary? Co tam, jeśli będzie trzeba, zdobędzie nie tylko Ziemię, lecz także całą przestrzeń niebieską! Kosmos.

Wszystko!

- Księżyc świeci także dzisiejszej nocy - mruknął Jori, kiedy żeglowali w swojej małej gondoli w stronę nie mających końca wybrzeży Chile. Zakończyli działalność na Ziemi Ognistej i w Patagonii, na niemal nie zamieszkanym terytoriach, gdzie oszczędzali jak mogli eliksir Madragów. Elik sir był zresztą tak skondensowany, że jedna kropla wystarczała na wiele mil kwadratowych powierzchni. Przez cały czas ciągnął się za nimi ledwo widzialny obłok złożony z mikroskopijnych kropelek, które rozprzestrzeniały się nad powierzchnią ziemi, nad jeziorami i rzekami. Raz po raz musieli wracać do swojej bazy w Andach, by wziąć nowy zapas.

Mikstura okazała się skuteczna, sami widzieli fantastyczne rezultaty własnej działalności: nowe, zielone łąki, wspaniałe barwy...

Teraz znajdowali się w bardziej zaludnionej okolicy.

- Nie lubię księżycy - narzekał Jori. - Jesteśmy w jego świetle wyraźnie widoczni.

- Chyba nie musimy wciąż znajdować się przed księżycem, jakby na jego tle - wtrąciła Sassa.

Jori gapił się na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Zawsze dla kogoś będziemy się znajdować przed księżycem - oświadczył tonem nauczyciela.

Sassa próbowała sobie zapamiętać informację.

- To zależy, rzecz jasna, od tego, w którym miejscu na ziemi się stoi, ty głuptasie - dodał cokolwiek niecierpliwie.

- Tak, oczywiście - odparła Sassa. - Tylko że ty po prostu źle mi to tłumaczysz.

Pierwsza część nocy zeszła im na nieustannych sprzeczkach. Jori życzyłby sobie innego towarzystwa, wolałby być z Markiem, Sol, w ogóle z którymkolwiek z wielkich. Niestety, zawsze łączono go z tą smarkulą Sassą, uważał, że to wielka niesprawiedliwość.

Trzeba dodać, że Jori i Sassa należeli do tych niewielu wysłanników Królestwa Światła, którzy mogli się otwarcie pokazywać we wsiach i w miastach, byli bowiem

normalnymi ludźmi, zaś aparaciki mowy sprawiały, że uważano ich za swoich, posługujących się miejscowym językiem. Poprzedniego dnia pozwolili sobie na małą wycieczkę po ulicach miasta Mendoza w Argentynie, dokładnie po drugiej stronie Andów. Zamierzali też dolecieć gondolą w pobliże ogromnego szczytu Aconcagua tylko po to, by go zobaczyć. I tą drogą dostać się do Chile. Najpierw musieli się jednak zastanowić.

Wędrówka po argentyńskim mieście, oglądanie współczesnego zewnętrznego świata, było tyleż zabawne, co przerażające. Przeludnienie i nędza okazały się straszne. Najgorsze jednak wydawały im się narkotyki, których wszędzie było pełno. Wyglądało na to, że narkotyki zostały w mniejszym lub większym stopniu zalegalizowane i dosłownie każdy napotkany człowiek znajdował się pod ich wpływem.

Nietrudno było zauważyć, że panują w tym świecie najrozmaitsze choroby, a o ile młodzi wędrowcy zdołali się zorientować, szpitale i w ogóle służba zdrowia nie znajdowały się w najlepszym stanie.

Dwoje gości z Królestwa Światła czuło się źle.

Ludzie byli na ogół usposobieni przyjaźnie, ale sprawiali wrażenie przestraszonych. Jori i Sassa siedzieli w kawiarni i rozmawiali z grupą młodzieży, przeważnie indiańskiego pochodzenia, ale też byli wśród nich Metysi, Kreole i przedstawiciele rasy białej. Wszyscy oni nieustannie rozglądali się ukradkiem wokół jakby w obawie, że ktoś ich zaatakuje. Jori zapytał o to czarnowłosą piękność, która zresztą bardzo mu się podobała. Odpowiedziała szeptem, że wszędzie są oczy i uszy. Cały system społeczny oparty jest na podejrzliwości. Nikt nikomu nie ufa.

Jeszcze nie spryskali tego terytorium, zamierzali to zrobić nocą. Teraz chcieli się tylko rozerwać i, jeśli to możliwe, nauczyć tego i owego.

Dla Sassy zresztą wyprawa wcale taka wesoła nie była, Jori bowiem kazał jej wracać do ukrytej gondoli, a sam został z tą czarnowłosą dziewczyną, z którą wciąż rozmawiał.

Nie wrócił, dopóki nie nadeszła pora startu. Ale wtedy wyglądał na bardzo zadowolonego.

Jori zawsze cierpiał z powodu różnych kompleksów. Wciąż musiał dowodzić innym, a najbardziej sobie samemu, że jest bardzo pociągającym młodym człowiekiem. Rzeczywiście, nie jest zbyt zabawnie nieustannie przebywać w towarzystwie oślepiająco przystojnych i zabójczo męskich rówieśników, kiedy samemu ma się zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu i w ogóle wygląda się niespecjalnie.

Bo na przykład kuzyn Jaskari, rosły blond wiking, Jori bardzo się starał przy nim nie stawać, kiedy w towarzystwie znajdowały się jakieś dziewczyny, wołał, żeby go z takim nie porównywano.

Z nieopisanie pięknym Markiem czy równym mu Dolgiem nikt nie może się mierzyć, nawet Jaskari. Ram i pozostali Lemuryjczycy... Leśny elf Tsi - Tsungga. Przystojny Armas. Gondagil...

Biedny, mały Jori!

Wziął kurs na szczyty Andów.

- Wygląda na to, jakby władze straciły już wszelką kontrolę - powiedział.

Sassa milczała.

- Kontrolę najwyraźniej przejęli inni - ciągnął Jori. - Teraz musimy jak najszybciej skierować się do zapasowych magazynów, żeby napełnić zbiorniki. Nie robiliśmy tego od wielu dni.

- Od wielu nocy - poprawiła go Sassa.

- Czy ty zawsze musisz mi się przeciwstawiać? Zresztą niech ci będzie, jestem w znakomitym humorze, nic mi go nie zepsuje.

- Ach, tak - zauważyła Sassa cierpko.

Jori pogrążył się we wspomnieniach. Mamrotał pod nosem jakby sam do siebie:

- Dziewczyny w zewnętrznym świecie też nie są takie głupie - stwierdził. -

Posługują się innymi technikami, ale o, rany, ileż one umieją!

Sassa zjeżyła się. Warknęła przez zaciśnięte zęby:

- A czy ty zawsze musisz się przechwalać swoimi podbojami? Wyobrażasz sobie, że dzięki temu jesteś bardziej interesujący dla innych dziewcząt?

Jori gapił się na nią z otwartymi ustami. Takim tonem Sassa nigdy nie przemawiała.

- Zatem wiesz, że to jest mit, który wymyślili mężczyźni z kompleksami - ciągnęła swoje Sassa. - Większość dziewcząt tysiąc razy woli mieć poważnego, nie zepsutego chłopca. Ale ty wciąż rozprawiasz na prawo i lewo o swoich salonowych sukcesach. To po prostu śmieszne!

- Co się z tobą dzieje? - wykrztusił Jori niepewnie. - Przecież nie możesz nic wiedzieć o miłości, jeszcze ci mleko nie wyszło pod nosem...

- Nie nazywaj miłością tego, czym zajmowałeś się dzisiaj wieczoru! - krzyknęła Sassa ze złością. - A jeśli o to chodzi, to ja jestem dorosła, i to od dłuższego czasu. Szkoda, że tego nie zauważyłeś! Wszyscy traktują mnie jak dziecko, bo jestem najmłodsza.

- Przepraszam, bardzo cię przepraszam! - zawołał Jori szczerze. - Ale Sassa, wiesz przecież, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką...

Żeby ją jakoś ułagodzić, położył rękę na jej dłoni. Z grymasem niechęci dziewczyna cofnęła się.

- Zabieraj te swoje paluchy, którymi jej dotykałeś i nie wiadomo co jeszcze. Znikaj!

- Ależ Sasso! - zawołał z płonąca twarzą. - Czyś ty rozum postradała?

- A o twoich wargach to już lepiej nie wspomnę, ani o języku, bo nie wiadomo, co nimi robiłeś...

Jori miał problemy z oddechem.

- Nie, no chyba powinnaś zachowywać się bardziej przyzwoicie...

- Kto się tutaj zachowuje nieprzyzwoicie? Kto siedzi i opowiada mi wstrętne historie, jakby to były nie wiem jakie sukcesy? Jeśli nie przestaniesz się przechwalać tymi swoimi eskapadami, to poproszę Rama, żeby cię stąd zabrał, bo jesteś nieznośnym smarkaczem! Mam nadzieję, że przynajmniej pamiętałeś o kondomach, bo jak nie, to może być źle z tobą!

Jori naprawdę nie wiedział, co miałby jej odpowiedzieć, wrócił do kierownicy i starał się skoncentrować na prowadzeniu gondoli, był jednak strasznie wzburzony, serce tłukło mu jak młotem, chciał być zły na Sassę, ale wstyd okazał się silniejszy. Sam przecież dobrze wiedział, że lubi się przechwalać sukcesami u dziewcząt, które obdarzyły go choćby jednym uważniejszym spojrzeniem, a jego wzmianki o niezwykłych randkach były dużo liczniejsze niż same spotkania. Uff, ale się wygłupił! A fakt, że to właśnie mała, prostolinijna Sassa przywołała go do porządku, był chyba najtrudniejszy do zniesienia.

Nie, Sassa nie była taka ufna ani prostolinijna. Kiedy przyjdzie co do czego, potrafi pokazać, co potrafi, prezentuje wówczas inteligencję, której mało kto by się po niej spodziewał.

- Przed nami znajduje się Aconcagua - powiedział Jori w chęci skierowania uwagi Sassy na co innego. - A po drugiej stronie leży Chile.

Sassa nie odpowiadała. W chwilę później znaleźli się przy magazynie ukrytym w bardzo niedostępnym rejonie Andów. To tutaj znajdowały się Wrota, przez które wyszli z ziemskich głębin.

Wielką ulgą było móc porozmawiać z dwoma Strażnikami, którzy stacjonowali przy magazynie. Nareszcie krajanie, nieważne, że Lemuryjczycy. Miło było wejść do wielkiej gondoli, która wyniosła ich niedawno na powierzchnię. Pyszne jedzenie i odpoczynek przez cały dzień, bardzo tego potrzebowali.

Jori jednak najpierw wziął prysznic. Kapał się i kapał, szorował skórę i znowu splukiwał wodą. Kiedy nareszcie wyszedł z łazienki, był cały czerwony.

Udało im się podejść bardzo blisko wysokiego na niemal 7000 metrów szczytu Aconcagua, budzącej grozę, lodowato zimnej piękności, której nie poświęcili nawet kropli swojej niezwyklej cieczy. Tu bowiem nikt nie mieszkał, na co więc trawa i bujne kwiaty na tych nagich skałach? Góra jest piękna sama z siebie i niech tak zostanie. Zresztą nie odważyliby się spryskać ani śniegu, ani lodu, bo co by się stało z klimatem Ziemi, gdyby stopniały wieczne zlodowacenia?

Nad tymi sprawami trzeba się było zastanawiać, nie wolno popełnić najmniejszego błędu.

Zimno na tych wysokościach było takie przejmujące, że wdzierало się do wnętrza gondoli, rzucając to w jedną, to w drugą stronę gwałtownymi podmuchami wiatru. Najlepiej więc było zejść w dół do niskiego, bo liczącego zaledwie 3800 metrów pasażu Cumbre, gdzie w księżycowym blasku były jeszcze widoczne ślady starej linii kolejowej między Buenos Aires w Argentynie i Valparaíso w Chile.

- Uczyłam się o tym w szkole - powiedziała Sassa cicho. - Ma się tam podobno znajdować bardzo wielka figura Chrystusa, wzniesiona na pamiątkę zawarcia pokoju między Chile i Argentyną. Ale myślę, że w ciągu ostatnich stuleci ten pokój był wielokrotnie naruszany.

Jori spoglądał na nią zdumiony, a nawet z niejakim podziwem. Przecież Sassa urodziła się na Ziemi! Kompletnie o tym zapomniał. Przybyła do Królestwa Światła jako dziecko z rodzicami swego ojca, Ellen i Natanielem z Ludzi Lodu. Miała dwanaście lat i buzię tak zeszpeconą bliznami po poparzeniu, że ludzie nie mogli na nią patrzeć. Na szczęście jeszcze na powierzchni spotkała Marca. On przerwał jej długotrwałe cierpienia, sprawił, że odzyskała normalny wygląd.

Jori wyprostował się.

- O, tam stoi figura! - zawołał.

- Czy nie moglibyśmy zejść niżej? - zapytała Sassa. - Tam chyba jest całkiem pusto.

Bez słowa Jori skierował się ku wielkiej figurze Chrystusa.

- Wygląda na dość zniszczoną - powiedział. - Ale w każdym razie stoi.

Sassa uświadomiła sobie, że bardzo chętnie wyszłaby z gondoli. Jori wylądował i oboje wolno poszli w stronę posagu.

Wiał przejmujący, lodowaty wiatr, szarpał ich ubraniami. Sassa musiała nieustannie odgarniać włosy z twarzy.

Jori przyglądał jej się, kiedy stojąc przed posagiem poruszała wargami jakby w cichej modlitwie. Wpatrywały się w nią smutne oczy ze zniszczonego oblicza

Boga.

Sassa była bardzo ładną dziewczyną, może nie zwracała bardzo na siebie uwagi, ale oczy miała piękne, a leciutko wysunięte ku przodowi górne zęby nadawały twarzy dziecinny, ufny wyraz. Nie za bardzo, ale w niezwykle czarujący sposób.

Również w jej oczach dostrzegało się bezradność, widać było, że łatwo ją urazić.

- Czy nigdy nie tęsknisz za swoją mamą? - zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie.

Zwróciła ku niemu twarz. Oczy miała teraz jak wąskie szparki.

- Za moją mamą? Która zabraniała mi spotykać się z tatą, chociaż go kochałam i on mnie kochał? A robiła to, bo chciała się na nim zemścić, uważała, że to przez niego się poparzyłam. Doprowadziła go tym do śmierci, a potem porzuciła mnie, bo znalazła sobie innego mężczyznę, który nie chciał na mnie patrzeć. Uważasz, że powinnam za nią tęsknić?

- Nie - powiedział Jori z powagą. - Nie powinnaś.

Widocznie Sassa jest znacznie bardziej skomplikowaną osobą, niż sądził.

Ruszyli w stronę gondoli. Sassa odwróciła się.

- On wygląda tu bardzo samotnie na tym górskim pustkowiu. Ma się ochotę włożyć na niego ciepły sweter.

- Owszem - potwierdził Jori z uśmiechem, - Ale z pewnością wielu ludzi się do niego modli.

- Na pewno. Zastanawiam się, czy ludzie wciąż w niego wierzą?

Jori otworzył drzwi gondoli.

- A poza tym chciałem ci powiedzieć, że nie używałem prezerwatywy.

Sassa stanęła jak wryta.

- Co? Czyś ty zwariował?

- To nie było konieczne!

- Ależ, Jori! - zawołała zrozpaczona. - Zapomniałeś o tych wszystkich chorobach, jakie szaleją na ziemi...

Podniósł rękę, żeby ją uciszyć.

- Do niczego nie doszło. Właśnie dlatego, że nie byłem przygotowany. Nie, to nieprawda. Miałem swoje powody, żeby tam z nią zostać.

Sassa wypuściła powietrze z płuc.

- To dlaczego w takim razie....?

- Myślę, że chciałem się po prostu przechwalać. Widzisz, to jest taki mój słaby punkt... Ale teraz wsiadaj czym prędzej, zanim oboje przemienimy się w piękne, fioletowe, lodowe figury!

Usiedli, każde na swoim miejscu, i zamknęli drzwi. Po wietrze na zewnątrz ciepło w gondoli wydało im się rozkoszne.

- Mimo wszystko dowiedziałem się jednak pewnych rzeczy - powiedział Jori.

Trzymał ręce na starterze, ale nie uruchomił jeszcze pojazdu. - Właśnie dlatego i tylko dlatego zostałem z tą dziewczyną. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o dzisiejszym świecie. Ale się z nią nie przespałem.

- No i czego się dowiedziałeś? - zapytała Sassa bezbarwnym tonem.

- Że zostaliśmy odkryci.

- Ty i ja?

- Nie, po prostu gondole. W całym świecie rozprzestrzeniają się wiadomości na temat sprawiającego cuda „deszczu”. Łączy się go z gondolami, które zauważono w różnych częściach globu. Nas jednak, ciebie i mnie, nikt nie zauważył, bo znajdowaliśmy się dotychczas w niezbyt ludnych okolicach. Dotarła do mnie jednak jeszcze bardziej alarmująca wiadomość...

- Tak?

- Podobno jedna gondola została zestrzelona, a istoty, które się w niej znajdowały, uwięzione. Przez wojsko.

- Nie, co ty mówisz? Używali określenia „istoty”? Kto został zestrzelony? Gdzie?

- Niestety, tego ona nie wiedziała. Mówiła tylko, że jedno z zestrzelonych wyglądało po ludzku. I akurat to nie brzmi mi dobrze.

- O, mój Boże! - zawołała Sassa. - Ale przecież Strażnicy o niczym nie wspominali!

- Chyba też nie wiedzieli. Wciąż się zastanawiam, kto to mógł zostać zestrzelony... No ale czas płynie, musimy ruszać. Chile! Here we come!

4

Dwie gondole znalazły się w tym samym miejscu, wysoko w wymarłych górach Ahaggar w obrębie Sahary. Znajdowali się tam Kiro i Sol, którzy mieli zająć się Afryką, oraz trójka: Ram, Indra i Marco, zmierzający do pogrążonej w chaosie Europy.

Zanim się rozstali, usiedli do wspólnego posiłku wraz z dwoma Strażnikami, którzy mieli tu na nich czekać w wielkiej gondoli.

- Jakie to dziwne znaleźć się na powierzchni Ziemi - powiedziała Indra. - Akurat tutaj specjalnie tego świata nie widać, ale bardzo już chcę zobaczyć, jak dalece się zmieniła Europa.

- Afryka jest podobno nazywana umierającym kontynentem - wtrąciła Sol ponuro. - Pustynie rozprzestrzeniają się niczym białe łapy wielkiego potwora, zagarniają coraz rozleglejsze tereny. Sahara, Ogaden, Kalahari i jak tam jeszcze się one nazywają. Nie mówiąc już o strasznych epidemiach wirusowych, szalejących w miastach i w osadach w dżungli. Może się nawet okazać, że Afryka jest już całkiem martwa. Długotrwałe susze, choroby...

- To przesadne czarnowidztwo - powiedział Ram, który wiedział najwięcej o sytuacji w świecie zewnętrznym. - To prawda, że na początku dwudziestego pierwszego wieku Afryka znajdowała się w katastrofalnym stanie. Później jednak zdolnym inżynierom udało się, dzięki badaniom na Saharze, odnaleźć koryta dawno wyschłych i zasypanych piaskiem rzek. Przeprowadzono nawadnianie, posadzono lasy, które zapobiegły dalszemu pustynnieniu kontynentu. No, może niedokładnie to wszystko opowiedziałem, ale jakoś tak to było. W każdym razie zrobiono coś niezwykle inteligentnego z tymi ukrytymi pod piaskiem rzekami.

Ram uśmiechał się lekko onieśmielony. Widocznie nie zapoznał się szczegółowo z dziejami zewnętrznego świata.

- Ukrytymi pod piaskiem? - zdziwiła się Indra, spoglądając na potężne szczyty gór

Ahaggar. - No a epidemie? Jak sobie z tym poradzili? Oglądana z naszego miejsca, Afryka wydaje się raczej bezludna.

- W te okolice to pewnie zawsze zapuszczali się jedynie Tauregowie - wtrącił Marco. - Nie wiemy, co się teraz z nimi stało, w sto lat po tym, jak opuściliśmy ten świat.

Ram wyjaśnił:

- AIDS sprowadziło prawdziwą katastrofę na całą Afrykę i wielkie przestrzenie Azji. Ale i z tym sobie poradzono. Medycyna zdołała powstrzymać zarazę, stało się to zaraz po roku 2000. Rzecz jasna pojawiają się w Afryce wciąż nowe epidemie, ale żadna już nie tak wszechogarniająca jak AIDS. Afryka znajduje się na najlepszej drodze do odrodzenia... czy raczej, należałoby powiedzieć: była, bo teraz cały świat pogrążył się w upadku.

- Z jakiego powodu? - zapytał Kiro.

- Krótko mówiąc, załamały się wszystkie niebywale zaawansowane technologie. Najpierw pojawił się tak zwany problem nowego tysiąclecia, ale to był drobiazg. Tak, trzeba raczej mówić o wiecznych wojnach, no i właśnie o technologii.

- Zaraz, zaraz, poczekaj - przerwał jeden ze Strażników. - Świat przeżył wielką wojnę, prawda?

- Owszem, można ją właściwie określić jako trzecią wojnę światową, ściągnęła ona straszne nieszczęścia na ludzkość, ale to należy do przeszłości, nawet bardzo odległej. Jak jednak wszyscy wiecie, wielkie wojny sprzyjają wielkim wynalazkom i technologia zawsze wtedy rozwija się niebywale szybko. Przez jakiś czas...

- Przeskakujesz z tematu na temat - stwierdziła Indra. - Mówiliśmy o roku 2000.

- Tak, tak, wybaczcie. No więc były powszechne obawy związane z datą 2000, że systemy komputerowe sobie z tym nie poradzą. Ale nie doszło do końca świata, co więcej, poradzono sobie ze wszystkim. A pamiętacie przepowiednie Nostradamusa, dotyczące roku 1999? Miała się wtedy wydarzyć straszna katastrofa, wiemy jednak, jak było.

Wszyscy milczeli zamyśleni.

- No więc komputery dały sobie radę? - zapytała po chwili Sol.

- Owszem. Gorsze okazały się burze na Słońcu, jakie odnotowano w jakiś czas potem. Wtedy elektronika zawiodła na całej linii, mnóstwo urządzeń uległo zniszczeniu. Ledwie zdążono jakoś naprawić największe szkody, a spełniła się dawna przepowiednia indiańska, działo się to około roku 2012. Kraje o wysokich technologiach zostały dotknięte straszną katastrofą naturalną, która zniszczyła największe miasta, a wraz z nimi najważniejsze centra badawcze i naukowe. I jeszcze raz świat zdołał się z tego podźwignąć, aż około roku 2040 pojawił się szaleniec, który zaczął mordować najwybitniejszych ludzi. Był to gangster owładnięty manią władzy, systematycznie likwidował wszystkich, których nie lubił, którzy mu się z jakiegoś powodu nie podobali, przeszkadzali mu, nie wiadomo co. Utrzymywał liczną bandę pomocników niewolniczo mu posłusznych. I to on doprowadził do prawdziwego upadku. Technologia przestała się rozwijać tak, jak zakładano, po wszystkich katastrofach zatrzymała się na poziomie z początku trzeciego tysiąclecia. Po wielu wybuchach w elektrowniach atomowych, przede wszystkim w Europie, poziom radioaktywności niebezpiecznie się podniósł, ale o tym nie ma co teraz mówić, bo to już przeszłość.

- To znaczy, że nie jest to już najtrudniejszy problem dla cywilizacji? - zapytał Marco.

- Nie - westchnął Ram. - Największym problemem dla większości państw jest niekontrolowana przestępczość, działalność mafii i korupcja obejmująca najwyższe kręgi władzy i niszcząca dosłownie wszystko. A to... ech, nie, mówmy o czymś przyjemniejszym!

- Tak jest - przytaknęła Sol. - Na tym właśnie polega nasze zadanie: przywrócić naruszone normy egzystencji, sprawić, by ludzie stali się lepsi - dodała ze śmiechem.

- To będzie prawdziwe odrodzenie - powiedziała Indra cicho.

Marco, Ram oraz Indra znaleźli się nad Europą Środkową.

- Chłopcy, moglibyśmy zawrócić na chwilę nad Hiszpanię? - zapytała Indra. -

Chciałabym zobaczyć, czy widać już ślady naszej działalności.

- Nie, to chyba jeszcze za wcześnie - odparł Ram z wahaniem.

- Głupstwa! Nie pamiętasz, jak szybko eliksir działał w Ciemności?

- Owszem, masz rację, jeśli chodzi o płodność ziemi. Ale żeby krople przeniknęły do dusz ludzkich... myślę, że na to trzeba poczekać dłużej.

- Tego i tak nie zobaczymy, głuptasie - wtrąciła Indra z czułością. - Ja chciałabym podziwiać kwiaty.

- Najdroższa Indro, nad Hiszpanią panuje teraz noc ciemna jak sadza. Niczego nie zobaczymy.

- To prawda. Gdybym jednak miała wyrazić swoje zdanie...

- A kiedyś się od tego powstrzymałaś?

Zachichotała.

- To powiedziałabym, że po tym, co zobaczyliśmy, można sądzić, iż ludzkość nie cierpi takiej strasznej nędzy.

- Ludzkość jest odporna. I zgadzam się z tobą, że wszystko wygląda na ogół tak jak powinno. Widziane z góry, to nawet dość idyllicznie i zasobnie. Ale to tylko powierzchnia zjawisk, Indro. Nie wiemy nic na temat, jak dalece zdemoralizowane, przegniłe jest społeczeństwo.

Nagle Marco jakby zeszywniał i uciszył ich.

- Zdaje mi się, że jesteśmy śledzeni - szepnął. Ram obejrzał się.

- Myśliwiec! Przyspieszaj!

Ale przed nimi też pojawiły się samoloty, co gorsza, zaczęły strzelać.

- O, do diabła! - zawołała Indra.

W odbiornikach radiowych rozległ się rozkaz:

- Podajcie swoje dane identyfikacyjne, w przeciwnym razie zestrzelimy was!

Ram i Marco popatrzyli na siebie i skinęli głowami.

- Schodzimy w dół - powiedział Marco do mikrofonu. - Wskazujcie nam drogę!

Indra spojrzała na nich, niczego nie rozumiejąc, samoloty na zewnątrz otoczyły ich i eskortowały gondolę.

- Co? Nie będzie walki? Żadnej próby ucieczki, żadnego bezgłośnego, lecz za to błyskawicznego manewru na nocnym niebie? Przecież pokonalibyśmy ich bez trudu.

- Ja tymczasem mam mnóstwo pytań - powiedział Marco. - Szczerze mówiąc od początku mieliśmy zamiar zmusić rozsądnych ludzi do mówienia. Po prostu okazja nadarzyła się prędzej, niż liczyliśmy.

- Uważasz, że oni są rozsądnymi ludźmi?

- Kochana moja, nie doceniasz pilotów myśliwskich! Powinnaś się wyzbyć takich przesądów.

- Oczywiście, byłam niesprawiedliwa - przyznała Indra. - Ale to tylko żart.

- Bywa, że żarty ci się udają - warknął Marco.

I to właśnie ta gondola miała jakoby zostać zestrzelona.

Ale, na szczęście, sprawy nie miały się aż tak źle.

5

Na twarzach lotników malowało się wielkie zdziwienie, kiedy cała trójka wysiadła z gondoli na lotnisku wojskowym.

Ale też, trzeba przyznać, było na co popatrzeć. Marco, księżę Czarnych Sal, miał na sobie, jak zawsze, czarny, obcisły kostium: golf, spodnie i skórzane buty do kolan. Wysoki Ram wydawał się niezwykle przystojny w swoim piaskowego koloru ubraniu Strażników i krótkiej pelerynce zarzuconej na ramiona. Indra natomiast, chyba tylko po to, by drażnić mieszkańców Ziemi, włożyła suknię z cieniutkiego szyfonu w jadowicie różowym kolorze, który bardzo pięknie harmonizował z jej włosami i złocistą skórą. Szata układała się pięknie, uwodzicielsko otulając jej długie nogi.

Indra jeszcze by uszła, ale oślepiająca uroda Marca i absolutnie nieziemski wygląd Rama wprowadziły pilotów i personel lotniska w osłupienie.

Najwyraźniej jednak kogoś takiego oczekiwano. Czołgi i różnego rodzaju wozy

bojowe stały wokół pasa startowego gotowe do walki. Przybyszów natychmiast otoczyli żołnierze z odbezpieczoną bronią najróżniejszego typu, od pistoletów poprzez bazooki do miotaczy ognia.

- Rany boskie! - jęknęła Indra. - Musimy być naprawdę molto importante!

- Jesteśmy - potwierdził spokojnie Marco. - I tak powinno być. Żeby tylko któryś z nich nie wpadł w panikę i nie zaczął strzelać. Bo wtedy dostalibyśmy za swoje.

Spostrzegli, że z głównego budynku wyszła delegacja złożona z pięciu mężczyzn i zbliża się szybkim krokiem do przybyłych. Po dystynkcjach rozpoznali, że najwyższy rangą jest kapitanem.

- Jak myślisz, co oni zamierzają z nami zrobić? - zapytała Indra szeptem Rama.

- Pewnie chcieliby nas pozamykać w klatkach, ale Marco do tego nie dopuści.

Zahipnotyzuje ich.

Marco powitał idących uniesieniem ręki na znak, że on i jego przyjaciele przybywają w pokojowych zamiarach.

- Kim u... Skąd, u diabła, się wzięliście? - zapytał kapitan lotnictwa łamaną angielszczyzną.

- No, w każdym razie nie od diabła, to znaczy nie z piekła - odpowiedziała Indra zaczepnie w tym samym języku; wymowę miała znacznie lepszą.

Marco natychmiast się wtrącił:

- I na razie nie chcielibyśmy udzielać dokładniejszych informacji niż ta, że przybywamy naprawdę bez złej woli i że pragniemy porozmawiać z uczciwymi przywódcami świata.

- Ale - wyjąkał kapitan, spoglądając z przerażeniem na Rama. - Muszę was aresztować.

- Bzdura - skwitowała Indra. - Jesteśmy tu po to, żeby pomagać! Opieczętuście naszą gondolę, jeśli chcecie, przeszukajcie ją, prześwietlcie, poróbcie zdjęcia, tylko nie dotykajcie tych dużych pojemników, one mają dla nas wielkie znaczenie. Nie ukryliśmy w nich broni, ale nie możemy wam powiedzieć o ich zawartości, i tak byście niczego nie zrozumieli.

- No dobrze, już dobrze - powiedział Ram, a piloci i mechanicy na wszelki wypadek cofnęli się przed nim trochę. Możecie pilnować gondoli, obejrzeć ją dokładnie, najlepiej jednak niczego nie dotykajcie! To by mogło być dla was niebezpieczne. Później z przyjemnością wszystko wam pokażemy i wyjaśnimy. Marco - szepnął do przyjaciela. - Uczyń ich na jakiś czas chętnymi do współpracy, posłuż się tym twoim sposobem...

Kapitan stał i wahał się przez chwilę, potem wyznaczył czterech swoich ludzi na wartowników gondoli, sam zaś ze sporą eskortą poprowadził „gości” do swojego zwierzchnika.

Po drodze Marco powiedział:

- Byłoby bardzo dobrze, gdybyście nie przekazywali żadnych informacji do mediów. Wolelibyśmy pracować dla dobra Ziemi bez zbędnej reklamy i rozgłosu, przynajmniej dopóki to możliwe.

- To będzie zależało od tego, jak pojmujecie dobro Ziemi.

- Nie mamy na myśli nic złego. Żadnych ataków, proszę mi wierzyć!

- Muszę się naradzić z innymi. - Otworzył przed gośćmi drzwi. - Ale nie będzie łatwo znaleźć uczciwych polityków posiadających władzę. Teraz na świecie najczęściej władza jest w rękach ludzi, do których należeć nie powinna. Zresztą często w historii bywało podobnie. Naturalnie możemy spróbować znaleźć paru ministrów spraw zagranicznych mających dobro świata na względzie, ale całkiem uczciwych...? Nie wiemy przecież, którzy z nich są marionetkami w rękach prawdziwych władców. Nielatwo jest się przeciwstawiać tłustym członkom syndykatów, choćby dlatego, że każdy, kto ma odwagę powiedzieć nie, może zostać zlikwidowany.

- Więc mafia jest aż tak rozprzestrzeniona? Syndykat, jak to teraz nazywacie.

- Mają swoich ludzi wszędzie, w najwyższych kręgach władzy. A poza tym jest jeszcze jeden człowiek, który... Zresztą to nie moja sprawa.

Marco przystanął.

- Dziękujemy za informacje - rzekł łagodnie. - Z pewnością znajdziemy uczciwych

ludzi. Ja posiadam zdolność zaglądania ludziom do serc, od pierwszej chwili wiem, kto jest uczciwym człowiekiem, a kto nie. Ty na przykład nie należysz do gadatliwych, to ja rozwiązałem ci język, tak chciałem. Mam do ciebie zaufanie, bo należysz do uczciwych. Powiem ci, że jesteś żonaty i masz dwóch synów. Nie jesteś zachwycony swoim dowódcą, choć nie wiem, kim on jest. Masz też pewne podejrzenia w stosunku do swojej żony, ale niepotrzebnie, ona nie myśli o nikim innym. A poza tym jesteś bardzo ciekawy, skąd pochodzimy - zakończył Marco z uśmiechem.

- Uff! - odetchnął kapitan. - Muszę przyznać, że teraz nie jestem wcale mniej ciekawy!

- Ja urodziłem się w Norwegii - rzekł Marco krótko. - Indra także.

O Ramie nie wspomniał, a kapitan nie pytał, bo pewnie nie miał odwagi.

- A gdzie się teraz znajdujemy? - zapytał Ram.

- W Szwajcarii.

- Znakomicie! - Marco uśmiechnął się zadowolony. W gabinecie oniemiałego pułkownika kapitan próbował objaśniać niezwykłą wizytę. Pułkownik był śmiertelnie przerażony i dlatego wściekły, zwymyślał kapitana za to, że sprowadził tu tych „kosmitów”, zamiast ich zamknąć w betonowym lochu, a najlepiej powystrzelać, im szybciej, tym lepiej.

Zrobiło się bardzo nieprzyjemnie, doszło do gwałtownej wymiany zdań, w której Indra żywo uczestniczyła, w końcu jednak pułkownik ustąpił, choć czynił to w najwyższym stopniu niechętnie. Ustąpił zresztą głównie z powodu sugestii Marca, z czego jednak nie zdawał sobie sprawy. Obiecał, że podejmie próbę zorganizowania konferencji premierów najważniejszych państw, ale Marco znowu go zaskoczył.

- Nie chcę żadnych zawodowych polityków, bo oni przeważnie mają niezbyt szlachetne charaktery albo są po prostu zajęci wyłącznie własnymi karierami. Mam ekspertyzę pewnego Indianina z mojego królestwa świadczącą, że właśnie ma się spełnić prastara przepowiednia jego ludu. Zgodnie z tym znajdujemy się

właśnie w okresie oczyszczenia. Otóż Indianie prosili mnie, bym wezwał czterech najszlachetniejszych i najpotężniejszych ludzi na świecie, po jednym reprezentancie wszystkich ras. Rasa żółta posiada władzę nad wiatrami, rasa czarna nad wodami, biała nad ogniem, a czerwona nad ziemią. Ci ludzie, o których nam chodzi, będą więc mieli potężnych obrońców. A spotkanie powinno mieć miejsce właśnie tutaj, w Szwajcarii.

Pułkownik zrobił się purpurowy.

- Czy wy myślicie, że ja mam czas wysłuchiwać jakichś zabobonów?

Indra miała ochotę poczęstować go kropelką eliksiru Madragów, ale jak to uczynić wobec kogoś tak podejrzliwego?

- Ja natomiast sądzę, że uczyni pan najlepiej, traktując poważnie przesłanie Indian - poradził mu Marco spokojnie.

Pułkownik spoglądał to na Marca, to na Rama, po czym zatrzymał wzrok na Indrze.

- Jak się pani znalazła w tym dziwnym towarzystwie? - zapytał cierpko.

- Towarzyszę im dlatego, że są jedynymi, którzy mogą uratować świat przed ostatecznym pogrążeniem się w korupcji i chaosie.

- Powiedźcie mi - zagadnął pułkownik nieco spokojniej. - To chyba nie wy sprawiacie... Dotarły do nas absurdalne pogłoski, że pustynie w Australii zakwitają i że ludzie zrobili się tam łagodni, najwięksi wrogowie się godzą?

Troje gości popatrzyło po sobie z uśmiechem. To dzieło Ellen i Nataniela.

- Nie, nie my, ale nasi przyjaciele - wyjaśnił Marco.

- Tacy jak oni znajdują się wszędzie, nad całą ziemią.

- Inwazja? - zaryczał pułkownik, a kark poczerwieniał mu jeszcze bardziej.

- Nie, nie pragniemy waszego świata. Nie chcemy go wam odebrać. Chcemy tylko pomóc, bo upadek Ziemi pociągnąłby za sobą również nasz świat.

Teraz pułkownik był już bliski apopleksji i Ram pospieszył z wyjaśnieniami:

- Proszę nam wybaczyć, że weźmiemy sobie kapitana do pomocy. Zależy nam, żeby to on znalazł owych czterech ludzi, których chcielibyśmy spotkać, i

sprowadził tutaj, do Szwajcarii. Czas nagli, później będziemy nawiązywać kontakty z geologami i meteorologami różnych specjalności, ale najpierw spotkanie.

- Ale ja jestem wyższy rangą! - ryknął pułkownik.

- Bez wątplenia. Tylko że pan nie posiada tej wewnętrznej równowagi i tego opanowania, które jest tu niezbędne.

Na to pan pułkownik nie znajdował odpowiedzi. Nie mógł bowiem ryczeć na nich jeszcze głośniej, niż czynił to wobec swoich podwładnych.

- Zgadzam się - oznajmił krótko i demonstracyjnie odwrócił się do okna.

W gruncie rzeczy odczuł ulgę, te dziwne istoty wydawały mu się po prostu niebezpieczne.

Wciąż nie miał pojęcia, że to Marco sprawił, iż zgodził się na coś tak niezgodnego z regulaminem. Zdolność Marca do przenikania do ludzkiej duszy i wywierania na człowieka wpływu była w zewnętrznym świecie nieznana.

Kapitan wyszedł razem z nim. Był tym wszystkim oszołomiony.

- Załatwię wam hotel i...

- Dziękujemy, ale w naszej gondoli mamy wszelkie wygody - wyjaśnił Marco łagodnie. - Zresztą czekając na tamtych czworo, musimy wypełnić pewne zadanie.

- No, ale jak prosty kapitan, jak ja, zdoła przekonać wysoko postawione osoby, żeby się tu zjawily?

- Ty musisz tylko znaleźć ludzi, których poszczególne rasy cenią najwyżej, a już my ich tutaj sprowadzimy.

Kapitan ani chwili w to nie wątpił.

Przybyli z czterech stron świata, wybrani przez swoich rodaków i w oparciu o popularność w swoich krajach. A wybór nie był łatwy i trzeba się z tym pogodzić, istnieje przecież mnóstwo krzyżówek ras, jak na przykład Arabowie, Polinezyjczycy, Hindusi, Kreole i tak dalej w nieskończoność.

Przedstawiciela rasy białej Marco od razu odrzucił.

- Jesteś wprawdzie człowiekiem uczciwym, ale potwornie się boisz - wyjaśnił ksiązę Czarnych Sal. - Jeśli dobrze wyczuwam, to syndykat musiał ci zagrozić, że wymordują twoją rodzinę, jeśli się im nie podporządkujesz...

Wtedy ów kochany przez tłumy przywódca opozycji przyznał, że tak w istocie jest, i zaproponował w zamian koleżankę, która mu towarzyszyła. Ona nie miała rodziny, więc Marco, po starannym przyjrzeniu się, zaakceptował jej kandydaturę. Kobieta pochodziła z Francji, wielka Unia Europejska była od dawna jedynie legendą; mężczyźni przyjechali z Kenii, Stanów Zjednoczonych i Chin. Zamknęli się w tajnym pokoju, pilnie strzeżonym przez żołnierzy. Stało się tak, gdyż wszyscy czworo zgodnie twierdzili: w dzisiejszych czasach na nikim nie można polegać.

Kobieta uśmiechnęła się trochę niepewnie:

- Bardzo nam potrzeba pomocy z zewnątrz.

- Z wewnątrz - mruknęła Indra, ale na szczęście nikt jej nie słyszał. Nie o to jej też chodziło.

Narada była utrzymywana w najgłębszej tajemnicy, ale tyle można powiedzieć, że najdłużej dyskutowano nad sprawami klimatu i stanu atmosfery. Później wezwano ekspertów, lecz to już inny rozdział.

Najważniejszym tematem rozmów pierwszego dnia była mafia czy inaczej: syndykaty.

Reprezentujący Stany Zjednoczone Indianin powiedział w zamyśleniu:

- Jeśli dobrze zrozumiałem, to wasz magiczny eliksir może złe charaktery przemienić w dobre?

- To prawda - potwierdził Ram. - Jeśli jednak wasi źli przywódcy za wcześnie odkryją, co się święci, mogą zejść do podziemia lub ratować się w inny sposób.

Musimy więc wiedzieć wszystko o najważniejszych organizacjach i ich przywódcach, koniecznie musimy wiedzieć, gdzie ci ludzie przebywają.

Biała kobieta pochyliła się do przodu.

- Szczerze powiedziawszy, jest tylko jeden człowiek, którego poszukujemy. Jeśli dostaniemy jego, to rozwiążemy wiele spraw. Ale on się dobrowolnie nie podda.
 - Wiem, kogo masz na myśli - wtrącił Afrykanin. - Ten człowiek nie przebiera w środkach. Każdy, kto nie liże mu stóp, musi zginąć.
 - W takim razie ma chyba mnóstwo roboty - wtrąciła Indra.
 - Rzeczywiście ma - potwierdził Chińczyk. - Jego legiony złożone z mniejszych i większych kryminalistów są nieprzebrane. Większość idzie za nim z lęku o własne życie, ale aż nadto jest takich, którzy ze szczerego serca dokonują ponurych przestępstw.
 - A czy on nie zginął? - zapytał Ram. - Przed wieloma laty?
 - Masz na myśli tego, który zastopował wszelki rozwój technologiczny, ponieważ podstępnie wymordował uczonych, których uważał za swoich wrogów? Nie, jest nowy. Jeszcze bardziej bezlitosny i jeszcze bardziej podstępny. On pracuje całkiem bez rozgłosu i jest przez to dwa razy tak niebezpieczny.
 - No to wystawcie go nam - powiedziała Indra. - Zrobimy z niego duchową miazgę.
 - Duchowa miazga - uśmiechnął się Ram. - Co to takiego?
- Kobieta westchnęła.
- Problem polega na tym, że nikt nie zna jego nazwiska. Ani miejsca pobytu. Dawniej mógł bywać właściwie we wszystkich kręgach towarzyskich, a nikt go nie ujawniał, bo zmieniał nazwiska równie często jak młoda matka zmienia pieluszki swemu dziecku. Później pojawiły się pewne sygnały, informacje na temat jego wyglądu, szukano go wszędzie, ale nie znaleziono, a przed kilkoma laty zniknął całkowicie.
 - Ale on żyje - zapewnił Afrykanin. - Rządzi wszystkim i wszystkimi, zostawia swój znak firmowy przy większości popełnionych przestępstw.
 - I naprawdę nic o nim nie wiemy... Nie ma żadnych zdjęć?
 - Bardzo żałuję! Ci, którzy mieli jego fotografie, zginęli. Podobnie jak ci, którzy mogliby cokolwiek o nim powiedzieć. Zostali zamordowani.

- To się kiedyś skończy - syknęła Indra przez zęby.
- Mimo wszystko z wielką ulgą przyjmujemy do wiadomości, że Ziemia nie uległa takiemu unicestwieniu, jak się obawialiśmy - powiedział Marco. - Świat nadal jest bardzo piękny, a w dodatku zaludniony. Trzeba go tylko uwolnić od dwunożnych bestii.
- To prawda - zgodził się Indianin. - I teraz jesteśmy optymistami! Ale... - dodał niepewnie. - My tutaj, we czwórkę, rozmawialiśmy, że powinno się zaprosić i piątą osobę.
- Kogo? - zapytał Ram.
- Najwybitniejszego na świecie wroga mafii, Hiszpana nazwiskiem de Castillo. Tylko że tak jak on zaciekle ściga skorumpowanych urzędników i mafiosów, tak samo zaciekle oni ścigają jego. W końcu po licznych napadach na niego musiał na jakiś czas zejść do podziemia. Został poważnie ranny, niestety. A szkoda, bo on by był tutaj naszą najważniejszą kartą, wie naprawdę wszystko o bandach i ich przywódcach.
- To rzeczywiście szkoda - zgodził się Ram. - Ale spróbujemy poradzić sobie sami. Dziękuję wam, że mimo wszystko zechcieliście przyjechać.

6

Altea siedziała przy śniadaniu, kiedy jej ojczym, Jack Loman, wszedł do ocienionej altany. Dziewczyna mimo woli skuliła ramiona, a on, również nieświadomie, wciągnął brzuch.

- Sama tak siedzisz, kochana córeczko? - powiedział swoim najłagodniejszym głosem. Obłeśnym, jak uważała Altea.

Loman lubił nazywać ją córeczką, to sprawiało, że odczuwał przyjemny dreszcz, jakby sięgał po zakazany owoc.

- Niezbyt często się tutaj oboje spotykamy - mówił dalej.

Rzeczywiście, pomyślała z niechęcią. Skoro lubisz tak długo spać i zwlekasz się z łóżka dopiero koło południa...

Położył rękę na jej ramieniu i przesuwając ją delikatnie. Altea zerwała się

gwałtownie.

- Przykro mi - powiedziała. - Przykro mi, ale właśnie skończyłam, będziesz więc musiał zjeść śniadanie w samotności.

Potem wybiegła z altany.

Na twarzy Jacka Lomana pojawił się grymas zawodu.

Judy obserwowała całe zajście ze swojego okna i jej piękne wargi skrzywiły się z irytacją.

Przeklęta dziewczyna, czy ona musi zachowywać się tak odpychająco? Z drugiej jednak strony, Altea ma dopiero szesnaście lat. Trudny wiek. Ciągłe w opozycji wobec rodziców. Nowo obudzona samoświadomość. Pragnienie wolności.

Uff! Jakie to wszystko trudne! Żeby tylko Jackowi nie znudziły się te kaprysy nastolatki!

Jeszcze tego samego popołudnia Altea miała w swoim pokoju wizytę. Odwiedziła ją matka.

Judy na ogół była matką pełną rezerwy i przez całe życie Altei trzymała się dyskretnie w cieniu. Tak przynajmniej uważała córka. Czasami nawet zbyt dyskretnie. Niekiedy Altea zastanawiała się, czy w ogóle ma jakąś matkę.

Judy była ciemna, miała doskonale regularne, klasyczne rysy. Proste brwi i usta, które chyba za bardzo obawiały się zmarszczek, by pozwolić sobie na śmiech.

Nosiła starannie uczesane włosy, które właściwie mogłyby już mieć siwe pasma, ale nikt, nawet sama Judy nie wiedział, czy mają, ponieważ były nieustannie farbowane. Linie szczęk i szyi były tak napięte, że mimo woli, zresztą całkiem słusznie, patrząc na nią, myślało się o operacjach plastycznych twarzy. Nietrudno też było zauważyć, że pani utrzymuje surową dyscyplinę dietetyczną, wystarczyło spojrzeć na jej wychudłe ręce.

W młodości wielokrotnie proponowano jej, by została modelką, ale Judy była panną z dobrego domu, należała to najwyższych kół towarzyskich Bostonu, więc zawód modelki... Tego się po prostu nie robi. Pochodziła z bardzo bogatej rodziny, została wydana za męża za jeszcze bogatszego człowieka, potem urodziła Alteę,

którą wychowywała armia nianiek i innych służących. Judy pozwalała małej przychodzić do siebie wieczorem po chłodny pocałunek na dobranoc. Dbała, by dziecko było pięknie ubrane, wciąż wydawała niańkom polecenia i wygłaszała reprimendy. Do tego sprowadzał się jej kontakt z dzieckiem, ale sumienie miała czyste, bo ona sama była wychowywana w taki sam sposób.

Teraz stała sztywno przy drzwiach i patrzyła na Alteę, która podniosła się zdumiona i wyczekująca. Matka zaczęła bez wstępów:

- Altea, czy ty nie mogłabyś być bardziej sympatyczna dla swojego ojca?
- Jack nie jest moim ojcem.

Zirytowana Judy potrząsnęła głową.

- Nie jest, ale robi, co może, żeby nim być dla ciebie.
- Naprawdę? - zapytała Altea lodowatym tonem.
- Daje ci przecież wszystko, czego tylko możesz zapragnąć. Jest najsympatyczniejszym ojczymem, jakiego mogłabyś mieć!

Dziewczyna zaczerwieniła się.

- Mamo, jak ty mogłaś za niego wyjść? - wysyczała.

Twarz Judy napięła się gniewnie, wyraźnie teraz było widać, jaka naciągnięta jest jej skóra. Wydawało się, że w każdej chwili może pęknąć jak pergamin.

- Chodzi ci o to, że wyszłam za mąż tak krótko po śmierci twojego ojca? Kochana Alteo, twój ojciec nie był takim wspaniałym człowiekiem, jak ci się zdaje...
- Ani słowa na temat taty! - syknęła znowu dziewczyna.
- Nie, oczywiście, że nie. Ale twój tata zaczął tracić kontrolę nad swoimi przedsiębiorstwami, a wtedy Jack zaproponował, że pomoże mu wydostać się z kłopotów...

- Więc ty znałaś Jacka przed śmiercią taty?
- Tak, przecież byli kolegami.

Jack nie miewa kolegów, pomyślała Altea.

Matka mówiła dalej:

- Ktoś zamierzał nas zrujnować, ale Jack nam pomógł. A kiedy ojciec zmarł...

- No właśnie, jak on właściwie umarł?
 - Nie wiesz? Wypadek samochodowy. Wpadł na niego jakiś samochód. Jack zachowywał się potem jak prawdziwy przyjaciel. Pocieszał mnie. Robił dla mnie wszystko...
 - I był bardzo bogaty, prawda? Najbogatszy człowiek na świecie, tak ludzie mówią. Jak, u diabła, doszedł do takiego majątku?
 - Altea! W tym domu się nie przeklina! Co ty sobie właściwie wyobrażasz?! Proszę cię, żebyś była miła dla swojego opiekuna, i co słyszę w odpowiedzi? Ordynarne słowa i przekleństwa! Chyba sobie na to nie zasłużyłam!
- Judy odwróciła się na swoich wysokich obcasach i wymaszerowała z pokoju.
Och, mamo, jęknęła Altea w duchu. Jak możesz być taka ślepa?

Sam Jack był bardzo zajęty w swoim gabinecie. Kiedy jednak rozmawiał z dwoma ze swoich zaufanych ludzi, narastała w nim coraz większa irytacja.

Judy stoi na przeszkodzie. Jest jak rzep, którego nie może się pozbyć. Za każdym razem kiedy miał okazję zbliżyć się fizycznie do Altei, pojawiała się Judy.

Albo Altea uciekała, ale to akurat rozumiał i na ogół mu to nie przeszkadzało, raczej wzniecało podniecenie.

- Tak? - zapytał rozkojarzony. - Powtórz, co powiedziałaś, Ross.

Obaj mieli maseczki na twarzach, więc ich głosy brzmiały niewyraźnie.

- Powiedziałem, że nasi drobni konkurenci w tej dziedzinie przygotowują przewrót.

Chcą przejąć cały syndykat transportowy w Stanach.

- Nie mogą tego zrobić!

- Owszem, działali niepostrzeżenie, posuwali się krok po kroku. Jeśli nie podejmiemy drastycznych środków, i to szybko, cały kartel wymknie się mam z rąk - Przecież wiesz, jak lubię drastyczne posunięcia - uśmiechnął się Loman ponuro. - I nikt nie będzie mi bezkarnie deptał po palcach.

Zamyślił się. Gdy chodziło o jego absolutne panowanie nad wielkimi dziedzinami gospodarki światowej, jego mózg zawsze pracował bardzo efektywnie. Irytowała

go tylko świadomość, że w większości krajów jest poszukiwany i że dlatego nie może się swobodnie poruszać po świecie. Musiał siedzieć w tej dziurze niczym pajak w kącie i stąd doglądać swoich interesów.

Ale i to mogło być bardzo przyjemne.

Podjął decyzję. Napisał parę słów na kartce.

- Ross, załatwisz tę sprawę. Wolne ręce. Chcę mieć wolne ręce!

Ross uśmiechnął się i wyszedł.

- No, Devlin - powiedział Loman do drugiego z mężczyzn. - Została jeszcze jedna drobna sprawa, którą ty chyba będziesz mógł dla mnie załatwić...

- Oczywiście! A przy okazji, jak długo właściwie będziemy musieli nosić te przeklęte maski?

- Dopóki niebezpieczeństwo nie minie. Nie wygląda na to, żeby oni się tutaj wybierali, ci jacyś Marsjanie czy kim oni u diabła są.

- Widocznie uważają, że klimat jest zbyt suchy, żeby ktoś tu mieszkał.

- Miejmy nadzieję. Bo słyszałem, że nasi przeciwnicy w Południowej Afryce zostali zbawieni.

- Znakomicie - powiedział Devlin, skorumpowany adwokat, który chętnie podejmował się też innych zadań. - Nie sądzę jednak, żeby dziwna kruczata miała coś wspólnego z religią.

- Ja w ogóle nie rozumiem, o co chodzi. Fanatycy mówią, że to UFO, ale to przecież głupota! A co słyszałeś o tych zestrzelonych?

Devlin potrząsnął głową.

- Jeden z nich to chyba zwyczajny człowiek. Natomiast dwaj pozostali...? Nie otrzymałem jeszcze żadnego opisu. To podobno ściśle tajne.

- Miejmy nadzieję, że nic było ich więcej i że zrobiono z nimi koniec.

- No właśnie. Ale jakie to zadanie przygotowujesz dla mnie?

- Mamy o jedną osobę za dużo w naszym domu. Kogoś, kto odegrał już swoją rolę i teraz nie ma z niego pożytku. Zaczyna być niewygodny.

Kiedy Devlin usłyszał, o kogo to chodzi, długo i ze świstem wypuszczał przez nos

powietrze. Specjalnie zdumiony jednak nie był. Obserwował wydarzenia od początku. Wiedział, że Loman pragnie Judy i co najmniej tak samo wielkiego majątku jej męża. Nietrudno było tak pokierować sprawami, że tamten stracił kontrolę nad swoimi interesami, a wtedy on „przyszedł mu z pomocą”. Potem niewielki wypadek samochodowy i droga do Judy oraz pieniędzy stała otworem. Ona sama wpadła mu w ręce jak dojrzały owoc.

Teraz jednak nie jest już atrakcyjna, choć usilnie pracuje nad zachowaniem urody. Devlin nie był sentymalny, uważał Judy za starą, zimną, egoistyczną wronę. A tymczasem w pobliżu znajdowało się jagniątko. Devlin ma przecież oczy w głowie.

- Jak mam to zrobić, szefie?

Na zmysłowych wargach Jacka Lomana pojawił się uśmiech zadowolenia.

- Dyskretnie, Devlin, dyskretnie! A teraz posłuchaj. Pomyślałem sobie....

- Judy? Czy mogłabyś załatwić dla mnie pewną sprawę w mieście? Devlin cię zawiezie.

Uwodzicielski głos, to zawsze działa. Przynajmniej na nią. Altea była dużo bardziej odporna na takie sprawy, widocznie wciąż jeszcze nie pojęła, co oznacza to mrowienie w jej ciele, kiedy on jest blisko. Biedne dziecko! Ale już niedługo wszystkiego się nauczy.

Judy wyszła ze swojego pokoju i zbliżała się do niego między kwitnącymi w patio pelargoniami. Zdumiona patrzyła na swego męża.

- Mogę przecież pojechać sama.

- Czy silnik w samochodzie się nie zatarł?

- Tak, wczoraj. Pojęcia nie mam, co się stało.

- No widzisz. Ale masz przecież prywatnego szofera i powinnaś korzystać z jego usług. Musisz porozmawiać z burmistrzem w moim imieniu. To nasz człowiek, jak wiesz, ale ja sam jechać do niego nie mogę. Wciąż jeszcze w policji siedzą jacyś imbecyle, którzy niczego nie rozumieją.

Judy zawsze, kiedy patrzyła na swego męża, czuła, że nogi się pod nią uginają.

Takiego uwodzicielskiego wdzięku, takiej władzy i takiego bogactwa często się przecież nie spotyka!

Po krótkiej wymianie zdań, którą Jack zakończył grzmotnięciem pięścią w stół, Judy ustąpiła.

- Ale wezmę ze sobą Alteę, ona prawie nigdy nie wychodzi. Przejdziemy się trochę po sklepach.

Twarz Jacka poczerwieniała. Przez chwilę nie znajdował słów, w końcu jednak zmusił się do spokoju i powiedział:

- Nie ma czasu, żeby czekać, aż się młoda dama ubierze, siedzi przecież w basenie. Pospiesz się, bo burmistrz się zniescierpliwi. Tu są papiery.

Dostała grubą kopertę, po czym Jack się odwrócił i odszedł. Judy stała jeszcze przez chwilę, a potem niepewnie wyszła z domu.

Devlin już na nią czekał z samochodem. Jak zawsze Jack ustalił wszystko z góry, pomyślała. Zawsze jest taki troskliwy.

7

Jak przystało damie z wyższych sfer, Judy usiadła na tylnym siedzeniu. Niech sobie Devlin będzie adwokatem jakim tylko chce, jej nie wypada siedzieć z przodu.

A zresztą, adwokacka kariera Devlina była krótka. Bardzo szybko ujawnił skłonność do niezbyt eleganckich metod postępowania, teraz jednak przebywał i poza granicami swego ojczystego kraju i znakomicie pasował do stajni Jacka. Kiedy chciał, potrafił odgrywać eleganckiego człowieka, gdy jednak na chwilę przestał na siebie uważać, natychmiast wyłączył z niego ordynarny prostak.

Dzisiaj był ubrany jak przystało na wyjazd do miasta.

Judy siedziała i patrzyła przez okno na przerażająco pusty, wymarły krajobraz.

Jack jest naprawdę fenomenalnie zdolny, że potrafił w takiej okolicy stworzyć ów raj, w którym żyją.

Jack... poczuła ciepło pod skórą i niepokój w sercu. Jaka wspaniała partia jej się trafiła po śmierci pierwszego męża! Tamten też nie był zły, w żadnym razie, był

prawdziwą wielkością w bostońskim towarzystwie, a tak bogaty, że nawet nie znał wszystkich swoich aktywów, aż do końca, kiedy nagle wszystko zaczęło się sypać. Jako mąż jednak był, niestety, nudny, to Judy musiała przyznać, i jako kochanek też nie nadzwyczajny. Zwłaszcza jeśli porównać jego dokonania z możliwościami Jacka. Ten wdarł się w jej życie niczym burza, okazał jej takie uwielbienie, że była kompletnie oszołomiona. Poza tym wiedziała, że jest niesamowicie bogaty i posiada nieprawdopodobne wpływy. Układny, elegancki świat Judy zaczął się chwiać, nie wiedziała, co ma robić, w jego obecności była jak z galarety, wystarczyło, że usłyszała jego imię, a traciła panowanie nad sobą. Był po prostu samcem!

I oto nieoczekiwanie zmarł jej mąż. Zginął w wypadku samochodowym. Judy była rozdarta między uczuciem ulgi a okropnymi wyrzutami sumienia. Wtedy Jack był przy niej nieustannie i pocieszał ją. Odnosił się też fantastycznie do Altei, która miała wówczas trzynaście lat.

Pamiętała tamten moment, kiedy Jack i ona po raz pierwszy przekroczyli granicę „tego, co wypada”. Dopiero od dwóch miesięcy była wdową, ale nie byli w stanie przeciwstawić się pożądaniu. Wtedy to Judy dowiedziała się, czym może być miłość fizyczna.

Pełen czułości uśmiech Judy zgasł pod wpływem niepokoju. W ostatnim czasie Jack jest dziwnie nieobecny. Czyżby borykał się z jakimiś problemami w interesach? A może to nieodpowiednie zachowanie Altei tak go irytuje?

Judy powinna mu kupić coś naprawdę ładnego, to może znowu się do niej uśmiechnie w ten taki podniecający, obezwładniający sposób.

Nagle drgnęła.

- Czy to właściwa droga? Dlaczego jedziesz w tym kierunku?

Devlin widział jej twarz w lusterku. Powiedział, że ma zabrać coś dla Jacka z kopalni, to nie potrwa długo.

Mam nadzieję, pomyślała Judy i znowu opadła na siedzenie.

Co to za okropna okolica. Taka niehumanitarna, bezlitosna, całkowicie obojętna wobec

wszystkiego, co próbuje tutaj żyć. Judy nienawidziła tej martwej pustyni otaczającej hacjendę śmiertelnym pierścieniem.

Teraz starannie, z grymasem obrzydzenia strząsnęła z ubrania pył, który przedostawał się do środka przez szparę w oknie. Wygładziła swój piękny jedwabny kostium w kolorze piasku. Jack nalegał, by właśnie tak ubrała się na wizytę u burmistrza. „Ale on się zlewa w jedno z kolorem pustyni”, odpowiedziała ze śmiechem, lecz zrobiła, jak Jack sobie życzył.

Mimo otaczającej ją zewsząd martwoty nie tęskniła za Bostonem. Większość przyjaciół odwróciła się od niej, kiedy ponownie wyszła za mąż. To bardzo nieładnie z ich strony, widocznie byli bardziej przyjaciółmi jej zmarłego męża niż jej. Tu jednak żyło jej się dobrze, czuła się bezpieczna, strzeżona przez silnych mężczyzn. W miastach panowała coraz większa przestępczość, rządili kryminaliści, trudno było bezpiecznie poruszać się po ulicach nawet w biały dzień. Mało kto odważył się wyjść z domu bez uzbrojonej eskorty. Zresztą i we własnym domu nikt nie był pewien dnia ani godziny.

Judy bardzo dobrze wiedziała, że niektórzy z ludzi odwiedzających Jacka stoją po niewłaściwej stronie prawa. To jednak czyniło go w jakiś sposób jeszcze bardziej interesującym. Zresztą w dzisiejszych czasach każdy musi zaciekle walczyć o własną egzystencję, czyż nie? Nie żeby uważała Jacka za gangstera, nic podobnego, ale od czasu do czasu bywał pewnie zmuszony robić interesy z ludźmi, jakich wolałoby się nie znać. Sam tak kiedyś powiedział, kiedy zwróciła uwagę na wygląd jednego z gości. Tacy ludzie stanowili jedynie ogniwa pośrednie, chłopcy na posyłki, nic więcej. Wszystkie jego ważne interesy były, rzecz jasna, najzupełniej uczciwe.

Judy nigdy się nie mieszała do interesów Jacka.

Uff! Ależ wyboista droga! A poza tym, czy kopalnia jeszcze działa? Przecież miała być zamknięta... Tym razem Jack nie pomyślał chyba o niej, dlaczego kazał Devlinowi jechać do kopalni akurat teraz, z nią? To w ogóle do niego niepodobne...

Powinna jeszcze raz porozmawiać z Alteą, nakłonić córkę, by zaczęła cenić Jacka, odnosić się do niego bardziej przyjaźnie, wtedy nastrój w domu się poprawi. Bo co by to było, gdyby Jack stracił cierpliwość i zażądał, żeby Altea się wyprowadziła?

Przez ułamek sekundy Judy była pewna, że to najlepsze rozwiązanie, ale zaraz doznała wyrzutów sumienia.

Nie, nie, tak nic można, Judy jest dobrą matką, nikt nie może zaprzeczyć! Samochód się zatrzymał, byli na miejscu. Kilka porzuconych starych rynien, to niemal wszystko, co zostało z dawnej kopalni. Potwornie samotne miejsce.

- Wsiadaj! - zarządził Devlin.

- Co takiego?

Devlin się odwrócił.

- Powiedziałem, wsiadaj! Natychmiast!

- Dlaczego? Czy z samochodem coś nie w porządku?

- Z samochodem? Nie.

- W takim razie nic rozumiem...

Devlin bez słowa wysiadł z samochodu i gwałtownym szarpnięciem otworzył jej drzwi.

- Nie, Devlin, coś ty! To najgorsze, co... załatw szybko, co masz załatwić, zabieraj, co trzeba, i jedźmy z tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca!

Złapał ją za ramię i wyciągnął z samochodu, mimo że się opierała. Na zewnątrz upał był dławiący.

Judy zaczęła się bać.

- Devlin, tyś chyba zwariował? Nie zastanowiłeś się, co Jack na to powie?

Tamten zaśmiał się szyderczo.

- Jack? Chyba nie powie nic takiego. Zjrzyj no do tej koperty, którą ci dał!

Wciąż niczego nie pojmując, rozerwała kopertę. Znajdowały się w niej równo poskładane kawałki gazety.

To Jack zakleił kopertę, w jej obecności. On jej to dał.

- Devlin, co to wszystko znaczy? Co ty robisz, dlaczego działasz przeciwko swemu pracodawcy?
- Wypełniam jego wolę - odparł Devlin chłodno.
- Wcale ci nie wierzę. Jack by nigdy...
- Nie? Otóż dowiedz się, że nie jesteś już pożądana, stara babo!
- Jak ty do mnie mówisz?
- Tak, jak mi się podoba. Jack ma teraz inne zainteresowania, nie pojmujesz tego? Oczu nie masz czy jak?

A kiedy patrzyła na niego zrozpaczona, wciąż nie rozumiejąc, co się dzieje, ryknął na nią:

- On chce usunąć cię z drogi, bo zamierza cieszyć się twoją córką, naprawdę tak trudno to zrozumieć?
- Altea? - wrzasnęła Judy. - To ona uwodzi mojego męża?
- Nie, no coś ty, naprawdę jesteś taka głupia, ty stara pomarszczona harpio? Altea nie zwraca na niego uwagi, będzie potrzebował mnóstwo czasu, żeby ją obłaskawić. No i na tym właśnie polega cała sprawa, jeśli mu się to nie uda, będzie musiał posunąć się do zwyczajnego gwałtu.

Judy skuliła się, słysząc te brutalne słowa. Myśli gorączkowo krążyły jej w głowie. Wszystko się rozpadło, straszliwa pewność zaczynała do niej docierać. Kurczowo trzymała się jednak swego, nie przyjmowała do wiadomości słów Devlina, nie chciała.

Pochyliła głowę.

- Nie wierzę ci. To ty włożyłeś kawałki gazet do koperty, rozum ci się pomieszał. Jak śmiesz tak oczerniać Jacka za jego plecami? Zobaczmy, co powie, kiedy mu o tym wszystkim doniosę! Bo zrobię to, możesz być pewien!

Devlin z niedowierzaniem kręcił głową.

Judy poczuła na plecach lodowaty chłód, choć przecież panował straszliwy upał.

Zapytała pełnym najwyższej niechęci tonem:

- Co, może chcesz mnie zastrzelić?

Chciała, żeby to zabrzmiało jak żart, ale głos Devlina był zimny:

- Nie. Jack uważał, że to by była zbyt łagodna śmierć dla ciebie. Rozzłościłaś go, stając mu na drodze. Sama jesteś sobie winna. Dlaczego nigdy nie pozwoliłaś mu zostać z Alteą sam na sam?

To nie może być prawda, Jack mnie kocha, nie ma czulszego męża, przeżyliśmy tyle cudownie intymnych chwil.

Chociaż najszcześniejsze czasy chyba minęły...

Altea! O Boże! Sama z tymi wszystkimi mężczyznami na rancho. Sama z nim?

Nie, nie, nic się tu nie zgadza, to musi być dzieło Devlina, jego pomysł, Jack nic o tym nie wie.

Usiłowała dostać się do samochodu, na przednie siedzenie, ale Devlin był bezlitosny.

Chwycił ją, aż zaboląło, i z całej siły odepchnął od samochodu. Naprawdę nie miał miłosierdzia, wysyczał przez zaciśnięte zęby:

- A jak umarł twój pierwszy mąż? Nie wiedziałaś? To ludzie Jacka go rozjechali.

Najpierw jednak Jack uświadomił mu, że znalazł się na krawędzi bankructwa i że tylko on może mu pomóc. A wszystko po to, byś ty została piórkiem u jego kapelusza i by mógł zgarnąć wszystko, co ty z mężem posiadaliście.

- Nie, nie, to kłamstwo - jęknęła, próbując się wyrwać. Nie udało jej się to, Devlin trzymał ją mocno. - Jack mnie kocha.

- On cię pożądał, bo byłaś wtedy piękna i ponętna, trofeum najszlachetniejszego gatunku. Teraz twoja własna córka jest twoją rywalką. A w porównaniu z nią wyglądasz jak dobrze zakonserwowana mumia.

- Jesteś sadystą - powiedziała ostro i stłumiła dławiący ją w gardle płacz.

- Dziękuję za komplement, bardzo mnie to cieszy. Ale, jak powiedziałem, sama jesteś sobie winna. Nigdy nie słyszałaś o skrywanej niechęci młodych kochanków do swoich pań?

- To w każdym razie do nas się nie odnosi. Nie jestem starsza od Jacka, przynajmniej nie tak bardzo.

- Wystarczająco.

Judy poczuła potrzebę, żeby zacząć głośno krzyczeć, ale umiejętność panowania nad sobą, którą ćwiczyła przez całe życie, pozwoliła jej się otrząsnąć. Tak strasznie ją to wszystko bolało. Dławił ją ponury żal i rozpacz. To nie może być prawda!

Doszli do miejsca, gdzie dawniej musiało się znajdować wejście do kopalni. Teraz było zamknięte, prawdopodobnie na stałe, a w głębi widać było przypominające chłodną piwnicę pomieszczenie.

Judy instynktownie odskoczyła.

- Chcesz mnie tam zamknąć?

- W tym przyjemnym chłodzie? O, nie, tak dobrze ci nie będzie.

Uważnie spojrzał jej w oczy.

- Czy wiesz, że sępy mają najlepszy na świecie zmysł powonienia?

Judy wrzasnęła i szarpnęła się z siłą, jaką dać człowiekowi może tylko śmiertelny strach, i wyrwała się Devlinowi. Pobieгла do samochodu.

Cios kolby pistoletu w tył głowy sprawił, że straciła przytomność.

Obudził ją potworny, pulsujący ból w czaszce.

Słońce świeciło tak ostro, że nie odważyła się otworzyć oczu. Obie ręce miała rozłożone i przywiązane do jakichś desek, tak jej się przynajmniej zdawało, leżała skośnie, z głową wyżej. Domyśliła się, że położył ją na wyłamanych drzwiach, stanowiących przedtem zniknięcie kopalni.

Nogi też miała mocno przywiązane. Leżała niczym litera X z rozłożonymi rękami i nogami.

I była naga.

Długie godziny opalania nad basenem uodporniły jej skórę na działanie słońca, ale teraz znajdowała się poza chłodną hacjendą. Tutaj było gorąco jak w piekarniku. Promienie słońca zdążyły już poparzyć jej nagie ciało, spadały na nią niczym ostre, kłujące szpile, była rozgrzana do granic wytrzymałości. Nawet

drewno, do którego została przywiązana, było takie rozpalone, że starała się dotykać go jak najmniej. Ale to było, oczywiście, bardzo trudne.

Zaczynała się budzić pamięć.

Jack? Jack, który jej już nie chce. Miłość jej życia.

Nikt nie będzie jej szukał. Została całkiem sama, bez przyjaciół. Nie, Jack na pewno przyjdzie. Tylko że Devlin trzyma go w areszcie. Tak to musi być!

Słyszała sępy, słyszała też kondory, krzyczały ostro w górze nad nią.

Głupi Devlin, pomyślała nieoczekiwanie. To nie sępy mają najlepszy węch na świecie, lecz rekiny. Oraz owady. I jeszcze świnię, myślała, choć zbierało się jej na płacz.

Chociaż sępy też mają się czym pochwalić, to prawda.

O Boże, bądź miłosierny!

Ale kroplą, która przepełniła czarę goryczy, było mroczne wspomnienie, ukryte gdzieś w podświadomości.

Ciało Devlina na niej. Spocona, sapiąca gęba, która przesłoniła słońce. A potem znowu ciemność.

Teraz wiedziała, że została zgwałcona.

Jej upokorzenie było absolutne, zostały przekroczone wszelkie granice poniżenia...

Trudno sobie wyobrazić straszniejsze odejście z tego świata, pomyślała załamana.

8

Na ogół służących do wykonywania najprostszych prac poszukiwano w dzielnicach slamsów okalających miasta. Stawiano tylko jeden warunek: mężczyźni powinni być silni i raczej brutalni, w każdym razie nie powinni mieć zbyt wrażliwego sumienia. Dziewczęta zaś powinny być młode, ładne i pracowite.

Nellie była niewysoką siedemnastoletnią dziewczyną z pochodzenia pół - Indianką i właśnie niedawno została zatrudniona w hacjendzie. Jej wuj opiekował się w posiadłości basenami, i to on ją polecił państwu. Bardzo przypadła do gustu

zarówno właścicielowi, jak i jego ludziom - bardzo ładna, choć może figurę miała trochę zbyt krępa, ufna i chętna do pracy. Robiła wszystko, co jej kazano, i nie zadawała głupich pytań.

Zanim opuściła blaszany barak, który był jej rodzinnym domem, musiała wysłuchać długich napomnień matki, że powinna być miła, nie potykać się, nigdy się nie mieszać do spraw, które jej nie dotyczą, i tak dalej, i tak dalej. Powinna być zawsze czysto i starannie ubrana. Wuj otrzymał za nią zapłatę, teraz więc musi robić wszystko, co jej panowie każą.

Nellie patrzyła na matkę wielkimi, sympatyczny - mi oczyma i przytakiwała spłoszona. Miała, jak większość Indian z dżungli, krótką szyję, szeroką twarz i ramiona. Sterczące czarne włosy zostały ostrzyżone na pazia. Mimo dość krępej figury było w niej coś dziwnie kruchego. Dosłownie emanowała czystością, również czystością spojrzenia oraz czystością ducha.

Nigdy przedtem nigdzie nie pracowała, teraz myślała z przerażeniem, że potknie się na każdym progu. Albo wyleje zupę z wazy, zanim doniesie ją do stołu, będzie się więc musiała zatrzymywać po drodze wiele razy, żeby do tego nie dopuścić. Ale nie powierzono jej aż tak odpowiedzialnych zadań, miała czyścić toalety i sprzątać po kocie pani Loman, który włóczył się po całym domu i sikał, gdzie popadło.

Była trzeci dzień w hacjendzie, kiedy ogarnęło ją uczucie, że nie wszystko jest tu tak jak trzeba. To, że pozostała służba będzie ją traktować, jak osobę niższego gatunku, jej nie dziwiło, spodziewała się tego. Nie, jej się wydawało, że to państwo mają problemy. Zainteresowanie Nellie wzbudzała śliczna pani Altea, która przenosiła się z miejsca na miejsce i najwyraźniej źle się czuła w tym całym bajecznym przepychu.

Pani domu nigdy nawet nie spojrzała w stronę Nellie. A zresztą tego dnia nie było jej w domu.

Ale sam szef, to znaczy właściciel, o, tak, on jest jakiś dziwny. Zlustrował Nellie od góry na dół i znowu do góry, jakby była kawałkiem mięsa, który zamierzał kupić.

Podobnie zachowywali się różni jego podwładni, którzy bardzo czymś zajęci biegali po domu i po całej posiadłości. Jeden z nich klepnął ją w pupę tak, że podskoczyła przestraszona. Na co on, zadowolony, wybuchnął śmiechem. Później zobaczyła, że inny z mężczyzn uszczypnął pokojówkę, ta jednak zachichotała i poszła dalej, kołysząc biodrami.

Czy to tak właśnie zachowują się elegancyści państwo? Nellie nie spodziewała się czegoś takiego. Była przekonana, że Najświętszej Panience to by się nie podobało. To po prostu nieprzyzwoite.

W tym momencie zawołała ją gospodyni. Kot znowu wyszedł na przechadzkę.

To nic dziwnego, że ktoś, kto ma kilkanaście lat, tęskni za rówieśnikami, wszyscy o tym wiedzą.

Altea niczym się nie różniła od innych młodych ludzi. Z tą tylko różnicą, że jej tęsknota za światem była wyjątkowo silna, dziewczyna żyła bowiem jak w więzieniu, zamknięta, skazana na samotność.

Na hacjendzie zapadał zmierzch. Wrócił Devlin, dziwnie podniecony, ale Judy nie było.

- Gdzie mama? - zapytała Altea przy obiedzie, który bardzo niechętnie musiała jeść w towarzystwie Jacka. Na szczęście był dzisiaj jako tako przyzwoicie ubrany, więc nie straciła apetytu na jego widok.

- Mama przed chwilą dzwoniła. Spotkała w mieście jakąś przyjaciółkę z dawnych czasów i wybrała się z nią do Valparaiso.

Uff, jakie to okropne, pomyślała Altea. W tym domu trudno wytrzymać, kiedy jest mama, a bez niej to już będzie naprawdę nieznośnie!

Jestem młoda, chcę wyjść na zewnątrz, czy oni tego nie pojmują? Muszę przecież spotykać jakichś rówieśników. Czuję straszny niepokój w całym ciele, z roku na rok jest coraz gorzej, z dnia na dzień. Dlaczego mama nie zapytała, czy ja też nie chciałabym pojechać? Jak ona mogła zostawić mnie tu samą, i to na wiele dni?

Altea podniosła wzrok i stwierdziła, że Jack jak zaczarowany wpatruje się w

wycięcie jej sukni. Co jest z tym facetem, w głowie mu się miesza, czy co?

Widząc jej gniewny wzrok opanował się.

- Odrobinę wina, Alteo?

- Co takiego? Przecież mama nie pozwala mi pić alkoholu.

- Mamy nie ma, a ty jesteś już dużą dziewczynką. Patrz, spójrz na ten kryształowy kieliszek, widzisz, jak wino się skrzy w blasku świateł? Niczym rubiny. A właśnie, może byś chciała mieć rubiny? W ubiegłym tygodniu dostałem przesyłkę...

- Nie, dziękuję, po co mi rubiny? Tutaj?

W tym grobie, chciała dodać, ale uznała, że nie warto bez potrzeby drażnić Jacka. Zdawała sobie sprawę z tego, że mógłby być groźny, chociaż dotychczas zawsze zachowywał się wobec niej przyjaźnie.

Zbyt przyjaźnie. Uważała często, że jest w stosunku do niej obleśny.

Kreolska służąca wniosła tacę z warzywami. Altea była pewna, że w razie czego nie miałyby w niej sojuszniczki, przed paroma miesiącami zauważyła, jak w czasie sjeisty Jack wychodził z pokoju tej dziewczyny. Mogła była wtedy naskarżyć matce, ale nie zrobiła tego. Źle pojmowana lojalność? Sama nie wiedziała.

Obiad włókł się i włókł. Jack zachowywał się swobodnie, jak to on, gadał jak najęty, Altea odpowiadała półśłówkami.

Po obiedzie najchętniej zamknęłaby się w swoim pokoju na klucz, ale miał być w telewizji film, który od dawna pragnęła zobaczyć. Nie poszła jednak do żadnego z wielkich salonów z ekranami na całą ścianę, wybrała mały pokój telewizyjny w bocznym skrzydle. Nie chciała, by jej przeszkadzano.

Pod koniec filmu zauważyła, że nie jest w pokoju sama. Było późno, już po północy, sądziła, że wszyscy poszli spać.

Sylwetka stojącego za nią mężczyzny odbijała się w ekranie telewizora. Odwróciła się zirytowana i zobaczyła ojczyma. Miał na sobie bardzo elegancki szlafrok, w rękach trzymał dwie szklanki whisky. Gdy nimi poruszył, rozległ się chrzęst lodu. Miało to chyba brzmieć uwodzicielsko. Tym razem był bez maski.

- A więc to tutaj się schowałeś? - powiedział z przymilnym uśmiechem. Po prostu

ociekał zmysłowością. Szlafrok rozchyłał się na piersiach tak, że widać było wszystkie ciężkie, złote łańcuchy wplątane w czarne, kręcone włosy. Był jak zawsze przesadnie opalony.

Nieoczekiwanie przyszła Altei do głowy pewna myśl: Dlaczego Jack, inni zresztą też, tak się zawsze pogardliwie wyrażają o ludziach innych ras, nazywając ich czarnuchami, dlaczego oni tak nienawidzą ciemnej skóry, a jednocześnie mogą godzinami leżeć na słońcu, żeby się możliwie jak najbardziej opalić? Może ta nienawiść wypływa z zazdrości?

Cóż, Altea nie była jedyną osobą, którą to dziwiło.

- Nie zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa i wypić ze mną drinka?

Altea potrząsnęła głową.

- Oglądam film.

- Och, wybacz, jeśli ci przeszkadzam.

Nieproszony usiadł przy niej na kanapie. Szklanki postawił na niskim stoliku.

Ta jego mdła woda po goleniu! Pewnie jakaś znakomita marka, ale czy on musi się w tym kąpać?

Zepsuje mi swoją obecnością ciekawe zakończenie filmu, myślała ze złością. On jednak siedział spokojnie i obserwował wyścig łodzi na ekranie. Film był dość stary.

Jack dwukrotnie podsuwał jej szklankę, ale ona wciąż odmawiała. Odniosła wrażenie, że ojczym zaczyna tracić cierpliwość.

Zakończenie filmu było jednak tak wciągające, że Altea nie zauważyła, iż Jack bardzo się do niej zbliżył, wyciągniętą rękę położył na oparciu kanapy za jej plecami i zepchnął dziewczynę w róg kanapy.

- Moja duża córeczka - szepnął, nie odwracając oczu od ekranu.

Altea siedziała sztywna jak kij. Gdy tylko film dobiegł końca, schwyciła żakiet, który powiesiła na oparciu krzesła.

Ale Jack zastąpił jej drogę.

- Altea, dlaczego zachowujesz się tak niegrzecznie wobec mnie? Przecież robię

wszystko, żeby ci tutaj było dobrze.

- I jest mi dobrze. Tylko chciałabym mieć własne życie, móc od czasu do czasu wychodzić z domu.

Położył ręce na jej ramionach i powoli przyciągał ją do siebie. Kiedy mówił, zapach whisky buchał jej w twarz.

- Altea, stałaś się taka piękna! A ja jestem strasznie samotny. Twoja matka weszła w taki wiek, że... nie chce już ze mną dzielić łóża.

- Muszę iść.

- Zaraz pójdziesz, ale najpierw ja dostanę całuska. Jesteś przecież moją córką. Po chwili zmienił ton.

- Ja wiem, że ty tego chcesz.

Wrywała się, nie chciała pozwolić, żeby jej dotknął wargami.

- Altea, ja ciebie pragnę - wyznał lekko zachrypniętym głosem, który prawdopodobnie miał brzmieć bardzo seksownie. - Przecież widzisz, że ciebie pragnę, prawda?

Przyciskał ją tak mocno, że nie mogła tego nie czuć. Zrobiło jej się niedobrze, to upokarzające!

- Puść mnie!

- Nie, nie - szeptał, ściskając ją coraz mocniej ramieniem, drugą ręką złapał jej dłoń.

- Tutaj, dotknij tu! Ja cię nauczę wszystkiego o misteriach miłości.

Był tak podniecony, że oddychał ze świstem.

- Nie wyglupiaj się, wiem, że mnie pragniesz.

- Wynoś się do diabła! - wrzasnęła. - Puść mnie, ty perwersyjny stary dziadu!

Wszystko opowiem mamie!

- Spróbuj! - syknął z rozjarzonymi oczyma, nie był już w stanie nad sobą panować.

- Myślisz, że cię wysłucha? Altea... nikt nie umie kochać tak jak ja, wszystkie kobiety to mówią!

Loman rozpiął do końca szlafrok. Pod spodem niej miał nic. Zmusił jej rękę, żeby

ujęła jego członek, miał nadzieję, że to ją podnieci i skłoni do uległości. Przeliczył się jednak, jeśli chodzi o własną siłę oddziaływania na młode dziewczęta. Altea wpadła we wściekłość, w tej sytuacji mogła zrobić tylko jedno. Szarpnęła twarde jak kamień członek z całej siły tak, że o mało go nie urwała. Jack Loman wydał z siebie ryk niczym raniony tur, czuł nieznośny ból, puścił dziewczynę, która natychmiast wybiegła z pokoju, a potem z domu. Pędziła jak szalona przez wielki park. Wiedziała z doświadczenia, że brama jest strzeżona, ale przecież za wszelką cenę musiała wydostać się z hacjendy!

Zostały włączone syreny alarmowe, prawdopodobnie przez samego Jacka Lomana, słyszała przez megafony, jak wrzeszczy do strażników, którzy zewsząd biegli w stronę domu:

- Sprowadźcie mojego doktora, szybko, bo umieram! I złapcie tę przeklętą bestię, Alteę! Nie, nie sprowadzajcie jej tutaj! Zastrzelcie na miejscu!

Altea zatrzymała się na ułamek sekundy, żeby posłuchać, a potem znowu ruszyła przed siebie z sercem w gardle.

Dokąd? Przecież naprawdę nie miała się gdzie podziać. Zapalono wszystkie reflektory w parku i już słyszała ujadanie psów gończych. Zrozpaczona rozglądała się wokół.

W cieniu pod drzewami spostrzegła terenowy samochód. Altea nie umiała prowadzić, wiedziała tylko, jak włączyć silnik. To powinno na razie wystarczyć. Później zorientuje się, co dalej.

Na szczęście samochód był ustawiony we właściwym kierunku, przodem do szerokiej alei wiodącej ku bramie. Altea nie zastanawiała się długo, pobiegła w tamtym kierunku. Kluczyki samochodowe dawno już wyszły z użycia, dziewczyna odnalazła przycisk startowy. Jeszcze raz dopisało jej szczęście, bo samochód nie był zamknięty. Bogu niech będą dzięki!

Włączyła starter i przejechała na skos przez trawnik i klomby, przepaszając w duchu zniszczone kwiaty, znalazła się na drodze do bramy. Musi ją pokonać, to jest gra o życie!

Dobrze wiedziała, że bramy nie można otworzyć nie znając kodu i że jest ona z obu stron chroniona przewodami pod napięciem. Strażnicy już stali pośrodku drogi z bronią gotową do strzału. I w tych głupekowatych maseczkach na twarzach. Altea przypominała sobie niejasno czyjeś powiedzenie, że samochód może uchronić człowieka od uderzenia pioruna, nie wolno tylko dotykać żadnej metalowej części. Miała nadzieję, że to samo odnosi się do elektryczności w ogóle. W takim razie może zdoła sforsować bramę? Musi tylko zwiększyć prędkość.

Przycisnęła pedał gazu do samej podłogi. Kurczowo zaciskała ręce na kierownicy i kuliła się na odgłos kul uderzających w szyby samochodu. Nie mogły jej jednak wyrządzić nic złego, samochód był pancerny.

Altea gwałtownie poderwała nogi w górę, zacisnęła powieki i z rozpędem wpadła na bramę. Rzuciło nią mocno wprzód, słyszała wrzaski odskakujących strażników i łoskot żelastwa, gdy samochód zderzył się z bramą. Zaiskrzyło się, tu i ówdzie buchał płomień, ale jechała widocznie z dostatecznie dużą prędkością, bo znalazła się po drugiej stronie.

Powoli docierało do niej, że jest na drodze i że ma sporą przewagę nad strażnikami, którzy musieli wyprowadzić swoje samochody.

Przez chwilę wszystko układało się znakomicie. Żeby tylko dojechała do miasta, modliła się w duchu. Tam będę mogła się ukryć, myślała. Ale droga stawała się niemożliwie kręta. Altea przejeżdżała, obok kaktusów, wielkich kamieni, raz droga wiodła przez wzniesienie, to znowu opadała w dół, dziewczyna zaczynała tracić kontrolę nad samochodem, bała się jednak zmniejszyć prędkość, w końcu wypadła z drogi, na piaszczystą pustynię.

Widziała wysokie skały, zbliżające się ku niej w wielkim pędzie, na szczęście zdążyła nacisnąć hamulec przynajmniej na tyle, że zderzenie nie okazało się brzemienne w skutki. Dla niej. Bo dla samochodu owszem - odmówił wszelkiego posłuszeństwa.

Altea wyczołgała się z wraka i zaczęła uciekać. Słyszała odgłos samochodów

startujących spod hacjendy, widziała też ich światła, sama jednak znajdowała się dalej, niż początkowo przypuszczała.

Żeby tylko nie zaczęli mnie szukać z helikoptera, myślała półprzytomna ze strachu, to mam jakieś szanse. Jest tak ciemno, że nie znajdą mnie na tej pustyni, a wygląda na to, że nie wzięli psów.

Dotarła rzeczywiście bardzo daleko, widziała nawet światła miasta na wybrzeżu, chociaż dzieliła ją od niego jeszcze wielka odległość...

Potykała się i ślizgała, uderzyła się boleśnie, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Łzy ją oślepiały, ale to nie miało wielkiego znaczenia, bo w ciemnościach i tak mało co widziała. Miała w głowie tylko jedną myśl: muszę odejść jak najdalej od drogi!

Biegła więc dalej zapłakana, kulejąca, podrapana, zakrwawiona i wystraszona. Biegła i biegła.

I nagle... straciła oddech. Czuła rozrywający ból w piersiach i nie była w stanie złapać powietrza.

Serce! W panice zapomniała o swoim słabym sercu. Nie wolno go było narażać na wysiłek fizyczny i zbyt wielkie wzruszenia.

Dzisiaj dostarczyła mu aż nadto i jednego, i drugiego.

Chwyliła się za piersi i opadła na kolana. Próbowwała ułożyć się najwygodniej, ale tu nie było wygodnych miejsc, wszędzie wyschła, kamienista ziemia.

Oddech był ciężki niczym ołów. Tabletki...

Nie zabrała z domu żadnego lekarstwa.

Altea nie musiała obawiać się helikoptera, tę maszynę zabrał sam Jack Loman.

Był przerażony i rozhisteryzowany, przyrodzenie opuchło mu strasznie, a wezwany lekarz, który zawsze znajdował się na terenie posiadłości, nie mógł wyjść z podziwu i zastanawiał się głośno, jak mogło dojść do takiego okaleczenia.

Gdyby Jack miał więcej siły, zdzieliłby go w twarz za te słowa. Nie poprawiły mu też humoru dowcipy doktora w rodzaju: tylko słonica mogłaby teraz mieć z ciebie pożytek. Jack zdołał jedynie wybąkać coś na temat helikoptera i że musi

natychmiast jechać do szpitala!

Doktor zorientował się, że hacjendę ogarnia chaos, i postanowił jechać razem z chlebobawcą. Szczury uciekają z tonącego okrętu.

Wielu bardzo chętnie by się z nimi zabrało. Bo jeśli Altea dotrze do miasta, to rozpęta się tu piekło. Ale Devlin był bezlitosny, brutalnie spychał wszystkich, którzy chcieli wejść na pokład. Tylko doktor, pilot i dwaj najbliżsi ludzie Lomana, Ross i Devlin, mogą towarzyszyć szefowi.

Devlin zastrzelił wszystkich, którzy znajdowali się na placu startowym, najlepiej nie zostawiać żadnych świadków, taką mieli zasadę. Resztą, czyli tymi, których wysłano, by dogonili i zabili Alteę, zajmie się później.

Loman zawsze tak postępował: Gdy tylko coś się stało w miejscu, w którym właśnie mieszkał, natychmiast zacierał ślady i znikał.

- Do bazy numer dwa - wykrztusił. - Tam mamy szpital, stamtąd polecimy dalej. Tutaj jest zbyt niebezpiecznie. Altea uciekła i nie ma się co zastanawiać nad tym, co będzie, jeśli jej nie dogonią. Może narobić niepowetowanych szkód, jeśli zacznie kłapać dziobem. Lepiej zniknąć.

A na dodatek jeszcze te tajemnicze pojazdy, które budzą takie okropne nastroje wśród ludzi. Zwyczajnym samolotom nie wolno było latać nad posiadłością Lomana. Wszelki ruch lotniczy był tu surowo zakazany, postarali się o to jego współpracownicy. Ale te... te jakieś latające talerze... nikt nie ma nad nimi kontroli. Więc mogły pojawiać się nad hacjendą. Fotografować. Spowodować mnóstwo kłopotów.

- Devlin - wykrztusił z trudem. - W majątku został Kowalski. Każ mu zatrzeć wszystkie ślady. Mam na myśli naprawdę wszystkie!

- Jakiś mały pożar, szefie?

Loman zastanawiał się.

- Nie - odparł w końcu. - Hacjendą jest zbyt wartościowa, żeby ją spalić. Każ mu ją opróżnić. Dokładnie. A potem niech sprzeda za jakąś niebotyczną cenę. I niech do nas dołączy. Sam!

- Musi jednak mieć pomoc, żeby wszystko usunąć.
- Oczywiście, oczywiście, ale potem... ma być sam. Zrozumiano?

No jasne, Devlin rozumiał.

Jack opadł na poduszki i cierpiał. W gruncie rzeczy bardzo lubił efektownie cierpieć.

Zresztą, nieźle jest zostawić to wszystko za sobą. Znudziła go już ta pustynna, pozbawiona życia okolica. Chciał wrócić do świata.

Jeśli tylko ta przeklęta dziewczyna nie pozbawiła go do końca życia szans u innych kobiet!

Umieraj, Alteo, pomyślał w gwałtownym przyływie mściwości. Zasłużyłaś sobie, żeby umrzeć w okrutnych mękach. Tak samo okrutnych, jakie zgotowałem twojej matce, tej przeklętej starej jędzy. Już ja coś dla ciebie wymyślę!

Tak oto Jack Loman został pogrzebany, ten, który dotychczas nosił takie imię i nazwisko, wracał do świata z nową tożsamością. Nikt nie będzie wiedział, kim jestem, cieszył się w duchu.

Żeby tylko lekarze doprowadzili do porządku moje cenne narzędzie, to najcenniejsze, co posiadam, jak twierdzą wszystkie panie. Bo one, biedactwa, nie znają się na inteligencji. Jeśli tylko dostają to, co mogę im zaoferować, to już są zadowolone.

A gdyby już nie mógł...?

Umieraj, Alteo!

9

- Bogu dzięki - westchnął Jori z ulgą. - Księżyc znowu świeci.
- A mnie się zdawało, że wczorajszej nocy księżyc cię denerwował?
- Tak, ale tutaj, w tym kompletnie wymarłym krajobrazie, nic nie widać. Brak jakichkolwiek punktów orientacyjnych.

Sassa z przejęciem pokręciła głową. Nie zawsze potrafi nadać za tokiem rozumowania Joriego.

Siedziała w tylnej części gondoli i spoglądała na ledwie widoczny obłok kropelek,

który się za nimi ciągnął. To ona odpowiadała za pojemniki, ona regulowała intensywność „zraszania”. Pod nimi, u podnóża Andów, rozciągała się chilijska solna pustynia, a w oddali znajdowało się morze. Drgnęła, gdy ponownie rozległ się głos Joriego.

- Księżyc budzi pewnie w tobie wspomnienia z dzieciństwa, prawda? - zapytał nieoczekiwanie przyjaznym tonem jak na tę wyprawę, podczas której absolutnie wbrew swojej woli musiał być odpowiedzialny za Sassę.

- Owszem - potwierdziła w zamyśleniu. - Wiele rzeczy tutaj budzi we mnie stare, na pół zatarte wspomnienia. Jak na przykład śnieg na szczycie Aconcagui. Wtedy z drżeniem przypominałam sobie zimy w Norwegii. Śnieżne zaspasy, w które wpadaliśmy dla zabawy; dzieci uważają, że to bardzo śmieszne. I nikt nie przejmuje się tym, że rękawice robią się mokre i ciężkie niczym ołów, a palce sinieją przy lepieniu bałwana. Ulice jednak nie wyglądają wtedy szczególnie zabawnie. Są śliskie i niebezpieczne, wszyscy chodzą drobnymi kroczkami, jak pingwiny, które skończyły dziewięćdziesiąt lat.

Jori roześmiał się. Ona zapytała rozbawiona:

- No właśnie, jak się tobie podoba świat zewnętrzny, Jori?

Zanim odpowiedział, wykonał elegancki zwrot w powietrzu.

- Niesamowicie mi imponuje. Dla mnie, urodzonego w Królestwie Światła, to świat z baśni. Codziennie odkrywam coś nowego, doświadczam nowych wrażeń. A poza tym nie widać zbyt wiele biedy i zniszczeń. Co z tobą, Sassa? Tęsknisz za Królestwem Światła?

Trudne pytanie. Oczywiście, że ona rozpaczliwie tęskniła za bezpieczeństwem, ciepłem i światłem we wnętrzu Ziemi. Ale przecież tutaj jest z Jorim, na tej fantastycznej wyprawie, i nie wyrzekłaby się tego za nic na świecie.

- I tak, i nie - odpowiedziała dyplomatycznie.

Jori zachichotał.

- Zdajesz sobie sprawę, że chyba pierwszy raz w tej podróży się nie sprzecamy?

- Tak, rzeczywiście, później wrócimy do dawnego stylu. Z tą uprzejmością daleko

nie zajedziemy!

- Chyba tak, nie możemy przecież rezygnować z własnego zdania.

Przez jakiś czas lecieli nad wybrzeżem. Poza miastem trafiały się gdzieś oświetlone gospodarstwa, poza tym panowała ponura ciemność i pustka. Szczyty Andów majaczyły jak blade kolosy pośród nocy, mieniły się pięknie, kiedy czasami padało na nie światło wciąż chowającego się za chmurami księżyca.

- „The stalking moon” - zadeklamował Jori melodramatycznie.

- Co znaczy „stalking”?

- Podstępny. Ktoś, kto się za kims skrada. Prześladowuje. Podgląda ukradkiem.

- Uff! Och, Jori, popatrz tam! Zdaje mi się, że na tym rozległym płaskowyżu widzę światło!

- Tak wysoko? Zwariowałaś?

Skierował się jednak tam, gdzie Sassa pokazywała; Jori zawsze był ciekawski.

- Spryskaj to miejsce.

Sassa odkręciła kran i solidnie chlapnęła rozwodnionym eliksirem.

W drodze ku płaskowyżowi znowu krzyknęła:

- A co to jest tam?

Jori spojrzał na dół. Mijali właśnie jakąś samotną, zrujnowaną szopę czy coś w tym rodzaju, która wyglądała na tej pustyni całkiem nie na miejscu. Woleli nie używać reflektorów, ale na szczęście księżyc dawał trochę mdłego światła.

Jori roześmiał się niepewnie.

- Z tej wysokości nie widzę, ale mam wrażenie, że tam leży człowiek, rozpięty na jakiejś płycie czy czymś takim. Ale to, oczywiście, tylko przywidzenie, to z pewnością ułożone na krzyż deski.

Poleciał dalej.

Sassa milczała zamyślona.

- Czy widziałeś te czarne cienie wokół? - zapytała po chwili. - Myślę, że to po prostu czarne kamienie, a w mojej wyobraźni wyglądają jak drapieżne ptaszyska.

- Sępy? Masz bardzo bujną, ale też straszną fantazję. Och, spójrz, miałaś rację,

na płaskowyzu naprawdę jest światło!

Sassa usiadła obok niego.

- Jakieś wielkie rancho.

- Nie, hacjenda - sprostował Jori. - Albo estancja. Rancho to w Ameryce Północnej. Kto, na miłość boską, jest taki głupi, żeby się tutaj osiedlić? Tak daleko od wszystkiego.

Kierowali się ku hacjendzie, ale lecieli wysoko, nie chcieli być widziani.

- Rany boskie, to niewiarygodne - zdumiewał się Jori. - Widziałaś, jaka tam urodzajna ziemia? Ile kwiatów?

- Więcej niż do tej pory widzieliśmy na całej przestrzeni do trzydziestego stopnia szerokości geograficznej, stanowiącego granicę naszej działalności. Musieli tu po prostu znaleźć jakąś potężną żyłę wodną. To mi pachnie pieniędzmi. Zabierajmy się stąd!

- Zaczekaj, tam na dole coś się dzieje. Zejdźmy troszkę niżej. Daj mi noktowizor, Sassa.

Obserwowali hacjendę, każde przez swój aparat.

- Widziałam, jak strasznie zaiskrzyło się w bramie, kiedy przejeżdżał tamtędy samochód...

- Widzę ten samochód. Ale kierowca jakiś kiepski, nie potrafi utrzymać się na drodze.

- On ucieka, ścigają go. Chcę zobaczyć to dokładniej. Uff, znowu księżyc się schował. Czy nie mógłbyś mieć więcej chęci do współpracy, ty blady leniu? No, niech tam, noktowizory nam wystarczą.

- O rany, teraz pędzi prosto na skały! Na szczęście prześladowcy nie zauważyli, że on zjechał z drogi... tak mi się zdaje.

- Wyszedł z tego, patrz, wyłazi z samochodu. Ale... Czy to kobieta?

- Tak, o mój Boże, ona się zatacza, potyka o kamienie.

- Bo nie ma noktowizora jak my. Co robić, Sassa?

- Przecież nie wolno nam interweniować... - powiedziała niepewnie. - Ale...

- Poczekamy, co z tego wyniknie - zdecydował Jori.

Gondola zastygła w powietrzu. Widzieli, że paru prześladowców zostawiło swoje samochody na drodze, a sami rozbiegli się po nierównym terenie. Na razie biegli w złym kierunku, ale Jori i Sassa nie wyobrażali sobie, by kobieta mogła im uciec.

- Ona sprawia wrażenie bardzo młodej - mruknęła Sassa z noktowizorem przy oku.

- Tak, jest bardzo młoda. Och. Zatrzymała się.

- Ona źle się czuje. To coś więcej niż zmęczenie, Jori, ona wygląda na chorą!

- Zdecydowanie tak. Patrz, upadła, a prześladowcy są niebezpiecznie blisko.

Schodzimy w dół.

- Dziękuję ci - szepnęła Sassa.

Należało działać szybko. Dostali wyraźny i bardzo stanowczy rozkaz, by unikać pokazywania ludziom gondoli. Dopóki wykonują swoją misję w tajemnicy, mogą się poruszać swobodnie. W przeciwnym wypadku ryzykowali, że zostaną zaatakowani przez lotnictwo różnych krajów.

Teraz jednak znajdowali się w przymusowej sytuacji.

Jori, który był jednym z najlepszych pilotów gondoli w Królestwie Światła, po Tsi - Tsundze, rzecz jasna, wykonał wspaniały manewr lądowania. Wyskoczyli oboje z Sassą i wnieśli dziewczynę na pokład, bo była to naprawdę bardzo młoda dziewczyna. Miała sine wargi i oddychała z wielkim trudem, ale na bliższe oględziny nie było na razie czasu, gondola znowu uniosła się lekko w górę.

Dziewczyna leżała z zamkniętymi oczyma. Wargi poruszały się i Sassa pochyliła głowę.

- Tabletki...

Nie był to nawet szept, po prostu tchnienie.

- Gdzie one są? - zapytała Sassa.

- W domu.

- W hacjendzie? Czy mamy je zabrać?

Twarz chorej wykrzywił grymas strachu.

- Nie, nie - jęknęła. - Niebezpiecznie. Mordują!

- Masz chore serce?

- Tak. Blue baby.

- O rany - jęknęła Sassa. - Jori, co my zrobimy?

Otrzymała polecenie skontaktowania się ze Strażnikami z wielkiej gondoli.

Uczyliła to natychmiast i zakończyła swoją informację:

- Przeszliśmy, oczywiście, przed wyjazdem kurs pierwszej pomocy, ale z tym przypadkiem nie damy sobie rady. Tutaj potrzebne są specjalistyczne lekarstwa. Musimy ją odwieźć do szpitala, chyba żeby Marco...

Strażnik, z którym rozmawiała, przerwał jej.

- To niepotrzebne. Przyjechał do nas Jaskari, zamienił Telia, który ma pilne sprawy w Królestwie Światła. Jaskari jest przy mnie, już ci go daję. Marco i tak jest bardzo zajęty.

Z wielką ulgą Sassa wysłuchała poleceń Jaskariego, co ma robić z chorą do jego przyjazdu. Zapewnił, że wyrusza natychmiast.

Jori przejął od niej telefon.

- Jaskari, wylądujemy kawałek stąd. Jest jeszcze coś, co koniecznie musimy sprawdzić, tu się dzieją jakieś ponure sprawy. Sassa będzie utrzymywać z tobą łączność i podawać ci namiary. Ale spiesz się, z dziewczyną jest bardzo źle.

Jaskari tymczasem już był w drodze, Sassa przeprowadziła go przez przełęcz Cumbre i kierowała go w stronę pustyni.

Potem zwróciła się do Joriego.

- Wiem, co masz na myśli. To bardzo dobrze, bo strasznie mnie ten widok niepokoił.

- Mnie też. To było chyba gdzieś tutaj, prawda?

- Tak - Sassa rozglądała się po okolicy. - Tam, przy tej zawałonej szopie.

- Twoje kamienie podeszły bliżej - zauważył Jori cierpko. - Chyba miałaś rację.

Schodzili w dół. Przez noktowizory widzieli dokładnie, że na ziemi istotnie siedzą sępy i że podeszły one strasznie blisko tego przedmiotu leżącego na drewnianej

płycie.

- O rany boskie! - zawołała Sassa. - Jeszcze jedna kobieta! Naga. I potwornie spalona przez słońce. Chyba nie żyje, to niemożliwe.

- Sępy czekają - powiedział Jori.

- No tak, to jest jeszcze nadzieja.

Kiedy gondola wylądowała, ciężkie ptaszyska zerwały się do lotu. Poruszające się ze świstem skrzydła przypominały im potworne bestie z Gór Czarnych.

Uratowana dziewczyna leżała bez oznak życia na jednej z ławek w gondoli.

Chyba nie słyszała, o czym rozmawiają.

- Zostań tu przy niej - powiedział Jori, otwierając drzwi. - Sam to załatwię.

- Masz - powiedziała Sassa, podając mu pelerynę. Jori skinął głową i natychmiast okrył nieszczęsną istotę leżącą na desce.

Była starsza od tamtej, musiała być bardzo piękna, ale teraz twarz miała poparzoną i spuchniętą. Popękane wargi nie poruszały się, rozpalone oczy jednak przemawiały wyraźnie. Kiedy Jori porzycinał więzy, udało jej się wykrztusić:

- Moja córka! Ona jest sama w hacjendzie...

- Myślę, że twoja córka jest tutaj - uspokoił ją Jori. - Ale ona potrzebuje pomocy. Jak najszybciej.

Rozgorączkowane oczy patrzyły na niego w mroku:

- Atak serca?

- Tak. I nie ma lekarstwa. Ale pomoc jest już w drodze. Widzę, że leży tu twoje ubranie, weźmiemy je.

- Dziękuję - wyszeptała. - Ale...

Zrozumiał, o co jej chodzi.

- O naszym pojeździe porozmawiamy później - uśmiechnął się. - Teraz musimy stąd zniknąć. Natychmiast! Bo już słychać helikopter. Widać też jego światła!

We wzroku kobiety malowało się przerażenie.

- Szybko! Uciekajmy! Musimy ratować mojego męża. Wszyscy ludzie go zdradzili.

A moja córka chciała mi go odebrać, czy możecie to zrozumieć?

10

Helikopter leciał ponad drogą, kierował się w stronę miasta. Loman chciał mieć absolutną pewność, że Altea została pojmana i zgładzona.

W końcu maszyna zawisła w powietrzu ponad sześcioma ludźmi, którzy ścigali dziewczynę. Nie było czasu na lądowanie, należało jak najszybciej stąd odlecieć, więc Jack musiałby zejść po linowej drabince, którą mu spuszczone, a potem wejść z powrotem. Nie bardzo jednak mógłby się wspinać o własnych siłach, był półprzytomny z bólu oraz od środków uśmierzających. Chciał zerwać maskę z twarzy, ale nawet tego nie potrafił sam zrobić.

- Co? Nie złapaliście jej? - ryczał Devlin przez telefon komórkowy. Loman zadrżał. Sam nie mógł się z nikim porozumiewać, kiedy wciągnięto go na pokład helikoptera, leżał i jęczał z bólu. Lekarstwa okazały się niewystarczające, oszołomiły go, ale bólu nie usunęły.

W megafonie rozległ się głos jednego ze ścigających:

- Już ją prawie mieliśmy, Fiorelli i ja. Szczerze powiedziawszy, to widzieliśmy, że ona ma atak serca, może nawet już nie żyje.

- Co to za gadanie? Co się z nią stało? Co to znaczy, że może już nie żyje?

Uciekła wam, czy jak?

- Ona została zabrana!

- Zabrana?

- Tak. Przez jeden z tych tajemniczych pojazdów, taki jak te, co to je widziano nad Afryką. Takie coś podobne do łodzi. Zabrali dziewczynę i pojazd wzbił się w powietrze jak kula z taką prędkością, że nasze strzały ich nie dosięgły.

W helikopterze zaległa cisza. Pilot próbował żartować z tego jakiegoś UFO, czy co to było, ale mu przerwano.

- To do czego wyście strzelali? Do księżyca?

- Cholera! - warknął Loman w końcu. Miał wielkie trudności z mówieniem, był szaroblady, zlany potem. - Ross! Zapomnij o wszystkim innym! Zrób co tylko

można, żeby znaleźć tę piekielną maszynę! Inaczej mówiąc, znajdź Alteę i ucisz ją na zawsze! Postaraj się, żeby w chwili śmierci było jej gorzej niż w samym piekle, zrozumiałeś? Doktorze, czy ty, do cholery, już niczego nie potrafisz? Nie możesz nic zrobić z tym moim bólem? Przecież ja skonam!

Nie, nie skonasz, pomyślał doktor. Złego diabli nie biorą!

Devlin chwycił karabin maszynowy i długą serią rozstrzelał sześciu stojących na dole ludzi. Żadnych świadków. Po czym helikopter odleciał.

Ross powiedział ostrożnie z bardzo ważną miną:

- Zdaje mi się, że mamy większe zmartwienia niż to, co zrobi Altea, Jack. Dziś wieczorem dzwonili nasi ludzie ze Szwajcarii. Odbywa się tam bardzo ekskluzywne spotkanie, utrzymywane w wielkiej tajemnicy. Ale my, rzecz jasna, mieliśmy aparaturę podsłuchową w porządku...

- Co? Jakie spotkanie? - wykrztusił Loman zdławionym głosem. Próbował ułożyć się wygodniej, ale krzyknął z bólu i długo nie mógł złapać powietrza.

Ross powiedział mu, co słyszał, i zakończył:

- Najwyraźniej szukają ciebie, choć nie znają twojego nazwiska. Mają jednak środki!

- Mnie nie znajdą nigdy - warknął Jack Loman. - Ale dla pewności: Kim są ci czterej?

- Wong z Chin...

- Jezu! Ale wysoko mierzą!

- I Louise Carpentier z Francji.

- Ona też? A cóż jej wysokość tam robi?

- Fourwell Hunter z USA.

- Co? Kto to taki?

- Indianin. Mówią, że bardzo popularny i wpływowy.

Loman prychnął.

- No a czwarty?

- Simon Bogote z Kenii.

- Ten, co dostał pokojową Nagrodę Nobla? No, no, trzeba powiedzieć, nieźle. Ross, zajmiesz się także tym. Wyślij swoich najlepszych ludzi i nie pozwól nikomu z tej czwórki wrócić do domu. Trojgiem tamtych, przybyszów z Marsa, czy kim tam oni są, też się zajmiemy. Nikt nie będzie atakował Jacka Lomana.

Mała Nellie zakończyła pracę na ten dzień, ucichły nareszcie wszystkie rozkazy i upomnienia, oraz wyzwiska, które spadały na nią niczym grad. Była śmiertelnie zmęczona, bo goniono ją do pracy od rana do wieczora, niemal cała służba spychała na nią najbrudniejsze roboty, których nikt nie chciał się podjąć.

Była właśnie w swoim małym pokoiku i zamierzała iść spać, ale po prostu nie miała siły się rozebrać. Może więc mogłaby położyć się w ubraniu? Bez mycia.

Nie, tak nie można. Drzwi nie miały zamka, więc mogłaby wejść podstępna gospodyni lub któraś ze służących, a wtedy stwierdzą, że jest leniwa.

Płacz dławił ją w gardle. Nie trafiła jej się miła służba. Stała się kozłem ofiarnym dla wszystkich, a jak już kogoś spotka taki los, to naprawdę trudno to zmienić.

Popełniła dzisiaj mnóstwo głupstw. Najpierw wzięła nie taką jak trzeba szczotkę, a potem myła wodą podłogę, która nie znosi wody. Ale ten przeklęty kot był dosłownie w każdym miejscu, brudził w całym domu.

Powąchała swoje ręce, wprawdzie wyszorowała je starannie po sprzątaniu toalet, ale i tak pachniały nieprzyjemnie. Nikt jej nie powiedział, że powinna używać gumowych rękawic, dopiero wieczorem...

Podskoczyła na łóżku.

Za jej oknem słychać było krzyki i odgłos kroków, kierujących się w stronę tylnego dziedzińca. Nellie wyjrzała ostrożnie. Zawsze stał tam helikopter, ale teraz kręciło się przy nim mnóstwo ludzi. Samego pana Lomana niesiono na noszach. Och, jak on krzyczy, wyje z bólu jak oszalały. Wniesiono go na pokład, inni wsiadali za nim, większość jednak została, zbyt natarczywi byli spychani na ziemię. O Boże, przecież musieli się strasznie potłuc!

Helikopter uniósł się w powietrze. W pokoiku Nellie było ciemno, więc nikt nie

mógł jej zobaczyć, mimo to cofnęła się widząc odlatującą maszynę. I...

Och, ratunku!

Oni strzelają! Z helikoptera strzelano do tych, którzy zostali na placu! Oni chyba rozum postradali, przecież ludzie padają martwi!

Serce Nellie biło tak głośno, że słyszała uderzenia. Bo teraz na dworze zrobiło się zupełnie cicho. Czy powinna wyjść i próbować uratować jeszcze kogoś z leżących? Trzeba komuś o tym wszystkim powiedzieć.

Nie, już nie trzeba, nadbiegają ludzie. Histeryczne krzyki, jeden wielki chaos. Najlepiej czekać w pokoju. Ciężko przełknęła ślinę i starała się uciszyć serce. Kompletnie niezdolna do jakiegokolwiek działania stała i patrzyła, jak trupy są wciągane pod balkony, słyszała podniecone głosy na zewnątrz.

Chcę wracać do domu, myślała, walcząc z płaczem. Chcę do domu, tutaj jest okropnie.

Nie zdejmując ubrania, wślizgnęła się do łóżka i próbowała się zastanawiać, co robić. Ale co ona może, spędziła w tym domu zaledwie trzy dni.

Leżała rozdygotana, tymczasem głosy na dworze cichły, aż w końcu całkiem umilkły. Niejasno przypominała sobie, że jakiś czas temu słyszała jakieś hałasy przy bramie.

Minęło chyba z pół godziny. Zmęczone ciało Nellie domagało się swoich praw. Nie poruszyła się nawet, nie zmieniła pozycji, czuła tylko, że powieki ciężko opadają na oczy...

I nagle zerwała się na posłaniu.

Znowu strzały?

O Boże, jak ci ludzie krzyczą! Poprzednie hałasy to nic w porównaniu z tymi.

Nellie podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Miała wrażenie, że serce przestaje jej bić. Zobaczyła tamtą dziewczynę, którą jeden z ludzi Lomana uszczypnął w pośladek, dziewczyna uciekała z wrzaskiem, nagle kula trafiła ją w ramię, biedaczka przewróciła się na piękną mozaikową posadzkę tylnego dziedzińca. Nellie musiała się przytrzymać okiennej futryny,

żeby nie upaść. Na dziedzińcu ukazały się dwie inne dziewczyny, obie zostały zastrzelone. Oniemiała Nellie widziała, jak sama gospodyni, owa władca hiszpańska dama, z krzykiem unosi ręce w górę i błaga o życie. Kula trafiła ją w pierś, krew chlusnęła na posadzkę.

Z innej strony nadbiegło paru mężczyzn, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wszyscy co do jednego zostali bez litości wystrzelani.

Jeszcze dwaj. Jednym z nich był wuj Nellie. Chciała otworzyć okno, żeby go ostrzec, ale za późno.

Wtedy nareszcie się ocknęła, zaczęła rozsądniej oceniać sytuację. Wyglądało na to, że nikt nie ujdzie stąd z życiem, nikt nie zostanie oszczędzony.

Wpadła w panikę. Gdzie? Gdzie mogłaby się ukryć? Nie, nie pod łóżkiem. Trzeba uciekać z pokoju!

Szlochała ze strachu. Oni mogą być wszędzie, nie widziała, kto to strzela, oprawcy bowiem stali pod długim balkonem. Nie miałyby odwagi tam zajrzeć.

Musi obejść dom, ale tam też może ich spotkać.

Wymyśliła już, gdzie się schowa, tylko że to bardzo daleko stąd.

Nie miała jednak wyboru. Teraz albo nigdy, bo w tej chwili tamci są najwyraźniej zajęci... O Najświętsza Panienko, bądź przy mnie! Łzy... Nic nie widzę. Tak, teraz lepiej! O, mamó!

Kiedy wysunęła głowę przez drzwi, na korytarzu panowała cisza. Wszystkie odgłosy docierały z bardzo daleka, z piętra niżej, tutaj nie było nikogo.

Z okna korytarza miała widok na frontową ścianę domostwa. Może udałoby się jej dotrzeć do bramy...?

Nie! Odskoczyła jak oparzona. Od strony bramy znowu rozległy się rozpaczliwe krzyki, pomieszane z odgłosem strzelaniny. Pewnie inni wpadli na ten sam pomysł co ona i zostali zatrzymani.

W takim razie pozostała jej tylko tamta kryjówka, która przyszła jej na myśl jako pierwsza. Tylko jak się tam dostać?

Wrzask z dołu:

- Przeszukajcie dokładnie cały dom! Każdy kąt. Nie wolno pominąć ani jednego pomieszczenia!

Nellie czuła bicie serca w gardle, krew pulsowała jej nawet w opuszkach palców, błyskawicznie dopadła na bosaka do wewnętrznych schodów skrzydła, w którym znajdowała się jej izdebka. Dosłownie sfrunęła w dół, wciąż słyszała groźne głosy w pokojach przed sobą, odnalazła zejście do piwnicy i zamknęła drzwi akurat w momencie, kiedy ktoś wszedł do kuchni.

Przez chwilę stała na szczycie piwnicznych schodów i nasłuchiwała, półprzytomna ze strachu. Potem tak cicho, jak tylko mogła, zsunęła się po stopniach. Na dole pobiegła szybko przez długie korytarze piwnicy, aż dotarła do miejsca, które znała najlepiej, tam gdzie znajdował się jej sprzęt do sprzątania. Cuchnęło tam odchodami, kocimi siuškami i chlorem czy czymś takim, czego sama przez cały dzień używała do czyszczenia. Znajdowała się też tutaj stara drewniana wygodka, przeznaczona dla robotników. Nellie uniosła pokrywę i wsunęła się do środka, głęboko, w kąt pod długim sedesem, i próbowała nie zwracać uwagi na potworny smród. Najwyraźniej bardzo dawno temu nikt tej wygodki nie używał, bo cała zawartość zaschła na kamień, ale jednak była, z gnijącym papierem i w ogóle. Nellie nie miała czasu zastanawiać się nad tym, jak będzie wyglądać, jeśli jeszcze kiedykolwiek wyjdzie stąd żywa.

Dzwoniąc zębami, rozdygotana, siedziała niczym mysz, słyszała kroki chodzących po kuchni ludzi i dwa głosy rozmawiające o sprawach, które sprawiły, że oczy mało nie wyszły jej z orbit.

11

Jori i Sassa spotkali Jaskariego w połowie drogi.

Jeden ze Strażników pilnujących zapasów przywiózł go tutaj w małej, szybkiej gondoli, takiej, która mknie w powietrzu i znika, zanim się zdąży odwrócić głowę, żeby na nią spojrzeć.

Znajdowali się w granicach Chile, w dalszym ciągu wysoko, i w gondoli Joriego zrobiło się dość ciasno, ponieważ ze względu na górski wiatr nikt nie mógł

przebywać na zewnątrz.

- No to rzeczywiście, spotkała was nie byle jaką przygodą - powiedział Jaskari tym swoim ciepłymi dającym poczucie bezpieczeństwa głosem. On i towarzyszący mu Strażnik dowiedzieli się sporo o ich przeżyciach po drodze, przez system komunikacyjny, a Jori, jak zawsze, bardzo swoją opowieść ubarwił. Tym razem jednak mniej niż zazwyczaj, nie było to potrzebne. - Uratować dwie kobiety za jednym zamachem to naprawdę niezłe - chwalił rosły Fin.

- Mam nadzieję, że te dranie nas nie zauważyły - powiedziała Sassa. - Tym razem możemy dziękować księżycowi za to, że się schował.

Czuła się dosyć marnie. Podczas ostatniej części podróży Jori koncentrował się na biednej Altei, więc ona musiała zajmować się gondolą. A teraz opowiadał wszystkim, jaka to miła jest uratowana dziewczyna i jaka by to była szkoda, gdyby umarła, zanim dotarł do nich Jaskari. Matka dziewczyny leżała spokojnie. Była śmiertelnie zmęczona i kiedy niebezpieczeństwo minęło, zasnęła albo też straciła przytomność. Teraz wszyscy zajmowali się Altea.

Mężczyźni bywają niekiedy bardzo kiepskimi psychologami. Potrafią zdeptać dziewczęce serce, bo obchodzą ich tylko własne pragnienia i zainteresowania, myślała nieszczęśliwa Sassa.

Dobrze było wiedzieć, że w gondoli pojawił się ktoś posiadający autorytet. Jaskari spokojnie zajął się wszystkim. Altea z takim zaufaniem wpatrywała się w niego, że po jakimś czasie Jori zaczął przypominać jednego z tych małych, zielonkawych trolli, wciąż niezadowolonych, zazdrosnych o wszystko i wszystkich.

Sassa odczuwała złośliwą radość.

Tak poważnego ataku Altea nie miała od wielu lat. Zawsze nosiła przy sobie lekarstwo i zażywała je, gdy tylko uznała, że podjęła zbyt wielki wysiłek.

Jeszcze niedawno była pewna, że umrze. Wiedziała, że gwałtowne wciąganie powietrza dawało się we znaki płucom, a to bardzo źle. Gdyby to powtarzało się przez dłuższy czas, doszłoby do ich uszkodzenia, co jednak miała zrobić. Tak

strasznie nie chciała rozstawać się z życiem.

Zdawała sobie mimo wszystko sprawę, że znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie nie tylko z powodu choroby. Ci mężczyźni, którzy ją ścigali, na pewno zamierzali ją zabić.

I oto wydarzyło się coś absolutnie niewiarygodnego. Wciąż jeszcze nie miała pojęcia, kto ją uratował, Czy zabrało ją UFO? Nie, nie wierzy w takie zjawiska. Ale przecież spłynęli z ciemnego, nocnego nieba i zabrali ją, dwoje młodych, urodziwych i bardzo miłych ludzi. Tak, bo to są ludzie, a nie żadni Marsjanie.

Potem mogła myśleć już tylko o swoim bólu, walczyć o życie. Ten młody człowiek okazał się bardzo troskliwy, no a później...

Myśli Altei ogarnął mrok, do pojazdu została wniesiona mama! Dziewczyna leżała tak, że nie bardzo widziała matkę, wyczuwała jednak, że jest ciężko poszkodowana, nie tylko fizycznie. W końcu usłyszała szept:

- Musicie uratować mojego męża. Wszyscy go zdradzili. A moja córka zamierzała go uwieść.

O, mammo! Niemądra, uparta mammo, która nie chcesz niczego zrozumieć!

Potem jednak do gondoli, jak wybawcy nazywali, swój pojazd, wszedł ktoś jeszcze. Lekarz?

Dostrzegła też nienaturalnie wysokiego mężczyznę, ale nie miała odwagi odwrócić głowy, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Lekarz, który pochylił się nad nią, był fascynująco przystojny, miał piękne blond włosy i niebieskie oczy, był taki silny, że wpadła w tę samą pułapkę, w której pogrążyło się przed nią tysiące innych pacjentek: widziała w nim bohatera, księcia z bajki, wybawcę.

Bo rzeczywiście wybawcą się okazał. Od pierwszej chwili wiedział, co trzeba robić, i uwolnił ją od tego bolesnego oddechu, rozrywającego bólu w piersiach oraz od uczucia, że zaraz się udusi, a jej serce przestanie bić. Wszystko się uspokoiło, oddychała z łatwością, choć on jeszcze nie skończył, musiał zbadać ją gruntownie, za co Altea była mu po prostu wdzięczna.

Widziała, że podał towarzyszącej mu młodej kobiecie jakąś puszkę i polecił, żeby

„posmarowała tę poparzoną kobietę”.

To musi chodzić o mamę. Biedaczka, co jej się stało?

Właśnie się odezwała, mówiła coś, jak to ona, rozpieszczona dama z towarzystwa, oczywiście, to mama. Ale co z jej głosem? Mówi jak zachrypnięta wrona.

- Dziękuję, żadne ciekawskie panienki nie będą mnie dotykać. Tylko doktor, jeśli mogę prosić!

Altea jęknęła, zawstydzona zachowaniem matki. Nigdy nawet na jotę nie zrezygnuje z tej swojej głupiej wyniosłości.

Sympatyczny doktor powiedział:

- Akurat teraz nie mam czasu, jeszcze nie udzieliłem pomocy twojej córce.

- Ale ja żądam...

- Dasz sobie tymczasem radę. Masz skórę stwardniałą od zbyt długiego opalania się, co teraz wyszło ci na dobre, bo wyjątkowo zniosła ten przymusowy pobyt w słońcu.

- Stwardniałą? - pisnęła urażona.

Młody chłopiec, Jori, natychmiast podbiegł do Judy z wodą i starał się ją napoić, ale ona nawet mu nie podziękowała.

- Musimy natychmiast polecieć do hacjendy - rozkazała. - Mój mąż znalazł się w rękach ludzi pozbawionych sumienia.

- Mamo, przestań! - jęknęła Altea.

- A ty milcz! Za moimi plecami próbowałeś uwieść mi męża, twojego ojczyma!

Doktorze, ja i mój mąż zapłacimy sownie, jeśli pan zrobi tak, jak mówię.

- Mamo! - wrzasnęła Altea. - Jack to potwór, tylko ty jedna nie chcesz tego widzieć! To on mnie atakował, nie odwrotnie.

- Kłamiesz! Jack by nigdy...

- Czy urywałabym mu członka, gdybym chciała się z nim kochać?

Matka milczała przez chwilę. Inni również. Musieli się otrząsnąć z szoku.

- Co ty mówisz? - wykrztusiła w końcu Judy.

- Z hacjendy wystartował helikopter mniej więcej w tym samym czasie, kiedy my opuszczaliśmy okolicę - wtrącił Jori. - Podsluchaliśmy rozmowę przez radio.
- Zrobiliśmy coś więcej - dodała dziewczyna, nazywana Sassa. - Nagraliśmy tę rozmowę. Jak widzę, mamy tu do czynienia z rozbieżnością zdań między matką i córką. Myślę, że ta rozmowa rozwieje wątpliwości.
- Jezu! - rzekł Jori z podziwem. - Wyrażasz się strasznie dorośle, Sassa! No, ale posłuchajmy, bardzo proszę!

W aparacie odezwał się męski głos.

- To jest Devlin - wyjaśniła pospiesznie Judy Loman. - To diabeł. Prawdziwy diabeł, diabeł!

Jori wyłączył aparat.

- Czy to on przywiązał cię do tych drzwi na pustyni?

- Tak, a teraz zniknął i zostawił Jacka na pastwę losu!

Altea odniosła wrażenie, że matka nie chce mówić o tym, co się stało na pustyni.

Było jednak wyraźne, że nienawidzi Devlina.

Przedtem odnosiła się do niego inaczej.

Jori ponownie włączył radio i usłyszeli głos Devlina. Rozmawiał z kimś nieznanym, żadne imię ani razu nie padło, a Judy tego drugiego głosu nie rozpoznała. Devlin wyjaśniał, że Jack Loman jest w drodze i że powinni przygotować salę operacyjną, bo został poważnie ranny.

- O, Jack - jęknęła Judy. - Ranny?

Nieznajomy pytał o charakter rany.

- Chodzi o genitalia! - warknął Devlin ordynarnie.

Odezwał się jeszcze jeden głos.

- O, to Jack! - zawołała Judy przejęta.

Ale natychmiast cały zachwyty w niej zgasł. Loman wydał ochryłym głosem rozkaz zamordowania swojej pasierbicy Altei, niezależnie od tego, gdzie ta diablica się znajduje. Mężczyzna po drugiej stronie zapytał, czy Lomanowi towarzyszy żona.

- Co? - wrzasnął Loman. - Ta stara, wysuszona harpia? Devlin się nią zajął. Tak, dostał ode mnie pozwolenie, żeby się zabawić z tą zarozumiałą damulką i zrobił to. Powiedział, że nie była to wielka przyjemność. A potem oddał ją sępom. Jeśli ją zechcą, bo to sama skóra i kości.

Loman przez cały czas mówił z wielkim wysiłkiem, najwyraźniej bardzo cierpiał, ale też myśl o zemście na swojej żonie i pasierbicy musiała mu sprawiać przyjemność. W głębi rozległ się ordynarny, szyderczy śmiech.

Lekarz imieniem Jaskari poklepał Alteę po policzku, a następnie poszedł do jej matki. Po drodze zwrócił uwagę Joriemu:

- Chyba trochę przesadziłeś, opowiadając im o tym wszystkim właśnie teraz, kiedy obie one w dosłownym i przenośnym sensie leżą.

- Chyba tak - przyznał Jori. - Ale byłem wściekły na koszmarną, zadufaną w sobie i taką niewdzięczną matkę. Przykro mi.

- Trochę za późno - bąknął Jaskari, ale w jego głosie nie było gniewu. - No i jak się pani czuje, pani Loman? Może obejrzymy teraz poparzenia?

Najwyraźniej uważała go za autorytet w tym gronie, bo poskarżyła się zachrypniętym głosem:

- Myślałam, że sięgnęłam już dna tam na tej pustyni. Ale i później niczego mi nie oszczędzono.

- Tylko nie próbuj płakać - poprosił Jaskari pospiesznie. - Skóra na twarzy tego nie lubi. Dostaniesz coś na sen, to ustąpią wszelkie cierpienia, i fizyczne, i duchowe.

- Kim wy jesteście? - zapytała Altea. - I skąd pochodzicie?

- Słyszeliście opowieści o skrapianiu ziemi życiodajnym deszczem?

- Tak. Czy to wy robicie?

- My stanowimy tylko niewielką grupę, część liczne - go zespołu, jest nas co najmniej czterokrotnie więcej...

Jaskari wezwał Strażnika. Ów wysoki Lemuryjczyk uśmiechnął się przyjaźnie do pań, ale Judy krzyknęła przerażona, a Altea wstrzymała oddech. Wszystko wokół niej zawirowało, po czym pograżyła się w ciemnościach.

Jaskari ostrożnie smarował okaleczone ciało Judy. Przestała nareszcie odgrywać rozkapryszoną damę i rozszlochała się żałośnie. Bardzo to martwiło Jaskariego, ale nie był w stanie powstrzymać jej płaczu, który pochodził pewnie z głębi jej skołatanego serca.

- Czy nie powinniśmy dać jej do wypicia trochę eliksiru? - zapytał Jori cicho.

- Jeszcze nie teraz. Najpierw musi sobie jakoś poradzić z żalem i słusznym gniewem. I z rozczarowaniem, które musi być straszne. Chyba rzeczywiście kochała tego człowieka. Tego drania, należałoby raczej powiedzieć.

- Na to wygląda.

- Później napiją się eliksiru, i ona, i jej córka. Jori spojrzał na Alteę.

- Nie wydaje mi się, że akurat ona będzie potrzebować wiele kropeł - powiedział z czułym uśmiechem. - O, znowu się budzi.

Nadal znajdowali się na przełęczy, trudno było lecieć z dwiema tak ciężko chorymi osobami na pokładzie.

Jaskari skończył opatrywać Judy i podał jej silny środek przeciwbólowy. Jej rozzwierający płacz nieco przycichł, więc mógł znowu skoncentrować uwagę na sercu Altei.

Usiadł przy niej. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ona zapytała pospiesznie:

- Co teraz będzie... Dokąd nas wieziecie?

Jaskari uśmiechnął się i przywołał do siebie Strażnika.

- Nasz przyjaciel Zinnabar należy do innej rasy niż my. Ale jest samą dobrocią.

Przerwał mu ostry głos Judy:

- Jak widzę, różni go od nas nie tylko rasa.

- To nie ma znaczenia - wtrąciła pospiesznie Sassa. - Kilka naszych najlepszych przyjaciółek wyszło za mąż za Lemuryjczyków i wszystko układa im się znakomicie.

Naprawdę? zastanowiła się w duchu. Jeszcze żadna z nich nie urodziła dziecka, więc...

- Lemuryjczycy? - zapytała Altea z zainteresowaniem. - Czy to nie był taki legendarny lud, który żył na Ziemi przed tysiącami lat?

- Tak, to prawda - odparł Zinnabar i od tego zaczęła się wielka dyskusja na temat języka. Matka i córka były początkowo zbyt wstrząśnięte, by zauważyć, że ich gospodarze rozmawiają w kilku nieznanym językach, ale nie mają żadnych problemów z wzajemnym porozumieniem.

Jaskari przerwał debatę:

- O tych sprawach porozmawiamy później, kiedy będziemy mieć więcej czasu.

Alteo - powiedział, zwracając się do dziewczyny. - Wada twojego serca jest bardzo skomplikowana, a ja nie mam pojęcia, czym cię leczono. Z drugiej strony zapas medykamentów, jaki mam przy sobie, jest ograniczony, jestem w stanie udzielić ci tylko doraźnej pomocy.

- Ale przecież było tak dobrze.

- Owszem, tylko że została mi jeszcze jedna dawka tego lekarstwa. Czy wiesz, jak się nazywało to, co zażywałaś?

- Oj - szepnęła i zaczęła się zastanawiać.

W ciszy, jaka teraz zapadła, rozległ się głos Judy:

- Lemury to są małpy.

Altea spojrzała skrępowana na zebranych.

- Mama nigdy nie panuje nad językiem, mówi, co jej przychodzi do głowy. Zawsze była po prostu piękna i uważała, że to wystarczy. Nie pamiętam, tyle było różnych nazw na pojemnikach z lekarstwami, naprawdę nie pamiętam. Wszystko dawał mi przecież lekarz mieszkający w hacjendzie. Właśnie dostałam od niego świeży zapas.

Jaskari skinął głową.

- Nie mogę wziąć za ciebie odpowiedzialności, nie mając lekarstw. Będziecie obie musiały pójść do szpitala, ale najpierw musimy pojechać do hacjendy.

- Nie! - krzyknęły jednocześnie i Judy, i Altea.

- Muszę porozmawiać z twoim lekarzem. W szpitalu będą pewnie chcieli jak

najwięcej informacji. A skoro helikopter opuścił posiadłość, to chyba niebezpieczeństwo minęło?

- Devlin z pewnością wyjechał - powiedziała Judy. - Ale jest wielu innych. A ja teraz już nie wiem, na kim mogłabym polegać - zakończyła zmęczona.

- Musimy wykorzystać szansę, może się uda - postanowił Jaskari. - Tu chodzi przecież o życie Altei. I musimy się spieszyć, trzeba tam dotrzeć, dopóki jeszcze jest ciemno.

Było ich za dużo w gondoli Joriego, więc Zinnabar zabrał do swojej Sassy, co Jori przyjął z wielką ulgą. Teraz będzie mógł siedzieć przy Altei i nie słuchać złośliwych komentarzy Sassy.

Tak się zajmował chorą dziewczyną, że Jaskari musiał bardzo nad sobą panować, żeby się nie roześmiać. Jej matka, Judy Loman, znajdowała się w półśnie. Od czasu do czasu otwierała oczy i skarżyła się, jak bardzo jej źle.

Jaskari zwrócił uwagę na to, że nigdy nie zapytała, jaki naprawdę jest stan córki. Zamiast tego pojawiały się różne warianty pytań na ten sam temat: „Czy pan myśli, doktorze, że moja skóra jeszcze kiedyś będzie znowu ładna?” albo: „Och, czuję, że powieki mam strasznie ciężkie. Czyba ich nie stracę?”

Mało zabawnie jest odpowiadać na tego rodzaju pytania.

- Spójrz, Sassa, w dole widać hacjendę! - wykrzyknął w pewnym momencie Jori. - Och, nie, przecież Sassy tu nie ma. To z przyzwyczajenia - tłumaczył.

Jaskari zauważył jednak, że chłopak ucichł i popadł w zamyślenie.

- Przez bramę przejeżdżają trzy wielkie ciężarówki pod plandekami - rozległ się w megafonie głos Sassy.

Spojrzeli na dół. Nawet Altea uniosła się i też patrzyła. Światło w bramie padało na przejeżdżające: kolejno samochody.

- Wygląda na to, że są wyladowane po brzegi ludźmi - stwierdził Jori. - Patrzcie, niektórzy wystawiają nogi na zewnątrz.

- Muszą się tam tłoczyć jak śledzie w beczce - dodał Jaskari. - Ewakuacja dokonuje się najwyraźniej w najgłębszej tajemnicy.

- W takim razie nie wystawialiby nóg. Teraz ostrożnie, nie schodź tak nisko, Zinnabar! - krzyknął Jori do drugiej gondoli. - Musimy poczekać, aż samochody odjadą. Altea, ludzi jest strasznie dużo, czy myślisz, że oni wszyscy mieszkali w posiadłości?

- Na to wygląda? Ale co tam się dzieje?

Zinnabar zameldował:

- Haczenda wydaje się być opustoszała. My z Sassą schodzimy na dół.

- My również.

„My z Sassą”, pomyślał Jori ze złością. Co za poufalość! Dziewczyny z ich grupy mają skłonność do Strażników. Czyli do Lemuryjczyków.

Dawniej uważał, że to wspaniałe, teraz nie mógł ich zrozumieć.

I jak to ten Strażnik wygląda? Nie mógł sobie przypomnieć. Ech, oni wszyscy są tacy sami!

Nie, to, oczywiście, nieprawda. Ale wszyscy są strasznie przystojni.

Jori miał wrażenie, że jego sto sześćdziesiąt centymetrów skurczyło się do sześćdziesięciu.

Wylądowali w bazie helikopterów. Wszędzie panowała absolutna cisza. Nigdzie żywej duszy.

- Hej, Jori! - zawołała Sassa wesoło.

- Hej! - burknął ponuro.

Judy nie była w stanie iść na swoich poparzonych stopach. Musiała zostać w gondoli, zamknąć ją od środka i siedzieć przy drzwiach. I wpuszczać do środka tylko ich, nikogo innego.

Trzeba ją było posadzić na poduszce. Deska, na której leżała na pustyni, pokaleczyła ją.

Altea prowadziła, pokazywała drogę do swojego pokoju.

W pewnej chwili powiedziała zdumiona, że tylko ludzie opuścili posiadłość, poza tym wszystko zostało.

- To oznacza, że pewnie wrócą po resztę. Powinniśmy się spieszyć.

Dotarli na miejsce.

- Żeby tylko nikt nie zabrał moich lekarstw, bo co byśmy zrobili? - martwiła się Altea.

W sypialni stanęła jak wryta.

Szafa na ubrania była pusta. Nie została ani jedna rzecz, nawet wieszaki zniknęły. Lekarstwa znajdowały się w szafce w ścianie, nie mogli jej wynieść, ale wszystko rozbili. Nie zostawili nic.

- Och, nie - jęczała Altea. - Zamierzali widocznie zatrzeć wszelkie ślady mojej obecności.

Nagle Sassa odezwała się inteligentnie:

- Czy tam za drzwiami nie leży jakiś czarny worek?

- Tak! - wrzasnął Jori. - Śmieci!

W pośpiechu rozerwali czarny plastik na kawałki, szukali wszyscy. Ale w worku były same ubrania, żadnych lekarstw.

Przez chwilę stali całkiem bezradni. W posiadłości panowała głucha cisza. Wciąż dopisywało im szczęście, ale na jak długo?

- Czy te rzeczy należą do ciebie?

- Nie, to nie moje. Rozumiem, że zabrali wszystko, co miało jakąś wartość, ale były jeszcze pamiątki, moje lalki i... dla nich to po prostu śmieci, a i tak nie zostawili.

- A co wy robicie ze śmieciami? Palicie, czy coś w tym rodzaju?

- W piwnicy jest chyba piec do spalania odpadków, jeśli dobrze pamiętam. Tak, i ukryte pomieszczenie na śmieci.

- No to pozostaje mieć nadzieję, że różne rzeczy zostały tam wyniesione - powiedział Strażnik. - Możesz wskazać nam drogę, Altea?

To niezwykle uczucie słyszeć własne imię w ustach istoty pochodzącej sprzed wielu tysięcy lat. Sprawilo jej to jednak dziwną przyjemność. Czula się bezpieczniejsza niż przy kimś, kto przybył z Kosmosu. Dzięki temu pozostawała na Ziemi, mimo wszystko.

Od czasu do czasu przychodziło jej na myśl, że może już umarła, bo przecież od chwili spotkania tych istot wszystko układało się tak dobrze. Może to są anioły, ów Lemuryjczyk i ów niezwykły lekarz. No ale dwoje pozostałych? Czy to też anioły? Chłopak imieniem Jori przypomina raczej małego, niesforne diabełka, a Sassa... ech, też mało podobna do anioła.

Są jednak bardzo sympatyczni.

Matka niczego nie rozumie. Nawet nie próbuje zrozumieć.

A może jest po prostu taka oszołomiona środkami przeciwbólowymi, że mało co do niej dociera?

Altea prowadziła całą grupę w stronę zejścia do piwnicy.

Atak serca porządnie ją wystraszył. Dopiero teraz naprawdę rozumiała, jak ważne są dla niej lekarstwa. Gdyby te dziwne istoty jej nie odnalazły, musiałaby przebyć całą długą drogę do miasta, poszukać tam lekarza, który dałby jej nowe lekarstwo. Dotychczas zawsze sprowadzał je lekarz Jacka Lomana. Ona nie miała pojęcia o niczym, nie widziała w jakiej aptece ich szukać, nic.

Szli przez długie podziemne korytarze. Jej towarzysze mogli sobie teraz wyrobić pojęcie, jak rozległy jest w istocie kompleks zabudowań. Widzieli jednak, że Altea nie jest całkiem pewna, gdzie znajduje się pomieszczenie na śmieci, ponieważ zaglądała do różnych zakamarków, w końcu jednak znalazła je.

Dominował tu ogromny piec do palenia śmieci, czuć było charakterystyczny odór takiego miejsca. Ktokolwiek odpowiadał za czystość... to nie był to człowiek szczególnie obowiązkowy.

Nagle wszyscy podskoczyli, słysząc jakiś chrobot.

- Czy mogą tu być szczury? - zapytał Jori.

- Nie sądzę - odparła Altea. - Moja matka jest strasznie wymagająca w takich sprawach.

- Ale chyba tutaj nie bywała?

- Mama? Nigdy w życiu!

Bezradnie spoglądali na stos czarnych, wypchanych worków.

- Oni nie mogli tego tak po prostu pozostawić - rzekł Jaskari. - Z pewnością wrócą, żeby zrobić porządek, musimy się spieszyć! Altea, musisz zakasać rękawy i sprawdzać, które worki mogą pochodzić z twojego pokoju. Możliwe, że znajdują się na samym wierzchu.

Dziewczyna skinęła głową.

Albo jest taka dzielna, albo rozpaczliwie stara się odzyskać lekarstwa, pomyślał. Bardzo szybko znalazła właściwy worek.

- Tu jest moja bielizna - powiedziała. - Ale nie wiem, czy chciałabym ją zachować.

- Czy pozwolisz, że przedziurawię worek?

- Oczywiście, proszę. Chcę znaleźć moje lekarstwa. Nic innego nie ma dla mnie znaczenia.

Stos bielizny i przyborów toaletowych wysypał się na betonową podłogę. Wszyscy pomagali szukać, nikt nie reagował, znajdując jakieś intymne rzeczy.

- Tutaj! - krzyknęła nagle Sassa. - To mi wygląda na pojemnik z lekarstwami!

- Dzięki ci, dobry Boże - wyszeptala Altea. - Czy mogę to zobaczyć? Tak, to są lekarstwa!

- Czy to ty kaszlesz, Sassa? - spytał zdziwiony Jori.

- Niiiee...

- Ale ja też słyszałem kaszel - wtrącił Zinnabar. - Bądźcie cicho!

Nikt się nie poruszył, ledwie mieli odwagę oddychać. Mężczyźni położyli ręce na tylnych kieszeniach. O Boże, oni są uzbrojeni, pomyślała Altea przerażona.

Minęła chyba cała minuta. W końcu Strażnik powiedział:

- Mnie się zdaje, że głos dochodził z tej małej komórki.

Podkradli się bliżej. To nie była żadna mała komórka, to stara wygodka. Byłoby nadmierną elegancją nazwać pomieszczenie toaletą czy klozetem.

- Nie, tu nikogo nie ma - powiedziała Sassa.

- Ale ktoś tam kaszlał, wszyscy przecież słyszeliśmy - upierał się Jori. - Naprawdę głos dochodził stąd.

Jaskari jednym energicznym ruchem zerwał płytę z dwoma zamykanymi

otworami.

W narożniku siedziała skulona dziewczyna. Zgięta w pół, głowę wcisnęła między kolana. Nie miała odwagi podnieść oczu, dygotała na całym ciele.

- O rany! - jęknął Jori i zaniósł się kaszlem, on też nie wytrzymał smrodu.

13

Jaskari uniósł dziewczynę, która nie zmieniła swojej skulonej pozycji. I, niestety, nie pachniała też konwaliami.

- Kim ona jest? - spytał Jori.

Altea potrząsnęła głową.

- To służąca. Nowa. Pojawiła się chyba poprzedniego dnia, tak mi się zdaje. Hej, ty, mały śmierdzielu, dlaczego się chowasz? Nie jesteśmy przecież niebezpieczni!

- Muerto! Muerto! - wyszeptwała tamta, zasłaniając twarz rękami.

- Umarł? - zdziwił się Jaskari. - Kto umarł?

- Tio. Todos.

- Wuj? Wszyscy?

Spoglądali po sobie. Ta mała najwyraźniej przesadza. Widzieli przecież wyjeżdżających stąd ludzi...

Jaskari otrząsnął się pierwszy.

- Nie powinniśmy na zbyt długo opuszczać pani Loman, kazać jej siedzieć w zamknięciu i nikogo nie wpuszczać. Mogłaby się przestraszyć, a nawet wpaść w panikę. Sassa, pobiegnij i zobacz, co się z nią dzieje. My tymczasem spróbujemy umyć tę małą, bo w przeciwnym razie zasmrodzi całą gondolę, nie mówiąc już o tym, co by wniosła na sobie... Altea, znajdź no w swoich rzeczach coś czystego dla niej, a my ją wykapiemy. Zinnabar, ty przeszukasz dom. Ale trzeba się spieszyć, wszystko robimy jak najprędzej i zmykamy. Do dzieła!

Strażnik przytaknął.

- Po drodze tutaj zauważyłem pokój z komputerami, które pewnie połączone są z Internetem. Może znajdę tam jakieś informacje.

On i Sassa zniknęli. Pozostałym udało się przełamać opór małej Indianki na tyle,

że pozwoliła się rozebrać i poddać kąpieli, Altea myła ją ciepłą wodą z węża. Może rozpoznała panienkę i uznała, że nic jej nie grozi? Mężczyźni odwrócili się na czas mycia.

Właściwie wszystkim marzył się ciepły prysznic, ale nie było na to czasu. Jaskari świadomie wysłał Zinnabara, uznał, że Indianka nie powinna być tymczasem narażana na kolejny szok.

Altea nie potrafiłaby opisać nastroju, w jakim się teraz znajdowała. Była jakoś dziwnie podniecona i... rozradowana? Chyba nie powinna tak się czuć po strasznej nocy, jaką przeżyła. Ale stało się coś dziwnego! Znajduje się oto w towarzystwie młodych, przyjaźnie usposobionych i strasznie dziwnych ludzi, a w dodatku w ogóle nie wiadomo, czy to naprawdę są ludzie. Pozwolono jej coś robić, a ona stara się być pożyteczna. Tak jej żal tej indiańskiej dziewczynki, która stoi tu naga i trzęsie się ze strachu, najchętniej uciekłaby stąd w popłochu, lecz i ona próbuje być dzielna. Altea pomogła jej włożyć piękną, koronkową bieliznę, długie spodnie za duże na nią do tego stopnia, że trzeba było pozawijać nogawki, oraz ekskluzywny podkoszulek. Jedną ze swoich sukienek wytarła dziewczynie włosy i panowie mogli znowu na nią patrzeć.

Eleganckie ubrania Altei wyglądały dość dziwnie na tej piękności z dżungli, ale ona sama dotykała ich w najwyższym zdumieniu i podziwieniu.

- Jak masz na imię? - zapytał Jaskari.

Wyjawiała, że nazywają ją Nellie z takim lękiem, jakby, wymawiając swoje imię, miała zaprzedać duszę. Tam, skąd pochodziła, nie mogła przecież nigdy spotkać takiego urodziwego blond wikinga.

Jaskari jednak przemawiał do niej życzliwie po hiszpańsku czy może po portugalsku, Jori nie bardzo rozróżniał te dwa pokrewne języki. A zresztą Nellie raczej nie wikinga miała w myślach.

- Anioł - wyszeptala z przejęciem. Pokonała lęk i niczym zaczarowana podążyła za Jaskarim, Alteą i Jorim, kiedy pospiesznie opuszczali piwnicę. Jej dłoń spoczywała w ręce Jaskariego. Trudno powiedzieć, czy sprawił to jej lęk, czy też

instykt opiekuńczy Jaskariego, czy może jego obawa, że dziewczyna zechce uciec.

Wyszli na dziedziniec i stanęli przerażeni.

- Och, Sassa, co ja zrobiłem? - szepnął Jaskari w rozpacz. Teraz, po niewczasie, wszyscy uświadomili sobie własną bezmyślność. Ale przecież hacjenda wyglądała na całkowicie opuszczoną. Na jednej z ciężarówek słychać było nawet psy. Z pewnością specjalnie tresowane, wartościowe psy obrończe.

Myśli krążyły w głowie Joriego z szaloną szybkością. Nie, nie, tylko nie Sassa, nie wolno im zabrać Sassy! Jest taka młoda i niewinna, poza tym ja za nią odpowiadam. To ja powinienem był pójść zobaczyć, co z tą zarozumiałą babą.

Judy Loman tłukła poranionymi pięściami w okno gondoli, nikt jednak nie miał czasu zajmować się jej histerią.

Sassa była trzymana niczym tarcza przez rosnącego mężczyznę w zielonej masce na ustach i nosie. Ścisnął brutalnie zakładniczkę z całych sił i do szyi przyłożył jej ostry nóż.

- Stać! - zawołał. - Jeden ruch z waszej strony i będzie po niej!

- Kowalski - mruknęła Altea. - Jeden z głównych współpracowników Jacka.

Nie mogli zrobić naprawdę nic, nie narażając życia Sassy. Napastnik miał na pewno broń palną, ale długi nóż robił dużo bardziej przerażające wrażenie.

Skaleczona szyja, krew, wszyscy w szoku...

- Chcę dostać Alteę i służącą! - krzyknął Kowalski. - I klucze do tej maszyny tam.

Szybko!

Nie było żadnych kluczy do gondoli, miała po prostu kodowany zamek. Nikt jednak nie zamierzał przekazać mu kodu.

- Nie odchodźcie - powiedział Jaskari do Altei i Nellie. - Wiecie zbyt dużo na temat posiadłości i na pewno zamierza was zgładzić.

- Ale co mamy robić? - szepnął Jori na pół z płaczem. - Przecież on ma Sasse!

- Wiem. Staram się coś wymyślić, ale mam zupełną pustkę w głowie. Wszystko

sprzysięgło się przeciwko nam.

Nagle usłyszeli głucho uderzenie. Kowalski zachwiał się i bezszelestnie osunął na ziemię. Sassa była wolna, nóż drasnął ją tylko w szyję w miejscu, gdzie ostrze dotykało skóry.

Na balkonie pierwszego piętra stał Zinnabar z pistoletem w dłoni.

- Musiałem wykorzystać szansę - tłumaczył z uśmiechem. - Nie miałem wyboru. Ale bądźcie spokojni, on został tylko ogłuszony. Wlejcie mu do ust parę kropel eliksiru i zmykajmy stąd.

Zanim zdążyli podziękować, Zinnabar zniknął, żeby dołączyć do nich. Jaskari otworzył drzwi gondoli i wpuścił do środka Alteę oraz opierającą się Nellie, Jori natomiast obejmował i uspokajał Sassę. Nie był w stanie nic mówić, ale go najwyraźniej rozumiała. Nigdy nie była tak czule obejmowana, tak serdecznie witana z powrotem w życiu, tak... kochana?

Nie, w to ostatnie nie odważyłaby się uwierzyć. Powściągliwość pod tym względem wydawała jej się bezpieczniejsza.

Wrócił Zinnabar i on też był serdecznie obejmowany. Pasażerów podzielono mniej więcej po równo i gondole wystartowały. Kowalskiego zostawiono tam, gdzie był. Niebawem ocknie się jako bardzo sympatyczny chłop i prawdopodobnie nie będzie mógł pojąć, co mu się przytrafiło.

Mała Nellie trzymała się kurczowo oparcia fotela w gondoli Joriego i Sassy.

Jaskari zabrał Alteę i zaniedbaną Judy do gondoli Zinnabara.

Z matką Altei nie było za dobrze, gorączka rosła, poparzenia dotkliwie dawały o sobie znać. Sytuację pogarszały dodatkowo wszystkie psychiczne ciosy, jakich doznała. Jaskari dał jej jeszcze jeden nasenny zastrzyk, to było teraz dla niej najlepsze, zanim nie znajdzie się w szpitalu.

No właśnie, w szpitalu? Jeśli dobrze pojmowali osobowość Jacka Lomana, to ani jego żona, ani pasierbica nie będą bezpieczne w żadnym miejscu na ziemi, nawet w szpitalu. Co więc zrobić z tymi chorymi kobietami?

Nellie siedziała z sercem w gardle i nie miała odwagi spojrzeć w dół, domyślała

się jednak, że lecą w stronę gór.

Gdy tylko przypominała sobie o tym niezwykłym olbrzymie w białych szatach, ręce zaczynały jej się trząść i między innymi dlatego musiała się mocno trzymać fotela. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że dziewczyna na widok Zinnabara wytrzeszcza oczy ze strachu. Ona sama przyszła na świat w zabudowanych barakami slumsach, wierzyła w Pannę Marię, ale w głębi duszy była indiańskim dzieckiem z dżungli i słyszała opowieści o dawnych bogach, którzy przychodzą na ziemię z nieba i... Nellie była absolutnie przekonana, że to właśnie jeden z tych bogów stanął na balkonie i uratował panienkę Sassę oraz wszystkich pozostałych. Nellie również. Może nawet przyszedł tu ze względu na nią. Wysłał najpierw tych sympatycznych ludzi, którzy przybyli jej na ratunek. I ani trochę nie byli na nią źli, że porzuciła pracę i schowała się w starej wygódce. W ogóle byli dla niej bardzo mili. Może on jest jednym z bogów babci i pospieszył tutaj, bo Nellie w niego wierzy?

Tak oto Nellie dotarła do istoty wszelkiej wiary. Do tej wiecznej, konstruktywnej nadziei człowieka, że jeśli tylko naprawdę szczerze i mocno wierzy się w jakiegoś boga, to znajdzie się wyjście z każdej opresji.

A może to nowo nawrócona gospodyni z anegdoty reprezentuje słuszny pogląd? Pastor zapewniał ją mianowicie, że jeśli będzie naprawdę wierzyć, potrafi nawet chodzić po wodzie. Ona przyjęła zapewnienia dosłownie, więc stanęła na brzegu i powtarzając: „Wierzę, wierzę, wierzę” zsunęła się na powierzchnię jeziora.

Naturalnie wpadła do wody. „Widocznie wierzyłam nie w to, co trzeba”, powiedziała, kiedy ją wydobyto.

Wiara jednak może być źle pojęta, jak u pewnego nieszczęsnego chłopca. Dolina została zalana w czasie powodzi i ów chłop ratował się ucieczką na dach. Kiedy woda sięgała mu już do kostek, w pobliżu pojawił się kajak. „Skacz do mojej łódki!” - zawołał płynący kajakiem człowiek. „Nie, dziękuję - odpowiedział chłop. - Ja ufam Panu. On z pewnością pospieszy mi na ratunek!” Woda podniosła się jeszcze bardziej i sięgała już chłopu do pasa. Wtedy koło jego domu ukazała się motorówka i ktoś zawołał: „Skacz do nas! Uratujemy cię!”. „Nie, dziękuję - odparł

chłop. - Pan mnie uratuje”. Kiedy woda sięgała mu już do brody, na niebie ukazał się helikopter, z którego spuszczone w dół ratownika. „Nie, dziękuję, Bóg mnie uratuje” - powtarzał swoje chłop. W końcu utonął. Przychodzi do nieba i powiada: „Panie Boże, zawiodłeś mnie! Dlaczego pozwoliłeś mi utonąć?” A Bóg na to: „Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Przecież posłałem ci na ratunek dwie łódki i helikopter!”.

Nellie nie była głupia, ale to wszystko, co się tu działo, to za wiele dla jej ufnej duszy. A już szybko mknąca gondola była kroplą, która przepełniła kielich. Rzecz jasna, widywała samoloty, ale one wyglądały zupełnie inaczej. 'Zawsze była pewna, że nigdy nie wsiądzie do żadnego latającego pojazdu, a oto siedzi tu i mimo to nie wyskakuje.

W drugiej gondoli Judy była na tyle przytomna, że mogła prowadzić płaczącą rozmowę z Jaskarim, jedynym, z którym w ogóle chciała rozmawiać. Słyszała, jak pilot porozumiewa się z młodym Jorim z drugiej gondoli. Obaj byli zgodni co do tego że jest już taka późna noc, iż najlepiej będzie zawrócić do bazy. Następnej nocy Jori i Sassa będą mogli podjąć swoje obowiązki i dalej rozpylać eliksir.

Do jakiej bazy? Co to za rozpylanie? Nie była w stanie zebrać myśli.

- Doktorze Jaskari - powiedziała niewyraźnie. - Jestem taka nieszczęśliwa.

- Bardzo dobrze to rozumiem.

Jaki to dobry, współczujący człowiek!

- Widzi pan, wszystko, co mam, to mój wygląd. Mój wytworny styl. Byłam najpiękniejszą, doktorze Jaskari!

On po prostu tylko kiwał głową. Co można odpowiedzieć na takie wyznanie?

Judy mówiła dalej:

- Musi mi pan pomóc. Muszę zachować moją dawną twarz, proszę mi obiecać.

Jedna moja przyjaciółka z Bostonu, nie, ona nie była aż tak doskonała jak ja, ale odebrała sobie życie, kiedy skończyła pięćdziesiąt lat. Teraz bardzo dobrze ją rozumiem, bo pięćdziesiąt lat to przecież koniec życia, prawda? Wszystko od tej pory układa się nie tak, człowiek robi się coraz bardziej pomarszczony, ciało

zawodzi, naprawdę nie ma już po co żyć. Strasznie się boję pięćdziesiątych urodzin.

- Niewiele czasu już zostało, prawda?

W oczach chorej pojawiły się skry. Uspokajała się bardzo powoli.

- Pan widział mnie tylko taką poparzoną. A poza tym widzi pan Alteę i myśli, że ja muszę być bardzo stara. Ale ja urodziłam córkę wcześniej, trzeba panu wiedzieć, uff, tak bym chciała, żeby Altea tak szybko nie dorastała, przecież to psuje mój image, ona...

Judy znowu zaczęła płakać.

Jaskari wstał.

- Nie, tak nie można, pani Loman, proszę spróbować trochę odpocząć.

Bardzo go irytowała ta geś z towarzystwa i ze współczuciem myślał o nieszczęsnej Altei, która wciąż musiała wysłuchiwać szczebiotania matki. Ale i jej matki było mu żal.

Judy próbowała zatrzymać lekarza.

- Ja go kocham ponad wszystko na ziemi, panie doktorze! A teraz jestem taka opuszczona!

Byłaś opuszczona od dawna, nieszczęsna kobieto, pomyślał Jaskari. Jack Loman to najwyraźniej jedyny człowiek, oprócz niej samej, którym się interesowała.

Środek uspokajający zaczynał działać, Judy przymknęła oczy i odprężyła się.

Jaskari usiadł obok Altei.

- Dnieje - powiedział. - To była dramatyczna doba twojego życia.

- Można tak powiedzieć.

- Twoja pomoc i twoja odwaga były dla nas bardzo ważne.

- Dziękuję. Cieszę się, że tak mówisz. Ale co zamierzacie teraz zrobić ze mną i z mamą? No i z Nellie?

Jaskari westchnął.

- No właśnie - powiedział. - Ale na razie dotarliśmy do bazy.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Altea. Bo wciąż widziała tylko wymarły górski

krajobraz.

14

Wysiedli i wówczas Jori i Jaskari doznali kolejnego szoku. Padający śnieg sprawił, że zapomnieli o wszelkiej ostrożności.

- Oj! - zawołał Jori, wyciągając odwróconą dłoń w górę. - Pada! Białe płatki, które topią się na rękach. Spadają z otwartego nieba? Bez żadnego sufitu?

Pospiesznie postawił kołnierz kurtki. Było bardzo zimno!

Jaskariemu też ta sytuacja rozczarowała.

- U nas w domu wszystko jest pod kontrolą, ciepły deszcz pada w nocy, jest to woda z pojemników. A tutaj tak samo z siebie? Nic przecież nie ma...

- Owszem, są chmury - tłumaczyła mu Sassa. - A poza tym uważajcie na to, co mówicie. I nie tak głośno!

Dopiero wtedy spostrzegli swój błąd. Trzy uratowane kobiety patrzyły na nich przestraszone. Chłopcy nie wiedzieli, że znajdują się tak blisko.

Jori uśmiechnął się.

- To taki nasz żart - powiedział. - No to co, idziemy do kryjówki?

Nieśli Judy na wąskich noszach po kamienistym płaskowyżu i trudnych do pokonania zboczach. Zinnabar szedł przodem jak wskazujący drogę anioł.

- Tylko się nie przestraszcie, jeśli zobaczycie coś niezwykłego - ostrzegł Jori. - Pamiętajcie, że robimy wszystko dla waszego dobra, i że naprawdę chcemy dla was tylko dobrze.

- Wiemy - powiedziała Altea, a Nellie kiwała głową. Wyglądało na to, że dziewczyna obdarza Alteę pewnym zaufaniem. Należała przecież do gospodarzy, i to do tej ich sympatyczniejszej części.

Jori szedł i rozmyślał, że jest teraz (wraz z Jaskarim i Zinnabare, oczywiście, ale oni są tutaj nieistotni) odpowiedzialny za trzy młode panny. Mniej więcej rówieśnice, Sassa najstarsza ze wszystkich, ale różnica jest niezbyt wielka. Pomiął całkiem ów dziwny fakt, że Sassa jest od pozostałych starsza o sto ziemskich lat. Judy nie liczył, ona znajduje się poza tym kręgiem.

Sassa, o, Panie Boże, gdzież on miał oczy, czym zajmował swoje myśli? Ta niezdolna Sassa, z którą nieustannie darł koty. A przecież Sassa jest taka ważna. Jakiś czas temu, kiedy znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie, wtedy nareszcie pojawił się. Pojął, ile ona dla niego znaczy. Jeszcze parę godzin temu, kiedy zostali rozdzieleni... jak bardzo wtedy mu jej brakowało. Czy powinien jej o tym powiedzieć? Nie, chyba lepiej, żeby zostało jak dawniej, nadal będzie na nią pokrzykiwał. Te jego ciągle żarty i wygłupy, gdzie się to wszystko podziało? Pierwszy raz w życiu stał się naprawdę poważny. Uściskał ją, kiedy została uwolniona. Szczerze i serdecznie ją uściskał, ale czy ona zrozumiała, jakie uczucie się za tym kryje? Jori nie umiał mówić o miłości i tego rodzaju sprawach... Co, u licha, rozumie przez „takie sprawy”?

Ogarnięty samokrytycyzmem kopnął z całej siły kamień, leżący mu na drodze.

Altea nie przejmowała się śniegiem, chociaż tak wysoko w górach było dość zimno. Doliny pod nimi wydawały jej się niewiarygodnie piękne, zasnuwane poranną mgiełką, która unosiła się malowniczo nad szczytami.

Mimo niepewności i braku perspektyw na przyszłość czuła się cudownie wolna. Uciekła z hacjendy. Jack Loman nie może jej tutaj dopaść.

A wszyscy ci ludzie, czy raczej należałoby powiedzieć: istoty, są nadzwyczajni. Nawet mała Nellie. Zabrali Alteę do świata, do którego od tak dawna tęskniła, co więcej, otoczyli ją przyjaźnią, uznali za swoją.

Oj, oj, mimo wszystko sumienie miała nieczyste, bo chociaż bardzo się cieszyła i była im wdzięczna za uratowanie matki, to akurat teraz Altea wolałaby jej tu nie widzieć. Judy po prostu nie pasuje do tego towarzystwa. W żadnym razie. A najgorszy jest sposób, w jaki usiłuje uwodzić pięknego doktora Jaskariego. Altea bardzo dobrze pamiętała, jak matka zachowywała się dawniej. Jeszcze kiedy żył ojciec dziewczynki, często wzdychała i mówiła: „Jaka to szkoda, że jesteś podobna do ojca, i z urody, i z charakteru”. Wtedy Altea obrażona w imieniu ojca wybiegała z pokoju i krzyczała: „A ja jestem z tego bardzo dumna!”

Zresztą, jak się okazuje, matka jest niezwykle wytrzymałą osobą. Po tych wszystkich przejściach i cierpieniach, po tylu środkach uśmierzających, powinna teraz spać jak kamień. Ale ona nie! Wciąż wzywała do siebie Jaskariego, skarżyła się na przykład, że tak ją okropnie boli noga i czy by pan doktor nie mógł wygładzić prześcieradła...?

Czy nawet w takich sprawach ktoś musi jej pomagać? Nic przecież nie stało na przeszkodzie, by na posłaniu mogła się poruszać. A kiedy ze względu na brak miejsca w gondoli mała Nellie została ulokowana przy jej nogach, to Judy pchnęła ją ze złością i syknęła przez zęby: „Nie życzę sobie mieć obok siebie jakiegoś pawiana!”

Wtedy Sassa zawołała ze złością:

- Chodź tutaj, Nellie! Nie będziesz słuchać żadnych ordynarnych komentarzy!

Było oczywiste, że po czymś takim Sassa została wciągnięta przez Judy na czarną listę. Ale wszyscy pozostali, w tym także ów imponujący Strażnik, dodawali dziewczynce otuchy, poklepywali ją po plecach, w końcu jej wykrzywiona, bezradna buzia rozjaśniła się w uśmiechu wdzięczności.

Altea zauważyła, że ręka matki gładzi ramię Jaskariego tym gestem, którego Judy używała wobec dużych, silnych mężczyzn, szepcząc przy tym jakieś podziękowania.

W uśmiechu Jaskariego była jedynie profesjonalna życzliwość. Kiedy szli do bazy, Judy chciała, by doktor znajdował się przy niej i trzymał ją za rękę, ale na szczęście nierówny teren na to nie pozwalał. Chyba wielu, widząc to, uśmiechało się z ironią.

Altea nie patrzyła pod nogi. Szła zamyślona, póki nie potknęła się tak, że o mało nie upadła.

Sądziła, że to jakiś wielki, nieforemny kamień. Ale to nie był kamień, to jakiś ogromny przedmiot w kształcie walca, pomalowany maskującą farbą i na pół ukryty pod gałęziami.

Stała jak wryta. Co to, na Boga...?

- Witajcie w bazie - powiedział Zinnabar. - Wejdźcie!
- Wykonał jakieś ruchy rękami i drzwi rozsunęły się na boki.
- Czy to jest niebezpieczne? - szepnęła Nellie.
- Wprost przeciwnie - zapewnił Jori.

W jakiś czas potem wszyscy byli jako tako urządzeni, każdy dostał kubek gorącego picia i coś do jedzenia. Siedzieli na dużej wyrzutni rakiet, bo w ogóle w bazie było dość ciasno, w każdym razie nie przewidywano, że będą się w tym miejscu odbywały zebrania. Było ich ośmioro, więc musieli siedzieć w rzędach niczym w samolocie lub w kinie.

Judy Loman zajmowała jedno z nielicznych miejsc leżących. Opiekowano się nią tak dobrze jak to było możliwe w tych skromnych warunkach. Mimo to ona domagała się nieustannej uwagi. Wszyscy mieli już dość tych jej przedstawień, jak to bardzo cierpi, Jaskari zastanawiał się poważnie, czy nie zrobić jej zastrzyku, po którym by spała przez pięć dni i pięć nocy, a on tymczasem mógłby spokojnie wykonywać wszystkie niezbędne zabiegi i mieć ją pod obserwacją. Później, kiedy będzie już dużo zdrowsza, niech się budzi.

Altea okropnie się wstydziła za swoją matkę.

- Nie, Judy, nie mam czasu - jęknął Jaskari po kolejnej serii skarg i narzekań. - Musimy teraz przedyskutować poważne sprawy, które wymagają zastanowienia, ale ty nie musisz w tym uczestniczyć. Powinniśmy wysłuchać raportów Nellie i Zinnabara, a ty leż i odpoczywaj.

Wściekła uniosła się na łokciu.

- Sugerujesz, że ta małpa z dżungli potrafi lepiej myśleć ode mnie?
- Tak - oznajmił Jori z powagą. - Jaskari, zaczynajmy!

Drugi Strażnik, Algol, nazwany tak na pamiątkę jednej z gwiazd, które to imię znaczy „demon”, uśmiechnął się i rzekł:

- Do mnie poprzez system komunikacyjny dotarły tylko fragmenty informacji, więc opowiadajcie wszystko od początku. Przeżyliście to i owo, prawda?

- Tak - potwierdził Jori. - Sassa i ja prosimy o wybaczenie, że zboczyliśmy z kursu i przerwaliśmy wykonywanie zadania.

- To było niezbędne. Chile dostanie zaległy prysznic jutro w nocy.

Judy wtrąciła ze złością:

- To wasza wina, że Jack i inni mężczyźni musieli chodzić w maskach!

- Porozmawiamy o tym później - przerwał jej Jaskari niecierpliwie. - Zinnabar, ty zaczynaj, to może Nellie tymczasem nabierze więcej odwagi, później przyjdzie kolej na nią. Proszę bardzo!

Wysoki Lemuryjczyk, do którego wszyscy żywili wielkie zaufanie, być może z wyjątkiem Judy, miał niewiele do opowiedzenia.

- Pokój komputerowy został całkowicie zrujnowany. Wszystko potrzaskane, rozbite w drobny mak. A wszelkie materiały, które mogłyby zawierać jakieś informacje, zostały zabrane.

- Mój kotek! Mój maleńki Nusse - krzyknęła Judy z pośłania.

- Oni zabrali ze sobą twojego ulubieńca - powiedziała Altea. - Koszyk również. I nie przerywaj nieustannie!

- Nellie, teraz twoja kolej. Wspomniałaś, że słyszałaś rozmowę dwóch mężczyzn w kuchni - zachęcał ją Zinnabar.

Judy uniosła głowę. Z uwagą wpatrywała się w Nellie.

- Chwileczkę - rzekł Jaskari i wstał. - Judy, czas na kolejny uśmierzający zastrzyk.

- Och, tak - szepnęła w zachwycie, zapominając o swoim cierpieniu i nie zauważając, że wszyscy się jej przyglądają. - Moje delikatne ciało nie jest w stanie znieść tego bólu.

Jaskari napełnił strzykawkę i zrobił zastrzyk.

- Proszę bardzo! A teraz wyjdziemy trochę na zewnątrz i nie będziemy ci przeszkadzać, dopóki lekarstwo nie zacznie działać.

Wyprowadził wszystkich na dwór. Śnieżne chmury tymczasem się rozwiały.

- To niemal czysta narkoza - wyjaśnił. - Po tym będzie spała bardzo długo. Teraz możemy rozmawiać bez przeszkód. Wybacz mi, Alteo, ale nie ufam twojej matce.

- I nie powinienes. Ona gotowa własną córkę sprzedać, byleby tylko osiągnąć, co chce.

- Zdaje się, że już to zrobiła - bąknął Jori, a inni kiwali głowami. - A przy okazji, ile ona ma lat?

- Niedługo skończy pięćdziesiąt. Ale nie mówcie jej tego, stara się utrzymać wszystkich w przekonaniu, że ma dwadzieścia dziewięć.

- Najdłuższy rok w życiu kobiety. Tak, tak, znamy to.

Znajdowali się na niewielkim zboczu, przed nimi leżało małe górskie jezioro skapane w blasku księżyca.

Sassa westchnęła zachwycona. Stała obok Nellie i Altei.

- Pokaż nam swoją gwiazdę, Algol - poprosiła.

Strażnik zbliżył się do dziewcząt, położył im ręce na ramionach.

- To będzie dosyć trudne - uśmiechnął się. - I to z kilku powodów. Algol, demon, znajduje się w gwiazdozbiornie Perseusza, a ten świeci na północnym niebie. Po drugie, stoimy w ciasnej dolinie, z której niewiele widać. A po trzecie, ostre światło księżyca pozwala ukazać się tylko najmocniej świecącym gwiazdom. No a w końcu zbliża się brzask i wszystko blednie, i gwiazdy, i księżyc.

- Czy ty jesteś demonem? - zapytała Sassa. Pochodziła przecież z Ludzi Lodu i znała mnóstwo opowieści o demonach.

- Nie - roześmiał się Algol.

- Ale czasami wyłazi z niego niezły diabełek uśmiechnął się Zinnabar. - Ja też bym bardzo chciał pokazywać gwiazdy trzem ślicznym panienkom.

- Świetnie, a co znaczy imię Zinnabar? - zapytała Altea.

- Och, niewiele, po prostu kolor. To jest to samo słowo co cynober.

Algol obiecał:

- Jeśli się kiedyś spotkamy na półkuli północnej, to chętnie wam pokażę moją gwiazdę. A teraz, Nellie, ty musisz nam opowiedzieć swoją historię.

O ile Judy domagała się nieustającej uwagi, to z Nellie było wprost przeciwnie.

Bardzo ją krępowało, gdy oczy wszystkich kierowały się na nią. Sassa chciała dać

jej nieco moralnego wsparcia, ale nieoczekiwanie Jori chwycił jej rękę tak mocno, jakby się bał, że Sassa mu zniknie, gdy tylko ją puści. Ona zaś nie chciała przerywać tej idylli, było to bardzo przyjemne doznanie. Poza tym nigdy nie wiadomo, jak długo potrwa.

Nellie wyglądała jednak tak żałośnie, taka wydawała się opuszczona, że Jaskari otoczył jej barki ramieniem.

- No to mów...

Dziewczyna nie przywykła do przemawiania na licznych zgromadzeniach, ale po długich zachętach, uradowana, że wszyscy posługują się jej językiem, nawet te dwa wielkie, potężne anioły, dowiedzieli się, co słyszała w piwnicy.

Krótko mówiąc: Cztery najznakomitsze osobistości świata, potężne, nieustraszone osoby, idealne wzory dla swoich współziomków, zwalczające wszelkie zło, mają zostać jak najszybciej zlikwidowane. Te świnię, mówili mężczyźni w piwnicy, znajdują się w Zurychu, w Szwajcarii, i nie wolno dopuścić, by powrócili do domów i znowu przemawiali do światowej opinii. Ale najgorszego ze wszystkich, mordercy mafiosów, Pedro de Castillo, z nimi, niestety nie ma. Szkoda, bo dobrze by było wydusić wszystkich za jednym zamachem.

Nazwiska Nellie wymawiała z wielkim trudem, ale chociaż mówiła bardzo niewyraźnie, jakoś zrozumieli, o kogo chodziło.

- Szwajcaria? Zurych? - powtarzał Algol w zamyśleniu. - Nellie, wydaje mi się, że uratowałaś życie czworgu najwartościowszym ludziom na świecie.

Spoglądali na niego z zaciekawieniem. Nellie nie mogła już chyba bardziej wytrzeszczyć oczu.

Algol wyjaśnił, o co chodzi:

- Właśnie dostałem wiadomość od jednego z moich kolegów, który czeka w górach Ahaggar w północnej Afryce, że Marco, Indra i Ram uczestniczą w jakimś bardzo ważnym spotkaniu w Szwajcarii. W Zurychu.

Zaległa absolutna cisza. Jakiś ptak przeleciał nad . ich głowami z szumem skrzydeł. Poza tym nic nie było słyhać.

- Więc to tak - rzekł po chwili Zinnabar półgłosem.

- Tak - potwierdził drugi ze Strażników. - Słyszeliście przecież, że jedna gondola została jakoby zestrzelona. To chodziło o nich, ale ich nie zestrzelono, tylko zmuszono do lądowania. A Marco spełnił prośbę naszego przyjaciela, Oka Nocy, i wezwał czworo ludzi o czystych sercach, a poza tym najbardziej uczciwych, jakich jeszcze można spotkać. Podobno spotkanie było bardzo owocne, dyskutowali nad problemami gospodarczymi i ochrony zdrowia, o zagrażających światu niebezpieczeństwach i wszyscy byli zgodni co do tego, że największym nieszczęściem dla świata jest działalność gangów i wszelka zorganizowana przestępczość, która obejmuje cały glob.

Przyjaciele, musimy się natychmiast skontaktować z Markiem, zanim dojdzie do katastrofy.

15

Marco otrzymał ostrzeżenie w dzień po zakończeniu obrad.

Podobnych konferencji odbywano w ostatnim dziesięcioleciu nieskończenie wiele, różnica polegała jednak na tym, że tej ostatniej nikt nie sabotował oraz, że przyniosła ona pozytywne rezultaty.

Tak uważali wszyscy delegaci. Po wielu dniach konstruktywnych narad żegnali się z nowym optymizmem.

Marco natychmiast podjął stosowne kroki, by zapobiec zamordowaniu niezwykle ważnych dla świata uczestników spotkania. Na wszelki wypadek zabezpieczył też wszystkich badaczy środowiska i innych uczestników narady. Astrofizyków, epidemiologów, fizyków...

Niektórych zdołał uprzedzić osobiście i zapewnić, że ewentualne próby morderstwa powinni przyjmować ze spokojem, bo na pewno otrzymają w odpowiedniej chwili pomoc. Inni natomiast zdążyli już opuścić Zurych najrozmaitszymi środkami lokomocji.

Louise Carpentier jechała samochodem, mieszkała bowiem niedaleko granicy szwajcarsko - francuskiej. Je - chała sama i rozkoszowała się pięknymi

krajobrazami i Alp. Kierowała się na południe, znajdowała się w pobliżu granicy trzech państw: Francji, Szwajcarii i Włoch.

Uśmiechała się sama do siebie. Cóż to za wspaniały człowiek ten Marco! Choć trudno powiedzieć, do jakiego stopnia jest człowiekiem.

Ram w każdym razie człowiekiem nie jest, żaden jednak nie powiedział, kim są. Prosilili tylko, by im wierzyć i zapewniali, że można im zaufać.

I Louise im ufała bez zastrzeżeń. Te dziewięć dni gotowa była zaliczyć do najlepszych w swoim życiu. Takie inspirujące, tyle wrażeń, tyle wiedzy. Cieszyła się, że będzie upowszechniać swoje nowe umiejętności, tłumaczyć ludziom, w jakiej sytuacji znalazła się Ziemia i co należy robić, by ją ratować.

Zabawny pomysł, ta stara indiańska przepowiednia. Po jednym przedstawicielu każdej rasy. Ona sama reprezentuje ogień. Żywił białej rasy. Świetnie, brzmi to bardzo dobrze.

Droga wiodła teraz wzdłuż wąskiego jeziora czy może rzeki, Louise nie wiedziała, jak to określić. W każdym razie brzeg był wysoki i stromy. Najlepiej patrzeć prosto przed siebie, głębia z boku może niebezpiecznie wciągać.

Na których swoich współpracownikach może polegać? Wszędzie tak strasznie dużo korupcji, zewsząd naciski, kuszące propozycje. Nigdy nie wiadomo, kto... Skąd się wziął ten samochód? Czy on musi jechać tak blisko niej tutaj, na tej strasznie krętej drodze w dół?

Marco zadzwonił do hotelu akurat w momencie, gdy płaciła rachunek, i ostrzegł, że ktoś będzie usiłował ją zamordować. Ale zapewnił, że nie powinna się bać, wszystko skończy się dobrze.

Au, ten samochód ją uderzył! Wykonała gwałtowny manewr i udało jej się nie spaść z wysokiej skarpy. Oddychała ciężko. To przecież śmiertelnie niebezpieczne! I co miał na myśli Marco, mówiąc, że zostanie uratowana? Tutaj? Na tej górskiej drodze, gdzie zupełnie nie ma ruchu?

Louise przyspieszyła, jak tylko mogła, ale prześladowca wciąż siedział jej na kole. Widziała za kierownicą samotnego mężczyznę, tylko tyle. Marco, jeśli naprawdę

uważasz, że ktoś mi pomoże, to zrób tak, żeby to się stało teraz. Bo on jedzie tuż obok, postanowił zepchnąć mnie w przepaść.

Nigdy jeszcze się tak nie bała. Jego samochód był wielki i ciężki, a jej nieduży damski samochodzik... Była bez szans.

Siedział rozparty w samochodzie i rozkoszował się sytuacją. Jeszcze jeden zakręt i baba zostanie zepchnięta do piekła. Do jeziora z nią!

Przyspieszasz, moja panienko? Daleko nie zajedziesz, nie wyobrażaj sobie. Teraz pojedziemy z boczku...

Co do cho... Tu pachnie dymem! W moim samochodzie? To niemożliwe, dlaczego, ledwo raz czy dwa ją stuknąłem.

Cholera, trzeba hamować, to nie wygląda za...

Auuu! Kierownica! Rozpalona do białości, nie mogę jej utrzymać! A tamta mi ucieka, nie wolno jej, ja muszę... Nie! Ratunku!

Płomienie ogarniały go ze wszystkich stron. Nic nie widział, nie mógł znaleźć pedału hamulca, klamka była potwornie gorąca.

Przeraźliwie wrzeszczał, w panicznym strachu, kiedy samochód wyleciał z drogi, wzbil się eleganckim łukiem w górę, a potem opadł na kamienisty brzeg jeziora daleko w dole.

Louise zatrzymała swój samochód. Zaszokowana patrzyła na słup ognia lecący w dół. Nic jednak nie mogła zrobić.

Drżącymi rękami ujęła kierownicę i pojechała dalej. Nie miała wątpliwości, że była to próba zamordowania jej. Nie żywiła dla tego człowieka najmniejszego współczucia. Kiedy jechał obok niej, mignęła jej na chwilę jego twarz, zła, bezlitosna, pospolita gęba. Zdażyła też zobaczyć jego przerażenie, kiedy już nie mógł utrzymać kierownicy, po czym samochód spadł ze skarpy i runął w przepaść. Ogień.

Reprezentant rasy żółtej, Chińczyk Wong, nie otrzymał od Marca ostrzeżenia.

Znajdował się już wówczas wysoko w powietrzu, nad żółtoczerwoną równiną pustyni Gobi, w drodze do Pekinu. Również on się cieszył, że będzie mógł rozpocząć nowy etap walki ze światowym syndykatem. Żeby się tylko udało rozbić główną organizację... Tak, eliksir owych niezwykłych obcych będzie tu ogromną pomocą. Słyszał o fantastycznych rezultatach działania eliksiru w różnych częściach świata. O tym, że charaktery ludzi zmieniają się z dnia na dzień. Dowiedział się na konferencji, że jego symbolem jest wiatr. Zabawne! Uśmiechał się sam do siebie, podobało mu się to. Chińczycy lubią różne symbole. Smoki, wiatr, kwiaty...

W jaki sposób jakiś człowiek może się ukryć przed całym światem tak, że nikt nie wie, gdzie się drań podziewa, nie zna nawet jego nazwiska, a tymczasem wszystkim rządzi?

Wong miał znaczne środki na poszukiwania. Zrobi co tylko można.

Samolot wylądował o czasie. Wong szedł razem z innymi pasażerami do hali przylotów. Nie miał żadnych powodów spoglądać w górę, na tarasy, z których można obserwować przylatujące i odlatujące samoloty. Było to miejsce bardzo dobrze strzeżone, każdy, kto chciał tam wejść, musiał się poddać kontroli osobistej.

Ale jeśli idzie tam sam strażnik...? On przecież nie dokona żadnego zamachu.

Wysłannik Lomana ostrożnie ustawiał broń. Ulokował się za statywem, podtrzymującym antenę radarową, więc inni ludzie znajdujący się na platformie nie mogli go widzieć, chyba że się ktoś odwróci, ale po co mieliby to robić?

Przyleciał właśnie samolot ze Szwajcarii, to było dużo bardziej interesujące niż antena. To jest Wong, rozpoznał z daleka jego dyplomatyczną teczkę, poza tym twarz była znana z gazet. To jeden z tych agitatorów czystości, który chciałby wyeliminować narkotyki i korupcję. Dziwne, że już dawno nie został wysłany do lepszego świata. Ale teraz to już koniec, mój przyjacielu!

Świetnie! Bardzo dobra widoczność!

O, do cholery! Wiatr rozwiał mu włosy i zupełnie przesłonił oczy, nic nie widział.

Odgarnął włosy i wycelował jeszcze raz. Nie, no, niech to szlag trafi, skąd się wziął ten wiatr? Prawdziwy diabelski młyn!

Zebrani na tarasie widokowym ludzie odwrócili się, by zobaczyć kłębiący się wir powietrza, który przywiał skądś długi szal i kapelusz.

Wtedy spostrzegli mężczyznę z karabinem i zaczęli krzyżeć. On jednak był, wbrew swojej woli, całkiem niegroźny, ponieważ wir powietrza pochwycił go i uniósł w górę, a potem cisnął na płytę lotniska, gdzie nieszczęśnik wylądował u stóp znanego obrońcy środowiska Wonga.

Niewiele zostało życia w „strażniku bezpieczeństwa” po tym locie. Obsługa zabrała i jego, i karabin, i wyniosła gdzieś, gdzie nie wiadomo, co go czeka.

Wong był wstrząśnięty. Bo tamten zdążył spojrzeć na niego wzrokiem, w którym można było wyczytać groźbę, i wysyczał przez zęby: „Następnym razem będzie po tobie!”

Po czym mężczyzna w uniformie strażnika stracił przytomność. Wong był pewien, że nie przeżyje upadku, odniósł zbyt poważne obrażenia.

Drżącymi rękami Wong ujął swoją teczkę i poszedł dalej. Wirujący wiatr to zawsze bardzo dziwne zjawisko, ale ten pojawił się dosłownie znikąd i zniknął też bez śladu. Niebo było czyste i błękitne, wszystkie flagi i proporce zwisały, nieruchome. Nigdzie ani jednego podmuchu.

Stał w kolejce do kontroli paszportowej pogrążony w myślach.

Czy to przypadek?

Nie potrafił w to uwierzyć.

Fourwell Hunter próbował ukryć dumę z tego, że ów fantastyczny Marco wziął za punkt wyjścia dla zorganizowania konferencji starą indiańską przepowiednię i wezwał przedstawicieli różnych ras. Sam Fourwell dobrze wiedział, że on reprezentuje żywioł ziemi, wszyscy Indianie reprezentują ten właśnie żywioł. Ale kiedy miał do pokonania ostatni odcinek drogi do domu i wiedział, że zaraz będzie opowiadał o swojej niezwykłej podróży, obawiał się, że nie zdoła zachować swego indiańskiego, stoickiego spokoju. Martwił się, że nie powstrzyma radosnego

uśmiechu i umniejszą przez to wielką godność raportowi, jaki miał złożyć. Szedł przez rozległe łąki, ponieważ chciał być przez chwilę sam. Pragnął pobyc blisko ziemi, poczuć wielkość swego powołania. Był jednym z czworga wybranych, którzy wraz z trojgiem przybyszów mieli odwrócić dzieje świata, uchronić go przed pogrążeniem się w otchłani. Mają wnieść z powrotem do ludzkich serc światło i radość, i poczucie bezpieczeństwa.

Nagle zatrzymał się zdumiony. Przedtem nie było tu chyba aż tyle kwiatów? Wszystko rośnie tak bujnie! A on sam, skąd się bierze to nieopisane uczucie szczęścia? Czy to tylko radosne spotkanie w Szwajcarii, czy też to prawda, że... Że była tutaj gondola? Że rozpylono nad jego krajem ów życiodajny eliksir?

Tak rzeczywiście było. Móri, Berengaria i Goram odbywali swoją krucjatę ponad Ameryką Północną. Nie zdążyli jeszcze dokonać zbyt wiele, ale tutaj, w stanie Fourwella Huntera, wypełnili zadanie do końca.

A rezultaty okazały się porażające. Cudowne!

Indianin głęboko wciągnął powietrze i pozwolił, by na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

Był już bardzo blisko zagajnika, za którym znajdował się jego dom, gdy spostrzegł, że przez łąkę idzie mu na spotkanie jakaś kobieta. Miała na sobie krzykliwe ubranie jak bohaterki akcji feministycznych, ale najdziwniejsze było to, że usta i nos przesłaniała jej zielona maseczka. Zresztą bardzo ładnie współgrała z jej ognistorudymi włosami.

Ale w ręce trzymała zwyczajny obrzyn, karabin z odpiłowaną lufą.

Hunter otrzymał ostrzeżenie Marca. Teraz jednak nie mógł pojąć, kto by go tutaj i w jaki sposób mógł uratować. Rzucił się na ziemię i czołgał się szybko w stronę nadchodzącej, by złapać ją za nogi w wysokich butach.

Ona jednak momentalnie odskoczyła i opuściła broń, którą przedtem zdążyła unieść. Hunter nie zdołał jej podciąć nóg, ale kobieta, jakby automatycznie, zaczęła się cofać. I wtedy stało się coś niewiarygodnego.

Nigdy nie przypuszczał, że na tej łące żyją krety. Ale kobieta potknęła się o

wysokie kretowisko, którego tu przedtem nie było, przez chwilę próbowała odzyskać równowagę, ale jej nogi zapadały się coraz głębiej i w końcu z dziwnym szelestem osypującej się ziemi zniknęła cała. Słyszał jej wołanie o ratunek, zdławione, cichnące w miarę, jak kobieta się zapadała, coraz głębiej i głębiej, jakby kretowisko nie miało dna. Hunter prawie zaczynał wierzyć w piekło, o którym opowiadają biali księża. W końcu wszystko ucichło.

Ziemia powoli się zasklepiła i łąka wyglądała znowu jak dawniej.

Moim żywiołem jest ziemia, uświadomił sobie z przerażeniem.

Simon Bogote został na jakiś czas w Zurychu. Jego samolot miał odlecieć późnym wieczorem, Simon postanowił więc poznać lepiej to piękne miasto.

Wynajął łódź wiosłową, chciał obejrzeć miasto od strony jeziora.

Prosta sprawa, pomyślał człowiek Lomana, widząc, co się dzieje, i zataił ręce z radości. On też wynajął łódź. Motorową. Żeby się szybciej przemieszczać z miejsca na miejsce.

Oczywiście, ostrzeżenie Marca dotarło do Bogote. To zresztą był jeden z powodów, dla których wypłynął na jezioro, uważał, że tam będzie bezpieczny.

Przez jakiś czas wszystko układało się jak należy, wkrótce jednak Simon stwierdził, że nie jest przyzwyczajony do wiosłowania. Na dłoniach porobiły mu się bolesne pęcherze.

Ponieważ jednak uznał, że dość się już napodziwiał starych szwajcarskich domów od strony jeziora, wykonał niezbyt może elegancki zwrot i skierował się ku brzegowi. Znalazł sobie punkt odniesienia, to znaczy na odległym brzegu wybrał miejsce, z którego, wiosłując, nie spuszczał oka. Uniknął w ten sposób niepotrzebnego błądzenia i kręcenia się w kółko.

Pochłonięty tymi wszystkimi manewrami, nie zauważył, że bardzo szybko zbliża się do niego motorówka. W każdym razie nie zauważył jej na początku.

Bogote był człowiekiem obdarzonym zdrowym poczuciem humoru. Śmiał się teraz do siebie, wspominając bardzo udaną konferencję. Zwłaszcza bawiła go pewna

sekretarka, która nie patrzyła na Rama całkowicie ignorowała Indrę, natomiast oczu nie mogła oderwać od Marca. Bogote pamiętał jej rozciągniętą wysoko na biodrze spódnicę, przypominał sobie, jak kobieta siadała, żeby Marco mógł jak najwięcej zobaczyć, i jaka była zirytowana, gdy on rozmawiał wyłącznie o katastrofach w elektrowniach atomowych około roku 2000.

Kiedy Bogote unosił wiosła, spływała z nich woda. Woda jest symbolem rasy czarnej, powiedział Marco. Najważniejszy z żywiołów i najbardziej opanowany, ale i najpotężniejszy. Tak twierdzą Indianie.

To bardzo pięknie powiedziane.

Simon Bogote odwrócił się gwałtownie, kiedy usłyszał za sobą odgłos silnika.

Rozmarzył się...

Przez głowę przemknęła mu błyskawiczna myśl, że podświadomie wybrał wycieczkę łodzią, bo miał nadzieję, że na wodzie będzie najbezpieczniejszy. No ale jeśli tak, to popełnił błąd. Bo ten człowiek, który zamierzał właśnie rozbić jego łódź, miał mord w oczach. Akurat w miejscu, gdzie się znajdowali, nie było na brzegu domów. Tylko wysoka, porośnięta lasem skarpa. I żadnych łodzi w pobliżu...

Bogote stracił panowanie nad sytuacją, najpierw siedział jak sparaliżowany, a potem zaczął się beładnie kręcić, szukając ratunku. Miał nawet zamiar wskoczyć do wody, ale to by wcale nie pomogło, a nawet wprost przeciwnie. Już widział oczyma wyobraźni, jak motorówka rozbija jego łódkę, jak on sam wkręca się w śrubę...

Zderzenie było nieuniknione, zaraz motorówka uderzy w dziób łódki. Simon zacisnął powieki...

Ale nie usłyszał trzasku. Motorówka nie trafiła w tak śmiesznie bliski cel, przeleciała obok łodzi wiosłowej, prowadzący ją człowiek kłął z paskudnie wykrzywioną twarzą i próbował przeskoczyć do łodzi Bogote.

Nie powinien był mieć z tym żadnych trudności, ale on z jakiegoś powodu uniósł dziób motorówki w górę tak gwałtownie i mocno, że sam wyleciał z niej wielkim

łukiem, po czym wpadł do jeziora; znalazł się teraz w wodzie między dwiema łodziami. Motorówka z szumem silnika popłynęła sama dalej.

Bogote spontanicznie wyciągnął rękę, żeby mu pomóc. Był człowiekiem głęboko religijnym i nigdy nie mógłby sobie wyobrazić innego zachowania w takiej sytuacji. Ale napastnik chwycił go i z całej siły pociągnął w dół. I natychmiast podjął próbę wepchnięcia czarnego mężczyzny pod wodę.

Motorówka tymczasem zatoczyła po jeziorze piękny krąg i nieoczekiwanie wyrosła tuż przed człowiekiem Lomana, który z wrzaskiem puścił swoją ofiarę i próbował się w popłochu ratować. Simon Bogote gwałtownie wciągał powietrze, zobaczył przed sobą kil motorówki i pomyślał, że teraz...

Ale nie. Zdumiony, niczego nie pojmując, patrzył, jak motorówka go omija, a potem rusza naprzód, jakby przy sterze siedział jakiś niewidzialny człowiek, który pewnie prowadzi ją wprost na nieznanego.

Tym razem tamten nie miał najmniejszych szans. Jego własne narzędzie mordu, motorówka, której monotony warkot odbijał się od pobliskich skał, rozplatało go na dwoje. Śruba najpierw go oskalpowała, a potem jedno jej skrzydło wbiło mu się w mózg.

- Och, nie! - jęknął Simon. - Ja nie chciałem, ja naprawdę chcę dla wszystkich dobrze!

Aż do tej chwili nie zauważył, że jakaś inna wielka łódź okrążyła właśnie cypel i załoga widziała całe zajście. Wyciągnęli go teraz z wody i wyjaśnili, że on nie ponosi żadnej winy za to, co się stało. Zgnębiony, szarpany mdłościami, opadł na ławkę w ich łodzi ze wzrokiem skierowanym na piękny krajobraz na brzegu. Nie chciał patrzeć, jak ratownicy wydobywają z wody zwłoki napastnika ani jak biorą na hol obie łódki.

W głębi swej przyjaznej ludzom duszy był wstrząśnięty. Wciąż brzmiały mu w uszach ostrzegawcze słowa Marca. Wciąż też myślał o przeświadczeniu Indian, że woda jest żywiołem rasy czarnej. A przedtem sceptycznie się uśmiechał i nad ostrzeżeniem, i nad starym indiańskim podaniem.

A teraz siedzi tutaj i dzwoniąc zębami raz jeszcze przeżywa całe zdarzenie. Czy mam podziękować wodzie? zastanawiał się. Przyjąc do wiadomości, że jest moją sojuszniczką?

Nie mógł się na to zdobyć, ponieważ cudowne ocalenie nastąpiło kosztem potwornej masakry.

Zamiast tego dziękował Bogu. I modlił się za duszę tamtego.

16

W niebezpieczeństwie znajdowali się nie tylko reprezentanci czterech ras. Loman nigdy nie pozwolił uniknąć żadnemu „wrogowi”. Jego szpiedzy dowiedzieli się dokładnie, kto jeszcze brał udział w tajemniczym spotkaniu.

Grupa złożona z pięciu uczonych i dwóch sekretarek znajdowała się właśnie na lotnisku pod Zurychem.

Stali wszyscy w hali odlotów zajęci ożywioną rozmową o wszystkim, co przeżyli w ciągu tych niezwykłych dni. Prawdę mówiąc, jeden z nich nie był uczonym, to inspektor policji, bardzo uczciwy człowiek, odpowiedzialny za poszukiwania owego znikającego jak cień osobnika, który kierował wszelką zorganizowaną przestępczością na świecie. Niezależnie od tego, co różne mafie robiły, on na pewno maczał w tym palce, można być tego pewnym.

Siedmiorgu uczestnikom konferencji trudno się było rozstać, chcieli, żeby nadal trwały tamte dni takie bogate w nowe doświadczenia i nowe pomysły.

Stali teraz między kioskiem z gazetami a sklepem sprzedającym pamiątki, rozmawiali o trojgu obcych organizatorach konferencji i już zaczęli tęsknić za następnym spotkaniem. Polubili Rama, niezwyklego, dającego tyle poczucia bezpieczeństwa, Indrę z jej soczystymi replikami, i Marca, autorytet absolutny, obdarzony tyloma nadzwyczajnymi cechami i zdolnościami. Domyślali się wszyscy, że poznali zaledwie ułamek jego możliwości.

Mieli się ponownie spotkać za kilka dni, by przedstawić kolejny raport, a wtedy poznają też innych członków grupy, która rozsiewa spokój i harmonię oraz zapewnia ziemi nową wspaniałą płodność.

- Marco powiedział, że możemy spokojnie wracać do domu - wspomniał jeden z uczonych. - Dawał jednak do zrozumienia, że możemy się spodziewać zamachu na nasze życie.

- E, to przecież nic nowego. Od wielu lat działamy w podziemiu. Ale skoro on tak twierdzi, to nie powinniśmy się obawiać tego ataku.

- Nigdy nie zrozumieć, dlaczego ktoś nastaje na nasze życie.

- To prawda. Widocznie jednak dziedziny naszych badań przeszkadzają temu nieznanemu, wielkiemu bossowi. A nawet są dla niego groźne, po pierwsze dlatego, że zwalczamy jego destruktywną działalność, a po drugie dlatego, że nie można nas kupić.

Nagle jedna z sekretarek zamarła.

- Spójrzcie na ruchome schody - wyszeptała przerażona.

Wszyscy podnieśli głowy. Czterej mężczyźni wjeżdżali na piętro, stali jednak na schodach zwrócenii w stronę hali, wszyscy mieli broń, wymierzoną w grupę uczestników konferencji.

- Na ziemię! - wrzasnął inspektor policji, ale było za późno. Salwa wystrzałów wstrząsnęła dworcem lotniczym.

Inni pasażerowie z krzykiem padali na podłogę.

Nikt z siedmiorga nie został jednak trafiony.

Czterej napastnicy w jasnozielonych maseczkach na twarzach wjeżdżali schodami na górę. Opróżniwszy magazynki swoich pistoletów, odrzucili je, pewnie dlatego, żeby łatwiej było im uciekać, a także dlatego, by nie dać się złapać na gorącym uczynku. Zdarli też maski z twarzy. Otwierali usta ze zdumienia, że ich ofiary stoją w hali, jak stały, żywe i zdrowe. Wkrótce podłoga następnego piętra przesłoniła im widok.

- Co to by...? - krzyknął jeden z uczonych. - Czy oni strzelali ślepymi nabojami?

- Nie, słyszałem, jak kule świstały mi nad uchem - powiedział jakiś młody człowiek, który leżał na podłodze między nimi i schodami. - Celowali prosto w was.

Inspektor policji wyjął gwizdek i zagwizdał, po chwili biegli już w jego stronę policjanci i ochrona lotniska. Dzieci płakały, podróżni uciekali.

- Ale co się stało z kulami? - zapytała druga sekretarka. - Przecież strzelanina trwała chyba z minutę, widziałam ogień!

Natychmiast otrzymała odpowiedź. Na podłodze koło jej stóp mnóstwo kul toczyło się w różne strony.

Policjanci ruszyli w pogoń za napastnikami, pozostali ludzie jednak byli jak ogłuszeni. Co to się stało?

- Czy wy macie na sobie kuloodporne kamizelki? - zapytał jakiś pan nieśmiało. Nie, nikt z siedmiorga nie nosił kamizelki.

To jakiś cud. Wystrzelono dziesiątki kul, które zniknęły bez śladu, żeby się potem znowu pojawić, nie wiadomo skąd.

- Myślę, że Marco miał rację - powiedział jeden z uczonych cicho. - Chyba udzielono nam pomocy. Ale co czy kto nam pomógł?

Na wyższym piętrze równie zdumieni przestępcy rozbiegli się w różne strony, co zresztą wcześniej uzgodnili. Działali jednak niezbyt pewnie, zbici z tropu i, szczerze mówiąc, przestraszeni. Opróżnili do końca magazynki swojej broni, ale ani jeden strzał nie był celny. Policja i strażnicy depczą im po piętach, zostali odkryci szybciej, niż się spodziewali, co przerażało ich jeszcze bardziej niż to, co się stało w dolnej sali.

Jeden, zgodnie z umową, pobiegł w stronę bocznych ruchomych schodów, których nie używał nikt prócz personelu lotniska, toteż nigdy nie było tam tłoku.

Teraz też, chwała Bogu, znajdował się na schodach sam, pokonywał po trzy stopnie naraz i nagle całe schody się wyprostowały, zmieniły w taśmociąg.

Próbował uchwycić się poręczy, ale była gładka niczym masło, ręce mu się ześlizgiwały, stracił równowagę. Zjeżdżał na plecach w dół w takim tempie, że ze spodni na tyłku zaczął unosić się swąd spalenizny. Ale nie to było najgorsze, rozpędzony wyleciał na posadzkę, uderzył głową w kamienną krawędź schodów i doznał złamania podstawy czaszki.

Drugi z napastników pobiegł do windy. Właśnie wsiadała do niej kobieta z dziecięcym wózkiem, więc wyszarpnął go brutalnie, a kobietę popchnął tak, że upadła na podłogę. Ani matce, ani dziecku nic się, na szczęście, nie stało, ale oboje byli przestraszeni. To go jednak nie obchodziło, chciał mieć windę tylko dla siebie.

Nacisnął guzik, zamierzał zjechać dwa piętra w dół. Żaden ze strażników go nie widział, wszystko pójdzie dobrze.

Tylko czy to naprawdę tak strasznie daleko znajduje się ten drugi poziom?

Na zewnątrz windy było ciemno, a nie powinno, winda miała boki ze szkła, widziało się przez nie hale lotniska. On jednak nie widział nic.

Nie, z tą windą coś jest nie w porządku. Powinien się już teraz znajdować w piwnicach, nie miał pojęcia, że jest tu tyle podziemnych poziomów.

Nieprzeniknione ciemności na zewnątrz, a winda po prostu jedzie i jedzie w dół w szalonym tempie. Och, a to co znowu? Gdzie się podziała tablica z przyciskami?

Jak teraz wyjechać ponownie na górę, skoro jest tak ciemno...

Nagle winda zatrzymała się z łoskotem. Drzwi się rozsunęły.

Czym to tak śmierdzi? Ziemią?

Nie, nie może tu zostać. Przez pomyłkę zjechał za głęboko. Może mają w podziemiach pod lotniskiem jakieś ukryte laboratoria, a on się tu znalazł z powodu awarii mechanizmów i...

Mężczyzna zrobił krok do przodu i wpadł w ziemiście czarną pustkę. Nikt nie słyszał jego krzyków.

W każdym razie nikt, kogo można by zobaczyć.

Natychmiast winda ruszyła znowu w górę, do oczekujących pasażerów.

Dwaj pozostali napastnicy mieli czekać w hali lotniska, aż niebezpieczeństwo minie. Jeden, zgodnie z planem, poszedł do dużego kiosku z gazetami i słodyczami. Wokół znajdowało się wiele wysokich statywów na gazety i można się było za nimi schować. Zdjął marynarkę i perukę, po czym wyszedł jako ktoś zupełnie inny. Odszukał kasę i zapłacił za kilka czekoladowych kul, wypełnionych

ponczem. Spokojny i uśmiechnięty, i jak wszyscy inni zaciekawiony tym, co się wydarzyło na parterze. Kupił też gazetę, trzymał ją pod pachą, a czekoladową kulę w ustach i spacerkiem przechadzał się po hali.

I nagle, akurat w chwili, gdy wciągał powietrze do płuc, otrzymał silny cios w plecy, a wtedy kawałek czekolady wpadł mu do gardła. W niewłaściwy otwór.

Próbował odkaszlnąć ale czekolada tkwiła głęboko. Krztusząc się gwałtownie, purpurowy na twarzy, osunął się na najbliższą ławkę, ludzie wokół zauważyli, że sytuacja jest poważna, starali się udzielić mu pierwszej pomocy, stukali go w plecy, masowali przeponę, wszystko na próżno. Pogotowie nie zdążyło na czas. Czwarty poszedł w kierunku drzwi z napisem „Panowie”, gdzie zamierzał zmienić swój image. Miał on jednak bardzo słabe nerwy, musiał zamknąć się w kabynie i usiąść na chwilę. Bolał go żołądek, nie rozumiał, co się stało. Kule w całej hali, wszędzie mnóstwo policji, nie miał już ani jednego naboju. Trudno mu było się opanować.

Kabina, w której się znalazł, też była dosyć dziwna, zabudowana od góry do dołu. Usłyszał cichy trzask zamka, ale na razie się nad tym nie zastanawiał. Usiadł na sedesie i postanowił, że zostanie tu jakiś czas, było tu bezpieczniej niż na zewnątrz.

Ale toaleta też nie okazała się taka spokojna. Najwyraźniej zepsuł się mechanizm spluczki, bo woda leciała nieustannie.

Nie. Nie woda. Brunatna masa po wielu różnych wizytujących to miejsce, wypełniała muszlę klozetową, podnosiła się wyżej i wyżej i cuchnęła potwornie. Wkrótce zaczęła się wylewać na podłogę.

Rzucił się do drzwi, ale zamek nie działał. Kręcił się w kółko bez żadnego oporu, ale drzwi nie można było otworzyć.

Kloacznej cuchnącej masy wciąż przybywało. Wylewała mu się na buty, potem na spodnie, wszedł na deskę klozetową i głośno wzywał pomocy.

Wyglądało jednak na to, że nikt nie odczuwa potrzeby odwiedzenia męskiej toalety. W każdym razie przez bardzo długi czas.

Policja znalazła trzech mężczyzn, zmarłych mniej więcej w tym samym czasie, w niewyjaśnionych okolicznościach. Jeden skrzył sobie kark, jeden udusił się kawałkiem czekolady i jeden utopił się w bardzo przykry sposób.

Przy wszystkich trzech znaleziono ukryte jasnozielone maseczki.

Czwarty mężczyzna nie został odnaleziony. Nigdy.

17

Jack Loman pienieł się z wściekłości. Mieszkał teraz w nowej, okrytej tajemnicą bazie. Już chodził, choć w jego ruchach była teraz rzucająca się w oczy sztywność.

- Co? - wrzeszczał tak głośno, że kryształowe żyrandole podzwaniały delikatnie. - Żaden nie został zlikwidowany? A moi czterej wysłannicy ponieśli śmierć? Co się, do cholery, dzieje na tym świecie? Co to za sabotaż? Żeby jacyś ukrywający się dranie tak upokarzali moich ludzi!

- Nic z tego nie rozumiemy, Jack. Gazety piszą...

- Gazetom w ogóle nie wolno nic pisać na temat naszej tajnej działalności, dobrze o tym wiesz, Ross! Jak wy właściwie załatwiliście tę sprawę? I nie mów do mnie Jack, to imię już nie istnieje! Zamyślił się.

- Więc ty sądzisz, że to te błazny, rozpylające idiotyczny deszcz nad światem, stoją za śmiercią naszych ludzi?

- To naprawdę muszą być oni, szefie. Tylko że tych troje z Zurychu zniknęło bez śladu.

- Ich jest znacznie więcej niż troje - mruknął Jack Loman ze złością. - Ale zaraz ich wyłapiemy! Zostaw te sprawy mnie!

Ross przyglądał mu się sceptycznie, dobrze wiedział, że Jack został poważnie okaleczony.

- Jak zamierzasz się z tym uporać?

- Infiltracja, mój dobry człowieku, infiltracja! Jest wystarczająco dużo kur, które chciałbym złapać razem z tymi obcymi. Przede wszystkim chcę wbić szpony w moją pasierbicę, Alteę, która na waszych oczach uniosła się w powietrze i

zniknęła. Muszę ją złapać, zanim zdąży za wiele o mnie nagadać. A moja zemsta za to, co mi zrobiła, będzie taka, że sam diabeł w piekle mi pozazdrości.

Ross nie miał pojęcia, skąd weźmie odwagę, żeby przekazać kolejną informację, z drugiej jednak strony złośliwie cieszył się z tego, co miał powiedzieć.

- Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz. Zanim nasi ostatni ludzie opuścili hacjendę w Ameryce Południowej, wstąpili do kopalni, żeby usunąć wszelkie ślady po twojej małżonce, Judy. Ale jej tam nie było.

Ross przestraszył się, że jego szef dostanie ataku apopleksji.

- Znowu te latające przedmioty? Musieli ją zobaczyć z powietrza. Niech to diabli! Niech to diabli!

- Sądzę, że ze strony Judy nie masz się czego obawiać - rzeki Ross z pewnym wahaniem. - Ona zawsze była wobec ciebie niesłychanie lojalna.

Jack Loman wyglądał tak, jakby zjadł cytrynę umoczoną w occie.

- Jeśli tylko Devlin nie przesadził. Prosiłem go, by powiedział jej parę słów prawdy. Teraz bym wolał, żeby tego nie zrobił.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - zapewnił Ross nieszczerze. - Jak długo będziemy musieli nosić te przeklęte maseczki?

- Dopóki te diabły nie przelecą nad naszą okolicą. Zauważymy to, bo roślinność zacznie się bardzo bujnie rozwijać, a wtedy zaczekamy jeszcze jakiś czas, dopóki to ich spryskiwanie nie przestanie działać. I wtedy prawdopodobnie cała ludzkość przemieni się w łagodne baranki, a my staniemy się jeszcze silniejsi i potężniejsi. Zacierał ręce na myśl o niesłychanej władzy, jaka stanie się jego udziałem. Będzie mógł się wtedy wspinać jeszcze wyżej z tego szczytu, na którym już teraz się znajduje.

Ale Ross był bardziej powściągliwy.

- A jeśli oni tu latają w całkiem innej sprawie? Może chcą, żeby ludzie stali się tacy łagodni, jak mówisz, bo potem sami zagarną władzę nad nimi?

Twarz Lomana pociemniała. Odmienili przecież Kowalskiego!

- Żebyśmy chociaż wiedzieli, kim oni są! I skąd przybyli.

- Powinniśmy przymknąć jednego z nich.

W Szwajcarii już próbowali. Wojsko, ciężkie uzbrojenie. Nic z tego nie wyszło.

- Bo tych troje, którzy tam wylądowali, zaprzyjaźnili się ze Szwajcarami... a potem zaczął się cyrk z tymi wszystkimi obrońcami środowiska i opozycjonistami, uczonymi i tak dalej. A my straciliśmy naszych...

- Dobrze, już dziękuję - uciał Loman. - Nie musisz mi o tym przypominać. Ale, jak powiedziałem, teraz ja obejmuję przywództwo! Miło będzie się trochę rozruszać, pojechać gdzieś swobodnie!

Zrobił nieostrożny ruch i syknął z bólu. Prawie swobodnie, pomyślał z goryczą.

Przeklęta Altea, już ona dostanie za swoje!

Marco, Indra i Ram kontynuowali swoje dzieło rozprzestrzeniania dobra i harmonii w Europie.

Teraz wiedzieli już, że ludzie należący do komanda pod dowództwem bezimiennego szefa zasłaniają twarze maskami, by uniknąć „zakażenia życzliwością”.

Nocne wyprawy gondolą posuwały sprawę bardzo wolno, ponieważ akurat ich zespół miał mnóstwo innych zajęć za dnia, więc większą część nocy na ogół przesypiali. Ram zastanawiał się, czy by nie zarekwirować jeszcze jednej gondoli z załogą, która by od nich przejęła zadanie spryskiwania kontynentu życiodajnym płynem Madragów, ale, szczerze mówiąc, nie było kogo wezwać. Ziemia jest wielka i wszyscy mieli mnóstwo pracy w swoich rejonach.

Dlatego Europa trochę odstawała.

Natomiast Jori i Sassa znowu intensywnie pracowali.

Marco i Ram wiedzieli już o uratowaniu trzech kobiet, matki, córki i małej indiańskiej służącej, której bardzo źle się wiodło u bogatego właściciela majątku w Chile. Pochwalono ich za rozsądne decyzje, ale teraz niech się Jaskari zajmuje paniami, oni zaś powinni wracać do swoich obowiązków i kontynuować zraszanie ziemi eliksirem.

Oczywiście, chętnie się tym zajmą. Podczas rozmowy jednak Marco, całkiem przypadkiem, otrzymał informację, która sprawiła, że podskoczył na miejscu.

- Coś ty powiedział, Jori? Że mężczyźni z hacjendy nosili na twarzach maseczki?

- Tak - potwierdził Jori spokojnie. - Jasnozielone maski zasłaniające usta i nos, takie, jakich używają lekarze.

Marco milczał tak długo, że Jori musiał zapytać, czy wciąż jeszcze tam jest. Był, oczywiście.

Tak właśnie doszło do decyzji rozesłania po całym świecie listu gończego za Jackiem Lomanem z dokładnymi informacjami na temat jego wzrostu, przypuszczalnej wagi, wyglądu, zwyczajów, języka i tak dalej, wszystko wyłożone przez Alteę, która dodała też, że obecnie jest prawdopodobnie ciężko ranny w dolnych regionach swojej osoby, jeśli tak to można określić i powinien właściwie leczyć się w szpitalu.

Jack Loman przeczytał te wszystkie wiadomości na temat własnej osoby. Klął potwornie, ale się właściwie nie bał. Zdażył już zmienić tożsamość na tyle, że własna matka miałaby problemy z rozpoznaniem go - gdyby jej już dawniej nie wyekspediował do lepszego świata ze względu na jej nieustanne marudzenie w najrozmaitszych sprawach oraz z powodu nadziei na wielki spadek.

Jack Loman zakończył swoją egzystencję. Człowiek, który do niedawna nosił to nazwisko, rozpoczął nowe życie.

Ross i Devlin prowadzili poufną rozmowę:

- Dlaczego, do cholery, on uparł się na tę czwórkę nadętych idiotów, Wonga i Carpentier i tak dalej? - zastanawiał się Ross. - Dlaczego akurat ich chce zgładzić?

- Bo oni są dla świata niczym bogowie - wyjaśnił znacznie mniej skomplikowany Devlin. - A według szefa, ludzie nie powinni mieć żadnych bogów.

Z wyjątkiem samego Lomana, pomyślał Ross, ale głośno tego nie powiedział, między nim bowiem a Devlinem trwała nieustanna walka. Po części chodziło o względy Lomana, o to, który będzie jego najbliższym współpracownikiem, po

części jednak musieli się nawzajem pilnować, żeby się żaden za bardzo nie wybił. Każdy z nich mógł pewnego dnia przejąć całą władzę.

Dlatego obaj milczeli. Gdyby bowiem Loman rozszyfrował ich ambicje i zamiary, byłoby po nich.

Obaj z najwyższą niechęcią myśleli o tym nowym elemencie, który pojawił się w ich świecie. Te jakieś istoty, które wymykały się wszelkiej klasyfikacji. Czy są to ludzie, czy też nie? Krążyły najrozmaitsze pogłoski. Kobieta miała jakoby pochodzić z rodu ludzkiego, ale ci dwaj mężczyźni? Ani Ross, ani Devlin nie wierzyli w żadne UFO czy innych Marsjan, ale kim są ci przybysze?

Sami nie widzieli tych trojga, którzy przez jakiś czas przebywali w Szwajcarii, wyjechali teraz nie wiadomo dokąd, ale podobno ma ich być więcej! No, na przykład ci, którzy zabrali Alteę i później prawdopodobnie również Judy, to nie ci sami, którzy przebywali w Szwajcarii. A pogłoski z Australii, z Afryki, z Ameryki Północnej, ba, z całego świata, donosiły o całych tłumach dziwnych przybyszów. Czy to jakaś inwazja nieznanymi istotami?

Przyjemnie, nie ma co. I Ross, i Devlin zadrżeli na myśl o tym.

Uspokajali się jednak nawzajem, że muszą to być zwyczajne plotki, czyste wymysły. Na pewno znajdzie się jakieś naturalne wytłumaczenie.

Ale co, na wszystkie ognie piekielne, znaczą wydarzenia w Zurychu? Ośmiu najlepszych snajperów Lomana przeciwko jedenastu niczego nie podejrzewającym uczestnikom jakiegoś spotkania.

Żaden z wrogów nie zginął. Natomiast ośmiu dzielnych wojowników padło w upokarzających okolicznościach, ponosząc straszną śmierć.

Czy należy się więc dziwić, że najbliższych współpracowników Lomana przenikał lodowaty dreszcz?

18

Przy bazie w Andach światło księżyca tworzyło dziwne wzory na skałach, błyszczały krople rosy zawieszane na pajęczynach w dziwacznych, ciemnych krzewach. Spokój panujący nad martwym krajobrazem był porażający. Nappełniał

Sassę smutkiem, przywoływał wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w chłodnej Norwegii.

Poparzenie. Samotność. Straszna zdrada matki. Śmierć kochanego ojca...

- Altea - powiedziała cicho. - Twoje życie jest podobne do mojego.

Altea spojrzała na nią pytająco. Siedziały obie na płaskim kamieniu przed rakieta, nie miały na razie nic do roboty, mężczyźni dźwigali wielkie pojemniki z wodą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Słyszałam twoją historię. Moja jest niemal taka sama.

- Mogłabym posłuchać?

Opowiadały sobie nawzajem, znajdowały coraz więcej podobieństw.

- Tylko pod jednym względem nasze losy się róż - nią - powiedziała Sassa.

- Ja nie dostrzegam żadnej różnicy - zdziwiła się Altea.

- Owszem, jest coś takiego. Otóż mną zajęli się fantastyczni rodzice mego taty, Ellen i Nataniel, i stworzyli mi cudowne nowe życie.

Altea zerknęła ukradkiem na Jaskariego, który właśnie je mijał w drodze do gondoli, po czym wróciła do rozmowy.

- Tak, masz rację - powiedziała, jakby nieobecna myślami. - Mnie się tak nie udało z moim ojczymem.

- Niestety - westchnęła Sassa z goryczą.

- Jesteś gotowa, Sassa? - zawołał Jori, który również wyszedł na dwór.

- Od półgodziny! - odkrzyknęła i wstała.

Trzy uwolnione kobiety stały się zmartwieniem Jaskariego. Jori widział wyraźnie, że mała Nellie chętnie by została z nimi w gondoli, ale tym razem wolał być sam z Sassą.

Altea natomiast absolutnie chciała pozostać w bazie...

Jej matka wciąż pogrążona była w głębokim śnie, co wszyscy przyjmowali z prawdziwą ulgą.

Strażnicy pomogli Joriemu umieścić zbiornik na miejscu.

- Popatrz tam z boku, Zinnabar - poprosił Algol.

- Zinnabar - rzekł Jori. - To imię bardzo mi przypomina innego Lemuryjczyka, którego poznaliśmy.

- Masz na myśli Hannagara - rzekł Zinnabar krótko. - Nic dziwnego, to mój brat.

- Och - rzekł Jori skrzepowany. - Jego śmierć musiała być dla ciebie podwójnie bolesna.

- Tak, bo był to mój brat, a po drugie dlatego, że w Górach Czarnych spadło na niego przekleństwo i sam stał się zły. A w końcu ta straszna śmierć, jaka go spotkała... Ale jeśli mam być szczery, to on od początku był dość denerwujący. Altea przyglądała im się zdumiona.

- Lemuryjczycy, Góry Czarne, nic z tego nie rozumiem. Czuję się jakoś obco.

- Później, Alteo - rzeki Jori. - Jaskari z pewnością wszystko ci wytłumaczy. Ta obietnica padła najwyraźniej na podatny grunt. Jaskari natomiast posłał Joriemu gniewne spojrzenie.

Jego kuzyn tymczasem pociągnął za sobą Sassę i uciekł do gondoli. W końcu Chile dostanie swoją porcję błogosławionego płynu. Przyznać trzeba, że nastąpiły niejaki opóźnienia.

Szybko wystartowali, widzieli machających im na pożegnanie przyjaciół, którzy jednak bardzo szybko zniknęli z pola widzenia.

- Wciąż jeszcze nie mogę przestać się dziwić, jaki piękny jest zewnętrzny świat - rzekł Jori w rozmarzeniu. - Czy myślisz, że ludzie rozumieją, co zostało im dane?

- Robią co mogą, by o tym nie pamiętać - odparła Sassa z goryczą. - Narkotyki, wojny, choroby, których z pewnością można by uniknąć, przynajmniej wielu z nich.

- Nie sądzę - stwierdził Jori. - Wciąż pojawiają się nowe choroby. Wiemy o tym z historii.

- Tak, to prawda. To jest tak samo jak w tej dawnej sentencji, że każde nowe prawo tworzy nowe przestępstwa.

- No właśnie. Trzeba się jednak zgodzić, że świat nie jest aż taki zły, jak się obawialiśmy. Ram też tak mówi. Ludzie sami podjęli wysiłki, by zwalczyć największe zagrożenia.

- Masz rację. Tylko że od czasu do czasu pojawiają się tacy, którzy przeciwstawiają się tym wysiłkom, jak ten w połowie stulecia, który zachwiał porządkiem świata, albo teraz ten cały Jack Loman. Pomyśl, że to właśnie my natrafiliśmy na jego ślad, wytropiliśmy kryjówkę tego ojca chrzestnego, i to w okolicy, którą wszyscy uważali za nadzwyczaj spokojną.

- On pewnie też tak myślał i dlatego ukrył się właśnie tutaj. Ale myśmy go wykurzyli. Szkoda tylko, że nie udało nam się go złapać.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, zdumieni, że potrafią ze sobą rozmawiać i nie klócić się.

Nagle Jori zaczął mówić. Najpierw nabrał powietrza, jakby chciał powiedzieć coś doniosłego, ale potem mówił normalnie. Siedział przy kierownicy, nie patrząc na dziewczynę.

- Sassa. Mała Sassa. Naprawdę nie wiem, co do ciebie czuję. Wiem tylko, że kiedy wydawało mi się, iż mógłbym cię stracić, wtedy, kiedy ten goryl cię złapał jako zakładniczkę, świat wokół mnie zawirował. Okay, okay, miałem inne dziewczyny, chociaż nie tak znowu dużo, to tylko przechwałki. Tamte dziewczyny to raczej dla eksperymentu, nie, nie, nie zrozum mnie źle, nie obrażaj się na mnie w imieniu wszystkich kobiet, to nie tak. To wszystko było eksperymentem również z ich strony, one też chciały się czegoś nauczyć, doświadczyć spraw seksu. Nic więcej. Żadnej z nich nie zraniłem, kiedy dziękowałem i znikalem, one wykorzystywały mnie w tym samym stopniu co ja je...

- Skończyłeś już z tym? - zapytała cicho.

Nie bardzo zrozumiał, o co chodzi.

- Co? Ach, tak, oczywiście. Do diabła, po co ja się wdaję w takie sprawy? Chciałem ci tylko powiedzieć, że ja, nieznośny, roztrzepany Jori, w końcu uświadomiłem sobie, że...

- Co takiego, Jori? - zapytała, kiedy wydawało się, że Jori zaciął się na dobre.

- Że ja... - Po czym wyrzucił z siebie jednym tchem: - Że jestem w tobie zakochany, moja ty wierna pomocnico, na którą krzyczałem i której wymyślałem

przez tyle lat!

Nie słyszał najmniejszego dźwięku z tylnej części gondoli.

- Zamknij w końcu te krany, chodź tutaj i usiądź obok mnie! - prawie wrzasnął. -

Nie mogę rozmawiać z kimś, kto siedzi za moimi plecami. A już zwłaszcza nie mogę w ten sposób czynić miłosnych wyznań, bo wszystko pójdzie na opak. Ach, już tu siedzisz? Tak szybko się przesiadłaś - powiedział nieoczekiwanie łagodnie. Zgasił silnik, gondola zawisła spokojnie w powietrzu niczym wypatrujący zdobyczy jastrząb, Jori zaś ostrożnie objął Sassę.

- Jesteś na mnie zła, Sassa?

Zwróciła ku niemu twarz.

- Jori, ja dorastałam z największym chyba na świecie kompleksem niższości...

- Kompleks niższości? Ty?

- No wiesz, ta moja poparzona twarz. Marco przywrócił mi normalny wygląd, ale uraz, wielka niepewność we mnie zostały. A teraz ty mnie zmuszasz...

- Nie, proszę.

Westchnęła, jakby była Pandorą, która ma wypuścić na świat wszelkie smutki i zmartwienia.

- Ty zawsze byłeś moim... zawsze cię podziwiałam, Jori...

Przytulił ją do siebie.

- Czy to coś tak strasznego, że mówisz to takim żalonym głosem?

- Tak - pisnęła. - Bo jeśli dłużej będziemy tak rozmawiać, to ja się rozplaczę!

Jestem taka szczęśliwa!

- Najdroższe dziecko - powiedział cicho. Sam jednak słyszał, że brzmi to za bardzo po ojcowsku, ujął więc jej twarz w dłonie i mocno pocałował.

Po chwili wypuścił ją z objęć, Sassa oddychała ciężko.

- Mój skarbie, sądzę, że nie można się kochać w gondoli, „na oczach” stalking moon, a poza tym dawno temu musiałem obiecać Ellen i Natanielowi, że będę strzegł twojej cnoty i uważał, żeby żaden ponury drań nie tknął cię przed ślubem.

Czy widzisz gdzieś jakiś kościół, Sassa?

Wybuchnęła szczęśliwym śmiechem.

- W tym kraju jest pełno kościołów. Są wielkie, wysokie, białe... i prawdopodobnie katolickie.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie, jeśli w ogóle są czynne. Religia na tym świecie nie ma się najlepiej.

- Religia nigdy nie umiera, ona tylko zmienia oblicze. Małutki człowiek musi w coś wierzyć, musi mieć palec do ssania na pociechę w tym wielkim wszechświecie.

Wylądujemy, zanim zrobi się późny wieczór. Patrz, tam widać światła jakiegoś miasta.

Znowu włączył silnik i zamierzał wykonać najpiękniejszy manewr Joriego.

- Eeech, czyś ty o czymś nie zapomniał, Jori?

- O czym?

- Myślę, że byłoby na miejscu, żebyś mnie... poprosił o rękę. Choćby zapytał, czy mam na to ochotę.

- Och, wybacz mi! A masz ochotę?

- Tak, do licha! - roześmiała się i zarzuciła mu ręce na szyję, więc piękny zwrot Joriego nie bardzo się udał.

W miasteczku był ksiądz i był kościół, w którym na dodatek odprawiano nocne nabożeństwo, więc młodzi musieli trochę poczekać.

- Jak to miło, że ludzie nadal chcą brać śluby kościelne - ucieszył się kapłan. - Bardzo dawno temu udzieliliśmy tu ostatniego ślubu.

- My jesteśmy trochę staroświeccy - wyjaśnił Jori z powagą.

Sassa ledwo dostrzegła rzeźbę na ołtarzu, księdza i mnóstwo świec w kościele, bo była taka przejęta tą uroczystą chwilą, że nie mogła powstrzymać łez. Jori...

Jori, o którym marzyła przez tyle lat. Jej idol, bohater, który zawsze w trudnych sytuacjach się nią zajmował i ratował z opresji. Miała pełną świadomość, że wtedy robił to bardzo niechętnie, co jednak nie zmniejszało jej cichego uwielbienia. I oto teraz stoi tu obok niego i bierze z nim najprawdziwszy ślub, będzie jego żoną!

Musiała się uszczypnąć, by nabrać pewności, że to nie jest sen.

Wrócili do bazy, gdy księżyc na jaśniejącym niebie zmienił się w blady sierp. Wykonali swoje zadanie i uczynili coś jeszcze, ale to już ich prywatna sprawa. Nowina została przyjęta z zainteresowaniem i radością. Algol wyjął butelkę szampana, czy raczej tego, co w Królestwie Światła nazywano szampanem, a co smakowało tak samo dobrze jak prawdziwy trunek.

Judy Loman ocknęła się z długiego snu i również wypita kieliszek, zastanawiając się przy tym, co to za marka, bo chyba nigdy przedtem takiego szampana nie próbowała.

- Znaleźliśmy taki w sklepie w miasteczku - wyjaśnił Zinnabar wymijająco i pozwolił jej spojrzeć na etykietę, gdzie widniał napis: „Księżna Theresa”. Szampan pochodził z winnicy Erlinga.

Wypili zdrowie młodej pary, po czym Zinnabar poinformował, że Marco wzywa wszystkich na spotkanie, tym razem w Norwegii.

Bardzo się z tego ucieszyli, powstał tylko problem, co zrobić z Judy, Alteą i Nellie. Były poszukiwane na całym świecie. Judy nie można umieścić w żadnym szpitalu, chociaż jej stan tego wymagał, poparzona skóra paprała się okropnie.

Nie potrafili rozstrzygnąć sprawy na własną rękę, postanowili zapytać Marca i Rama.

Nagle twarz Jaskariego rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Wzniósł jeszcze jeden toast za Sassę i Joriego, po czym zapytał:

- Czy wy zdajecie sobie sprawę z tego, co tak naprawdę oznacza wasze małżeństwo? Jaki to jest wielki dzień?

- Nie - odparli młodzi ze zdziwieniem.

- W końcu - oznajmił Jaskari. - W końcu połączyły się rodziny Ludzi Lodu i Czarnoksiężnika!

- Tak, rzeczywiście - wybąkał Jori. - Po trzystu... ech, zapomnijmy o latach!

- Kochana Sasso, witaj w naszej rodzinie - powiedział Jaskari ciepło.

Wszyscy spełnili toast.

Kiedy mieli już opuścić bazę, żeby polecieć na spotkanie z Markiem, znowu pojawiły się kłopoty.

Jaskari bardzo się niepokoił, że Judy ma taką wysoką gorączkę, a jej poparzenia wyglądają bardzo źle. Zaś to, że ona sama była potwornie marudna i niemal wrogo do wszystkich usposobiona, wcale nie poprawiało sytuacji, irytowało go bardziej, niż by chciał. Jaskari zrobił więc to, co w tej sytuacji mógł, po prostu Algol znieczulił ją na wiele godzin. On zresztą miał zostać w bazie, doglądać Judy i pilnować rakiety. Zinnabar udawał się z pozostałymi do Norwegii.

Nellie nie chciała wracać do domu, zresztą nie odważyliby się jej tam odesłać. Już sam fakt, że została przy życiu, był dla niej śmiertelnym zagrożeniem. Nie wiedzieli, na ile ludzie Lomana zdają sobie sprawę z tego, że dziewczyna się uratowała, czy stwierdzili jej brak, kiedy przeliczali wszystkich zatrudnionych w posiadłości. Ale jak ona sama powiedziała: Rodzice nie będą tolerować faktu, że „zawiodła”, tak bardzo nie nadawała się do pracy, iż odesłano ją do domu. Oni tego nie rozumieją, twierdziła Nellie. A poza tym mały barak z blachy falistej, stanowiący jej rodzinny dom, jest tak przepelniony wielopokoleniową rodziną, że z pewnością nie ma tam już dla niej miejsca.

- Czy nie mogłabym służyć u was? - prosiła, a broda jej się trzęsła.

Algol zdawał się przychylić do tej prośby, ale Jaskari był nieubłagany.

- Służyć u nas? Ależ drogie dziecko, my nie jesteśmy państwem zatrudniającym służbę!

Mina Nellie wskazywała, że dla niej oni wszyscy to prawdziwi wielcy państwo.

Stali więc bezradni, nie bardzo wiedząc, co począć. Z Alteą wcale nie było lepiej.

Ona za nic nie chciała się z nimi rozłączyć. I co z nią zrobić?

W końcu Sassa podjęła decyzję.

- Czy dopiero co nie mówiliście, że i tak Marco musi rozstrzygać o wszystkim? I czy nie byłoby dobrze, żeby on, Ram oraz Indra mogli porozmawiać z dziewczętami? Uzyskać od nich informacje? Przecież one tyle widziały!

- Masz rację - przyznał Jaskari. - Gdzie ja mam głowę? Zabieramy też naszą „The Sleeping Beauty”. To angielska nazwa Śpiącej Królowy. Ją trzeba przecież wyreperować.

Akurat w tej chwili nie dostrzegali żadnej piękności w czerwonej, zaropiałej i pokrytej paskudnymi strupami twarzy Judy, ale jeśli ktoś mógł jej pomóc, to właśnie Marco.

Jaskari szepnął Altei do ucha:

- I może nawet potrafi zrobić coś z twoim sercem...

- Nie bardzo wierzę - odparła ze smutkiem. - Wykonano mi już wszystkie możliwe operacje. Ale, jeśli będę ostrożna, mogę żyć jeszcze kilka lat. A potem...

- Nie spotkałaś jeszcze Marca - rzekł Jaskari spokojnie, objął dziewczynę ramieniem i przytulił do siebie.

Nie rób tego, prosiła Altea w duchu. Czy nie wiesz, jaki jesteś urodziwy i pociągający? A ja reaguję alergicznie na bliskość mężczyzny. Nie chciałabym cię odepchnąć... ale mogę się tak zachować mimo woli, spontanicznie. Nie wolno do tego dopuścić.

Głośno jednak powiedziała odrobinę kokieteryjnie:

- Uważaj, nie zadawaj się z dziewczyną, która przez ostatnie trzy lata była zamknięta i widywała tylko starych, obrzydliwych dziadów! To może się źle skończyć. Przepraszam - dodała pospiesznie. - Ale poważnie mówiąc, jeśli mogę być niedyskretna, to widzę w twoim spojrzeniu jakąś urazę, coś, co mi mówi, że całkiem niedawno zawiodłeś się na kobiecie?

W gruncie rzeczy powiedziała to wszystko - , żeby zdobyć jakieś informacje na temat prywatnego życia Jaskariego, ale on aż podskoczył na jej słowa.

- Czy to aż tak wyraźnie widać?

Uff, a to dopiero.

- Więc to prawda?

- No, może sprawa nie jest tak strasznie poważna, ale... Mam wyjątkowo ładną kuzynkę, która była bardzo nieszczęśliwa, ponieważ nikt jej nie chciał. Ja ją

pocałowałem, trochę z sympatii, trochę z podziwu, ale ona się na mnie obraziła. Głęboko mnie tym dotknęła, chociaż nie żywiłem dla niej żadnych głębszych uczuć.

- W takim razie nie powinieneś być jej całować. Jak ona ma na imię?

- Berengaria.

- Hmm - rzekła Altea z uznaniem. - Czy jest równie ładna jak to imię?

- Ładniejsza.

Umilkli. Jaskari uznał, że najlepiej będzie zmienić temat.

- Jak spędzałaś czas w swoim więzieniu?

Altea roześmiała się bez radości.

- Pisałam książkę.

- Naprawdę? To bardzo interesujące! O czym to było?

- E, takie tam głupstwa. Przeważnie o strasznym życiu mężczyzn w przebraniu.

Altei teraz ten temat nie interesował, więc pospiesznie znalazła inny.

- Chętnie zobaczyłabym z bliska jezioro, jest takie ładne o brzasku. Czy wolno mi zrobić małą wycieczkę?

- Pójdę z tobą - postanowił Jaskari, stwierdził bowiem, że bardzo dobrze się czuje w towarzystwie Altei. Była łagodna, miła i bardzo dziewczęca, a poza tym nie kryła, że go podziwiała. To był plaster na ranę, jaką wciąż miał po gniewnej reakcji Berengarii.

Zeszli nad jezioro i spacerowali po miękkiej nadbrzeżnej trawie. Panowała tu wielka cisza, ich głosy niesły się nad wodą. Słońce, którego jeszcze nie było widać, zabarwiało na różowo szczyty gór.

Jaskari znajdował się w bardzo podniosłym nastroju. Jeszcze nie przywykł do tej otwartej, swobodnej urody zewnętrznego świata, do powietrza, które tutaj, w górach, było takie świeże.

Z westchnieniem podjął znowu w rozmowie poprzedni wątek.

- Myślę, że nie byłoby takie głupie, gdyby ktoś z nas przeczytał twój rękopis.

Moglibyśmy się sporo dowiedzieć o Lomanie i jego ludziach. Tylko że pewnie nie

zabrałaś go stamtąd?

- Zawsze leży w mojej torebce. A torebkę zabrałam z hacjendy.

Altea przypomniała sobie dokładnie, co pisała w swojej książce, i zadrżała.

- Nie, lepiej nie. To nie jest przeznaczone dla męskich oczu.

- Są przecież z nami i dziewczęta. Sassa jest chyba za młoda, a poza tym zbyt egzaltowana i przejęta swoją rolą świeżo upieczonej małżonki, ale jest też Indra. Jeszcze jej nie znasz, myślę jednak, że ją polubisz. A ona potrafi być dyskretna. Mam nadzieję, pomyślał przy tym spłoszony. Indra bywa przecież czasami całkowicie nieobliczalna.

Zaszli już tak daleko, że nikt z bazy nie mógł ich widzieć, i usiedli na porośniętym trawą wysokim brzegu jeziora. Ich stopy prawie dotykały powierzchni wody.

- Bardzo się cieszyłam, patrząc na szczęście Sassy i Joriego - uśmiechnęła się Altea. - Sama poczułam się wtedy szczęśliwa.

- Ja także. Zasłużyli sobie na to oboje. Musieli stoczyć wiele trudnych bitew.

- Przeciwko sobie nawzajem?

- Nie, nie, przeciw złym mocom.

- Ja wiem wszystko na ten temat - powiedziała Altea, a Jaskari pomyślał: O, nie, ty walczysz tylko ze złem tkwiącym w ludziach. Nie masz pojęcia o „tamtej stronie”, o prawdziwych sługach zła. O wszystkich tych bezimiennych potworach, które my poznaliśmy.

Oboje lekko drżeli. Czy to ten ostry górski wiatr docierał aż do doliny, czy też może...

Jaskari podskoczył, słysząc jej następne słowa:

- Ale o miłości nie wiem prawie nic. W każdym razie o takiej miłości jak Sassy i Joriego. Bo do tego trzeba by się w kimś zakochać, a mój ojczym pozbawił mnie towarzystwa rówieśników. Od dawna jednak tęskniłam za seksem. Potrzebujemy tego przecież wszyscy, nawet jeśli żyjemy w izolacji, prawda?

Jaskari przełknął ślinę.

- Może właśnie wtedy jeszcze bardziej. A czy... wolna miłość jest tutaj popularna?

Jaskari miał na myśli świat zewnętrzny, ona jednak sądziła, że mówi o tym jej małym zakątku Chile.

- Oczywiście - odparła. - Ludzie teraz żenią się rzadko, w każdym razie jest to coś nadzwyczajnego. Zresztą, jeśli chodzi o mnie, to wiesz przecież, że moje serce nie doczeka pięćdziesiątych urodzin. Z pewnością nie doczeka też czterdziestych ani nawet trzydziestych, skoro już o tym mówimy. Zaakceptowałam to... po wielu bezsensownych wybuchach gniewu i napadach płaczu. Może to zabrzmieć okropnie, ale najsmutniejsze wydaje mi się chyba to, że nigdy nie przeżyję prawdziwej erotycznej przygody z mężczyzną. Wiem, że moje serce byłoby w stanie temu poddać, znoszę przecież inne poważne napięcia. Na przykład to, co stało się ostatnio, szokujący atak ze strony ojczyzny, potem ucieczka i pościg za mną na pustkowiach... To było bardzo trudne, a jednak...

- Świetnie cię rozumiem. I muszę powiedzieć, że okazałaś się niezwykle silna.

- No właśnie. Więc stać by mnie było i na to. Mam straszną ochotę pójść z kimś do łóżka, wyłącznie ze względu na seks, bez żadnych zobowiązań, po prostu tak, jak to teraz ludzie robią wszędzie na świecie. To się nazywa „one nig't's stand”, prawda?

- Możliwe - przytaknął Jaskari, który znał tylko niepisane prawa Królestwa Światła. Był bardzo wzburzony jej wyznaniem, i psychicznie, i fizycznie. Może powinienem zrobić dobry uczynek, pomyślał, choć nie czuł się wcale taki szlachetny. Altea rozpałała w nim iskrę, przyjemne pożądanie, jakiego nie odczuwał od bardzo dawna.

- Zauważyłam, że bardzo tego potrzebuję - szepnęła jakoś bardzo żałośnie.

- Ja także - wyznał Jaskari z sercem w gardle. - Nie mógłbym powiedzieć, że jestem pod tym względem specjalnie rozpieszczany przez los. U nas panują znacznie bardziej surowe obyczaje. Ja byłem przez wiele lat związany z dziewczyną, która nawet rozmawiać nie chciała na ten temat. Później próbowałem zachowywać się bardziej swobodnie, ale nie specjalnie mi się udawało. Nie sądzę więc, że czuję się niczym miłosierny Samarytanin, bo to nieprawda. I sam mam

ochotę...

- A co to właściwie znaczy „u nas”? Mam na myśli Zinnabara i Algola...

- Później o tym porozmawiamy. Chodź, pójdziemy tam, między te karłowate drzewa. Musimy mieć trochę spokoju. Jeśli pragniesz tego samego, co ja.

Miał pewność, że dojrzał do erotycznych przeżyć. Altea to bardzo pociągająca dziewczyna, ma fantastyczne ciało, choć więc niczego szczególnego do niej nie czuł... Jaskari nie należał do młodych ludzi interesujących się wyglądem dziewcząt... nno, może trochę, Altea reprezentowała dość pospolity typ urody, ale jest bardzo miła, a to najważniejsze.

- Tak, bardzo dziękuję - odpowiedziała szczerze na jego pytanie. - Chciałabym tylko, żebyś pamiętał, że mojego ojczyzna potraktowałam bardzo brutalnie.

- Mam nadzieję, że nie porównujesz mnie z nim?

- Nie, nie, ale pamięć tamtego szoku jeszcze we mnie jest. Jakieś gwałtowniejsze zachowanie z twojej strony może sprawić, że zareaguję spontanicznie.

- Będę delikatny niczym letni wietrzyk.

- No, nie przesadzaj!

Roześmiali się dosyć niepewnie, dla obojga była to sytuacja wyjątkowa. Altea, która nie miała jeszcze w tej materii żadnych doświadczeń i Jaskari, który je wprawdzie posiadał, ale naprawdę nic imponującego. I oto ma ją teraz wtajemniczać w misterium erotyki, jak się to pięknie nazywa. Czuł się niezupełnie dojrzały do takiego zadania. Pojawiło się ono trochę zbyt nagle. Z drugiej jednak strony nie dysponują przecież nieograniczonym czasem, zwłaszcza ona. Jakie to tragiczne!

Położyli się w trawie. Całował ją delikatnie, kiedy oboje dość niezdarnie próbowali się rozebrać. Dziewczyna dygotała, trudno powiedzieć, czy z przejęcia, czy ze strachu.

Nie było czasu na finezje, w każdej chwili mogli zostać zawołani z powrotem.

Jaskari był jednak taki dobry i czuły, jak tylko potrafił, choć przecież nie łączyła ich miłość. Zaledwie sympatia. Ale i na sympatii można wiele zbudować.

Altea starała się być uległa, cofnęła się tylko trochę, kiedy poczuła ból. Nie mamy czasu, myślał nieustannie Jaskari, prześladowany myślą, że ktoś może wyjść z bazy, żeby ich szukać. Bardzo to było trudne, żywił jednak nadzieję, że jego lęk nie popsuje wszystkiego.

Na szczęście poszło dobrze. No ale... po raz pierwszy w życiu robił to bez żadnego uczuciowego zaangażowania. Mimo to Altea podziękowała mu ciepło, pocałowała go czule za uchem.

W chwilę później wrócili do bazy.

CZĘŚĆ DRUGA

ODLICZANIE

20

Hiszpania, wtorkowy ranek w maju

Pedro de Castillo, znany jako największy wróg mafii i jej nieustające zagrożenie, mozolnie wstawał z łóżka. Obrażenia, jakie odniósł w wyniku ostatniego zamachu, sprawiły, że miał sztywną nogę i cierpiał na bóle kręgosłupa. Musiał zażywać silnie działające lekarstwa, by utrzymać się w pozycji stojącej.

Ale teraz chciał wziąć udział w spotkaniu, którego domagało się od niego czworo najznakomitszych przywódców opozycji i bojowników przeciwko kwitnącej wciąż działalności mafijnej.

Podobno mają jakieś sensacyjne wiadomości do przekazania. W końcu znalazły się środki, dzięki którym będzie można zdławić korupcję i panowanie mafii nad światem.

Środki? Jakie środki? zastanawiał się.

Pieniądze? Nie na wiele ich wystarczy.

Jego zamek był pilnie strzeżony przez zaufanych ludzi. Chciał jednego z nich zabrać w podróż, nie był teraz w stanie wyjeżdżać sam.

Powiedzieli, że spotkanie odbędzie się w norweskich górach. Co on wie o Norwegii? Musiał przyznać, że niewiele. Ktoś ma go spotkać w Oslo, a potem spędzi noc w hotelu. Następnego dnia helikopter zawiezie go na miejsce spotkania. Sprawy są pod kontrolą, wszystko odbędzie się w największej tajemnicy.

Pedro de Castillo się cieszył. Leżenie w łóżku stało się już potwornie nudne. A jeśli mają dopaść tego człowieka, który ukrywa się przed nimi od tylu lat, to...

Zabierze ze sobą Smitha. On się zna na pielęgnowaniu chorych, jest silny, był przez wiele lat jego najlepszym ochroniarzem.

Jak to dobrze, że znowu wraca do czynnego życia.

Wtorek po południu

Jack Loman odłożył słuchawkę telefonu. Na jego twarzy malowała się złośliwa radość.

- A więc de Castillo opuścił swoją twierdzę - szepnął do siebie. - I ma się spotkać z innymi. Teraz ich dostanę. Znowu się zbierają, tym razem w jakimś innym miejscu, nie bardzo wiemy, gdzie, ale moi ludzie niebawem to wykryją. I wyłapiemy wszystkich: Huntera, Carpentier, Bogote, Wonga... i de Castillo!

Fantastycznie!

Po chwili twarz mu pociemniała.

No a co z trojgiem obcych? Oni też wybierają się w to samo miejsce. To niedobrze, bo podejrzewam, że oni mają jakąś tajną broń. W przeciwnym razie nie doszłoby do tego, że ośmiu moich najtwardszych ludzi tak absolutnie chybiło.

Wszyscy zostali zamordowani w brutalny sposób. Ale ja złapię tych obcych kuglarzy, będę ich torturował, dręczył, będą umierać w mękach! Przeklęci mordercy! Takich powinno się zetrzeć z powierzchni ziemi!

Ucieszył go natomiast bardzo inny raport. Nowy przewrót, tym razem w Afryce.

Przeprowadzili to jego ludzie i, jak się domyślał Jack Loman, na jego rachunek i na jego chwałę. Bo to on stał za wydarzeniami, on, który wyjdzie w końcu z cienia i przejmie władzę, niech no tylko dostatecznie wiele krajów znajdzie się pod jego rozkazami. Jeszcze tylko kilka większych państw i Loman zostanie panem świata. Trzeba się jednak spieszyć. Jeden region po drugim jest spryskiwany tymi jakimiś drożdżami, czy czymś, co powoduje niebywały rozkwit wszystkiego, co żyje, i co niszczy w ludziach zło. Nie miałoby to wielkiego znaczenia, gdyby chodziło tylko o zwyczajnych śmiertelników, ale ci, którzy będą w jego imieniu zarządzać państwami, muszą zachować swoje dawne wartości. Swoją siłę i zdolność posługiwania się terrorem.

Westchnął z ulgą. Jak to dobrze być w kraju, w którym maska nie jest potrzebna.

Valdres, Norwegia, wtorek wieczór

Wiatr szumiał w opuszczonych szalaszach na górskim pastwisku.

Marco, Indra i Ram już przybyli do pewnego hotelu w Valdres, w Norwegii. Musieli znaleźć jakiś hotel, ponieważ najlepiej, żeby wszyscy uczestnicy spotkania mieszkali w jednym miejscu. Wybrano stary, czcigodny Nøsen, położony daleko od ludzkich siedzib, w okolicy związanej w jakimś sensie z dziejami Ludzi Lodu, bowiem Ulvhedin, w swoim czasie, urodził się w dolinie nad brzegami Storefjorden.

W drugiej połowie dwudziestego wieku hotel przez wiele lat leżał w ruinie. Drewno zbutwiało, wyposażenie zniszczyli wandal, różni włóczędzy i młodzież. Aż trudno uwierzyć, ile szkód tacy mogą narobić. Nie zostawili dosłownie nic, ani kawałka całej tapety, ani jednej płytki na ścianach, ani jednej nie potłuczonej szyby, ani jednego całego mebla. Poza tym wszystko, co się jeszcze nadawało do użytku, zostało rozkradzione i wywiezione przez zachłannych dorosłych.

Później jednak hotel odbudowała pełna entuzjazmu para, choć musieli na to zdobyć milionowe sumy i sami włożyć mnóstwo ciężkiej pracy, by hotel wyglądał niemal dokładnie tak samo, jak przed zniszczeniem.

W budynkach znowu zagościło życie, ludzie pojawili się w okolicznych górach i nad fiordem pod baśniowymi górami Hemsedal.

Ale lata mijały, z czasem budynki znowu stały się zbyt stare i trzeba było wznosić nowe. W ciągu dwudziestego pierwszego stulecia hotel był, a to odbudowywany, a to budowany od nowa. Tak więc teraz, około roku 2080, znowu był w użyciu, bo Norwegowie chętnie odwiedzali górskie tereny w swojej pięknej ojczyźnie. Znowu chętnie uciekano do mniej zniszczonych okolic, ponieważ wielkie miasta prawie się nie nadawały do życia, takie były przeludnione, skażone i zanieczyszczone. Ludzie wyjeżdżali więc w dziewicze góry, a im więcej ich tu przybywało, tym więcej powodowali zniszczeń.

Innym wandalą w górskich krainach jest brzoza. Kozy i owce, które zawsze trzymały ją w szachu, teraz żyły jedynie w parkach wokół muzeów ludowych, górskie pastwiska porzucono, także i w Valdres, które przez bardzo długi czas stanowiło ich ostatni skansen. Lasy brzozowe pieniały się niewiarygodnie szybko i unicestwiały najpiękniejsze widoki.

Długie nogi łosi nie zostawiały już wiosną śladów, umilkły żalosne skargi siewek na halach, zniknęły żurawie. Lisy i rysie nie przemykały już w poszukiwaniu zdobyczy; wszystkie zwierzęta, jakie jeszcze zostały, znalazły się, uratowane, w Królestwie Światła.

Indra i Ram błędzili po okolicy, ona z dumą pokazywała mu swoją Norwegię.

- Wielka szkoda, że to nie jesień - powiedziała, wskazując na góry i lasy szerokim gestem. - Powinieneś widzieć Norwegię jesienią. Żłociste brzozy, czerwone dywany... o, Boże, jak się to nazywa, no nic, w każdym razie mnóstwo kolorów w najrozmaitszych odcieniach czerwieni, żółci, złota i brązu. Ci, którzy twierdzą, że kamień jest szary i koniec, po prostu w ogóle nie mają wyczucia barwy.

Opowiadała rozgorączkowana, aż się zdyszała. Ram uśmiechnął się.

- Wybraliśmy wiosnę, ponieważ o tej porze łatwiej pracować. Mamy przed sobą całe lato, to dla nas bardzo ważne. Ale widzę przecież, że w górach zalega jeszcze głęboki śnieg, i muszę powiedzieć, że do takiego zimnego wiatru w Królestwie Światła nie przywykłem.

- Jesteś za bardzo rozpieszczony - zachichotała Indra, choć sama uważała, że wiatr trochę zbyt mocno szarpie jej włosy i ziębi, i tak już sine, uszy. - Ale masz rację, wracajmy. Mój sportowy duch też widocznie ucierpiał w dekadentkich wygodach Królestwa Światła.

- Ja myślę, że twój sportowy duch także w zewnętrznym świecie nie był specjalnie imponujący.

- Oj, chyba masz rację.

Ciepły hotel wabił. Pospiesznie wrócili pod dach.

Tak, w Valdres była dopiero wczesna wiosna, sezon turystyczny jeszcze się nie

zaczął. Domki wokół hotelu stały puste, idealne miejsce na potajemne spotkanie wielu osób. Marco wynajął cały hotel. Gospodarze musieli uroczyście obiecać, że nikomu nawet słowa nie powiedzą, iż w ogóle mają jakichś gości. Żadnych flag ani proporców szarpanych górskim wiatrem.

Przyjechali już uczeni oraz inspektor policji, a także czterej główni obrońcy środowiska. Zrobili to z wielką chęcią, wszyscy bowiem z utęsknieniem czekali na ponowne spotkanie z tymi tak interesującymi przybyszami nie wiadomo skąd. Teraz oczekiwali jeszcze jednego gościa, najstarszego wroga mafii, Pedro de Castillo. Ostatnio okopał się w swoim zamku w Hiszpanii w obawie, że jak wielu jego współpracowników i kolegów w służbie dobra zostanie bezlitośnie zlikwidowany. Rany po ostatnim zamachu już się prawie wygoiły i czterej najważniejsi bojownicy zdołali go przekonać, by przyjechał na spotkanie do Norwegii. Zapewniali go, że teraz dzieją się wielkie rzeczy i że otrzymali ogromną, nieocenioną pomoc.

Oczekiwano jego przybycia nazajutrz. Rzecz jasna, wszystko utrzymywano w jak najściślejszej tajemnicy. Do Nøsen miał go przywieźć helikopter.

Wszyscy oczekujący zebrali się na porannym spotkaniu. Odbyło się bardzo serdeczne powitanie, wszyscy przedstawili swoje raporty. W ostatnim czasie wykonano ważną pracę na wszystkich frontach.

- Ale, książę Marco - zaczęła Louise Carpentier; wszyscy wiedzieli, że Marco jest księciem, nie wiedzieli tylko jakiego kraju, majątek by dali za to, żeby się dowiedzieć. - Zastanawialiśmy się wszyscy nad tym, w jaki sposób i kto nas uratował podczas napadów. Czy możemy otrzymać jakieś wyjaśnienia?

Marco i jego przyjaciele uśmiechali się.

- Umiemy takie rzeczy organizować - powiedział książę. - Wprawdzie powinienem był wydać waszym wybawcom surowy zakaz zbyt brutalnego wkraczania... ale, szczerze mówiąc, niewiele mam im do rozkazywania.

Czworo obrońców środowiska, pięciu uczonych, dwie sekretarki, wszyscy wyglądali na bardzo zdumionych. Indra i Ram natomiast uśmiechali się

tajemniczo.

- Moja droga przyjaciółko, Louise - zaczął Marco. - Reprezentantko rasy białej, której żywiołem jest ogień. Twój samochód był spychany w stronę przepaści przez znacznie większy wóz, prawda? Po czym wóz napastnika nagle zaczął się palić i spadł w przepaść.

Louise Carpentier potakiwała.

- No to przywitaj się z tym, kto uratował ci życie - uśmiechnął się Marco i wykonał nieznaczny ruch ręką.

Pojawiła się przed nimi niezwykła postać, wyłoniła się z nicości, miała na sobie płomiennie czerwony płaszcz z kapturem, spod którego widać było jedynie rozjarzone oczy oraz lekko ironicznie uśmiechnięte wargi.

Ludzie odskoczyli z jękiem przerażenia.

- To jest Ogień, jeden z żywiołów Shiry z Ludzi Lodu.

Ogień skłonił głowę przed Louise Carpentier, wszyscy mieli wrażenie, że płomień buchnął spod kaptura. Długo nikt nie był w stanie powiedzieć ani słowa. Marco wykorzystał więc milczenie i mówił dalej:

- Mój wielce szanowny przyjacielu Wong. Ty miałeś pewne problemy na lotnisku. Ale ów snajper, który stał na tarasie z karabinem wycelowanym w ciebie, popadł w jeszcze większe kłopoty. Spotkał mianowicie Powietrze, żywioł, który wepchnął go w diabelski młyn. Niezbyt to było estetyczne, kiedy napastnik upadł tuż przed tobą.

Teraz znowu z niczego wyłoniła się przerażająca postać, sina i przezroczysta, ledwo widoczna. Tym razem to Wong pochylił głowę przed swoim wybawcą, a wszyscy przyglądali się temu głęboko poruszeni.

- No a ty, mój przyjacielu, Fourwellu Hunterze... jakaś kobieta chciała cię zastrzelić, prawda? Została jednak wciągnięta w ziemię i zniknęła. Oto masz powód.

Pojawił się ziemistobrunatny duch i pokłonił Indianinowi, który chyba jako jedyny z zebranych przyjął zjawisko całkiem naturalnie. Nie wyglądał na specjalnie

zaskoczonego pojawieniem się ducha.

- Natomiast nasz przyjaciel, Simon Bogote, uniknął strasznej śmierci na jeziorze.

Muszę powiedzieć, że duch Wody ruszył do dzieła bez zastanowienia, może nawet zbyt brutalnie, ale, jak powiedziałem, ja nie decyduję o ich zachowaniu.

Mogę jedynie z wdzięcznością przyjmować ich dobrą wolę.

Simon Bogote z wielką rewerencją skłonił się zielononiebieskiemu, mieniającemu się duchowi, który nieoczekiwanie przed nim stanął.

Po chwili duchy czterech żywiołów wycofały się, ale Marco jeszcze nie skończył.

- Wszyscy pozostali z państwa, uczeni, inspektor, sekretarki, zastanawiacie się z pewnością, jak doszło do tego, że akurat wy uniknęliście ataków na wasze życie, prawda?

Wciąż jeszcze żaden z ludzi nie był w stanie powiedzieć ani słowa, byli po prostu jak sparaliżowani ze zdziwienia. Uczeni kiwali jedynie głowami, bladzi, z wytrzeszczonymi oczyma.

Pojawił się jeszcze jeden duch powietrza.

- To są siostry - wyjaśnił Marco. - Pani Woda i pani Powietrze.

Po chwili zaroilo się od różnorodnych istot, ludzie z trudem je rozróżniali.

- Przedtem spotkali państwo duchy Ludzi Lodu - objaśnił Marco. - Teraz przybywają duchy Czarnoksiężnika. To one zatrzymały w powietrzu kule, którymi chciano was poczęstować w hali dworca lotniczego, a potem rozsypały te kule po podłodze. Następnie rzuciły się w pościg za tymi czterema dramami, którzy do was strzelali. Ten, który próbował uciekać ruchomymi schodami, dostał się w ręce wybitnego czarownika imieniem Nauczyciel. Ten, który wszedł do windy i zaginął bez śladu, odbył wyjątkowo długą podróż w głąb ziemi. To nasz nieoceniony Nidhogg, który wie wszystko o wnętrzu ziemi, tam go wyekspediował. Jeden z napastników udusił się kulą z czekolady. Otóż to jeden z naszych przyjaciół, zwany Duchem Utraconych Nadziei, unicestwił wszelkie jego plany na przyszłość. I w końcu, w przypiływie dość czarnego humoru, duch Fal, kuzyn pani Wody, podjął akcję przeciwko czwartemu łotrowi. Dokonał tego w toalecie dla panów. Nie

będę głośno mówił, co myślę o takiej karze...

Wszystkie duchy stanęły przed zebranymi i kłaniały się z błyskiem ironii w oczach.

Przecież one są niebezpieczne, pomyślała Louise Carpentier nie bez racji.

Oczywiście, powinniśmy być im wdzięczni, że stanęły po naszej stronie, ale trudno zaprzeczyć, że moja wdzięczność jest pomieszana z odrobiną lęku i nawet niechęci.

- Chwileczkę, zaczekajcie! - zawołał jeden z uczonych. - Zastanawialiśmy się wiele nad tym, kim jesteście wy, których poznaliśmy na początku, a szczególnie nasz przyjaciel Ram. Domyślaliśmy się niezmiernie dziwnego pochodzenia, ale najwyraźniej macie liczniejsze kontakty ze światem paranormalnym, niż przypuszczaliśmy. Wybaczcie nam, ale teraz to już naprawdę niczego nie rozumiemy.

- Jeśli zechcecie poczekać jeszcze trochę, to poznacie jeszcze wielu z nas i zrozumiecie więcej. Nie chcę niczego przesądzać, myślę jednak, że wkrótce otrzymacie odpowiedź przynajmniej na część wątpliwości.

Fourwell Hunter rzekł z powagą:

- A tymczasem chcielibyśmy wyrazić nasz prawdziwy szacunek dla was i waszych... - spojrzał na duchy i uznał, że słowo „współpracowników” byłoby niezbyt odpowiednie. Powiedział więc: - ...waszych obrońców.

On i wielu innych zdziwiło bardzo określenie „duchy pięciu żywiołów Shiry”. Kim jest ów piąty? Nie mieli jednak odwagi zapytać.

Ram, który dotychczas pozwalał mówić Marcowi, rzekł z uśmiechem:

- Od tej chwili każde z was ma swego ducha, że tak powiem, opiekuńczego.

Louise, ty masz Ogień, Wang dostał Powietrze, Fourwell Ziemię, a u twego boku, Simon, zawsze stać będzie Woda. W każdym razie zawsze, kiedy zajdzie potrzeba. One nigdy nie będą się wtrącać do waszego życia prywatnego, pojawiają się natomiast w momencie, kiedy zauważą niebezpieczeństwo.

- No to pocieszające - bąknęła Louise, która wciąż zachowywała pewną rezerwę. Nie taka prosta to sprawa, żeby tacy realiści jak oni zaakceptowali to, co właśnie

usłyszeli. Jednak akcje ratunkowe były wystarczająco spektakularne. Nikt z zebranych nie wierzył w żadne magiczne sztuczki. Magicy nie miewają aż takich zdolności.

Trzeba więc było skłonić głowę i pogodzić się z faktem, że mają oto do czynienia z duchami. Nad tym zaś, kim mogą być Ram i księżę Marco, ich umysły nie były w stanie się nadal zastanawiać.

Uczeni, policjant i sekretarki, wszyscy otrzymali swoje duchy opiekuńcze. Jedna z sekretarek uznała, że mogliby jej przydzielić kogoś choć trochę ładniejszego niż Duch Utraconych Nadziei, ten jednak skrzywił się do niej w takim przyjaznym uśmiechu, że poczuła się niemal bezpieczna.

- Przyleciały dwie gondole - oznajmiła Indra.

To Nataniel i Ellen, przybyli aż z Australii, gdzie zresztą wypełnili już swoje zadanie. Za jednym zamachem spryskali też Nową Zelandię oraz Tasmanię i teraz wszystko kwitło tam bujnie, a dusze ludzkie przepełniały szczęście i harmonia.

Wypami na Oceanie Spokojnym miał się zająć kto inny.

Druga gondola przywiozła Kiro i Sol, pracujących w Afryce. Będą tam musieli jeszcze wrócić. To ogromny kontynent i bardzo zniszczony.

Sol witała się radośnie ze wszystkimi, a oniemiałym ludziom oznajmiła, że ona sama, jeśli chce, też jest duchem. Tymczasem jednak rzadko to robi, bo woli przebywać ze swoim mężem, Kiro. Ten zaś okazał się jeszcze jednym z tych dziwnych, bardzo wysokich stworzeń, co Ram. Kompletnie szaleństwo!

Zaraz po nich przyleciały dwie gondole z Ameryki Południowej i wylądowały na wysmaganych wiatrem pustkowiach Vestfjell. Z tej gondoli wysiadło wielu nieznajomych. Ludzie przyglądali się z podziwem, jak niesiono na noszach pewną nieprzytomną, bardzo poparzoną kobietę, na którą jednak teraz nikt nie zwracał uwagi, bo wszyscy wykrzykiwali radosne gratulacje i życzenia dla młodej pary, podobno właśnie niedawno poślubionej.

Ci dwoje zresztą wyglądali bardzo po ludzku, a dziewczyna najwyraźniej była wnuczką Nataniela i Ellen z Australii, wszyscy witali się i obejmowali, uczeni zaś

czuli się trochę odsunięci na boczny tor.

Cała ceremonia zaczęła się od początku, gdy przylecieli rodzice pana młodego, Uriel i Taran, takie mieli imiona, byli odpowiedzialni za Azję Południowo - Wschodnią. Wyglądało na to, że najbardziej wzrusza wszystkich fakt, iż dzięki temu małżeństwu doszło do połączenia dwóch rodzin: rodu Ludzi Lodu i rodu Czarnoksiężnika.

Ram zaczął liczyć na palcach, kogo jeszcze brak: Dolg i Lilja, Armas i Móri, Berengaria i Goram. Niektórzy z nich mieli jakieś problemy po drodze, inni byli zbyt zajęci.

- Zaczynamy bez nich - postanowił Ram. - Chociaż, z drugiej strony, nie możemy rozpocząć poważnych prac do jutra, kiedy to przybędzie señor de Castillo. To przecież wyjątkowy człowiek, nikt nie zliczy, ilu mafiosów pozbawił życia.

- Jest najlepszy na świecie, jeśli o to chodzi - rzekł któryś z uczonych, a inni przytakiwali. - I naprawdę jest tym źródłem informacji, którego wy potrzebujecie. Nic dziwnego, że był z taką wściekłością ścigany przez skorumpowanych urzędników, a przede wszystkim przez ich tajemniczego bossa, którego nazwisko właśnie poznaliśmy.

- Jego dotychczasowe nazwisko - sprostował Jaskari. Ponieważ on znowu zszedł do podziemia pod innym nazwiskiem. Zacznijmy jednak to, co możemy zrobić przed przyjazdem señora de Castillo. Marco, czy nie zechciałbyś rzucić okiem na dwie panie, które z nami przyjechały, matkę i córkę? One bardzo potrzebują twojej pomocy.

21

Oslo, wtorek wieczór

Kiedy Smith i de Castillo przybyli późnym wieczorem do Oslo, padał ulewny deszcz. Lotnisko już dawno zostało przeniesione z katastrofalnego Gardermoen, które było zagrożeniem dla wszystkiego pod nazwą środowisko, w mniej mgliste

okolice. Ale deszcze też mogły swoje zrobić. Były zjawiskiem typowym dla norweskiej wiosny, padało więc tak samo w Gardermoen, jak i na nowym lotnisku, i w ogóle w całej południowej Norwegii.

Smith i de Castillo zostali przywitani przez dwóch sympatycznych gentlemenów, którzy pospiesznie wsadzili gości do samochodu - tyleż ze względu na deszcz, co z obawy, by ktoś niepowołany nie zauważył ich obecności - i odwieźli do pobliskiego hotelu w nadziei, że wszystko odbyło się w najgłębszej tajemnicy.

Ponieważ Hiszpanie byli zmęczeni po podróży, natychmiast poszli spać. Jutro też czeka ich trudny dzień. I bardzo interesujący! O czym to chcą z nimi rozmawiać najważniejsi obrońcy środowiska?

Zasnęli w bezpiecznym przeświadczeniu, że panowie, którzy witali ich na lotnisku, teraz czuwają nad ich spokojem. Obiecali, że tak będzie, a Castillo zauważył, że są uzbrojeni.

To, niestety, konieczne!

Nøsen, wtorek wieczór

Jaskari stał przy oknie sali jadalnej i patrzył na imponujące sylwetki szczytów Hemsedal, rysujących się wyraźnie na tle zimnego, niebieskiego wiosennego nieba.

Bywał już wcześniej z dziewczynami. Bywał też zakochany. Szczerze i gorąco kochał Elenę przez wiele lat, dopóki uczucie nie wygasło samo z siebie. Potem długo szukał kogoś, komu mógłby oddać serce, wszędzie jednak napotykał jedynie na obojętność. Szukał też przypadkowych... jak to Altea określiła? „one night's stand”. Może zresztą ona mówiła o czym innym, nie pamiętał.

Tym razem jednak odczuwał bolesny... smutek? Ona jest taka chora. Śmiertelnie chora. Ale jaka łagodna, dobra, a przy tym taka młodzieńczo świeża, taka niezakłamana, chociaż pochodzi z okropnego środowiska.

Bardzo chciałby coś dla niej zrobić, powiedzieć jej, że jest ktoś, kto...

Nie, tego mu robić nie wolno, przecież prawie wcale się nie znają. Mieli po prostu potrzebę być razem, chociaż trwało to tak strasznie krótko. Ale oboje czuli się bardzo samotni i spragnieni fizycznej bliskości, żeby to ładnie określić. Istniały bowiem i inne przyczyny ich spotkania nad południowoamerykańskim jeziorem. Czy może to z jego strony współczucie? Ale z pewnością także sympatia i pewien...

Oj, Marco wzywa.

Marco zabrał Jaskariego i tego z grona uczonych, który zajmował się ziemskimi chorobami, do dużego pomieszczenia na piętrze, gdzie przeniesiono także nieprzytomną wciąż Judy. Długo szli wąskimi, krętymi korytarzami.

- Wolałbym, żeby podczas badania chora była przytomna - powiedział Marco. - Zdołasz ją wybudzić?

- Nie wiem - odparł Jaskari. - Chyba nie trzeba by długo czekać, a sama zacznie odzyskiwać przytomność.

- W takim razie najpierw obejrzymy dziewczynę. To jej córka, prawda?

Jaskari potwierdził z największą obojętnością. On i Altea zgodnie postanowili zachowywać się tak, jakby się nic nie stało na brzegu andyjskiego jeziora, po drugiej stronie globu.

Mała Nellie pilnowała swojej byłej chlebodawczyni, Judy, ale wyglądała na przerażoną. Czyżby jakieś złe doświadczenia?

Altea została położona na łóżku. Przez okno widziała białe chmury gnane wiatrem ponad Skogshorn, najbardziej na zachód wysuniętym szczytem gór Hemsedal.

Koncentrowała się na tym widoku, bo naprawdę nie była w stanie patrzeć na trzech pochylających się nad nią mężczyzn. Na Jaskariego z powodu łączącej ich tajemnicy, na Marca ze względu na jego nieprawdopodobny wygląd. Czy jakiś mężczyzna, zwyczajny mężczyzna z tego świata, może wyglądać tak nieziemsko? Widziała przecież tak zwanych Lemuryjczyków. Oni byli w jakiś sposób bardziej konkretni, jeśli tak można powiedzieć, bliżsi rzeczywistości, choć tak bardzo różnili

się od ludzi. Ale ten księżę, jak go nazywają... Skąd on się wziął? Było w nim coś eterycznego, ezoterycznego i egzotycznego. Jakby pochodził z innej sfery wszechświata. Altea nie widziała jeszcze duchów, wtedy może mogłaby więcej pojąć.

Spoglądanie w życzliwe, ale jakby nieco surowe oczy Marca, było ponad jej możliwości. A teraz on miał osłuchać jej serce.

„Jeśli ktoś mógłby cię uratować, to jest to Marco” - powiedział Jaskari.

Najpierw jednak badali ją tamci, Jaskari i profesor Hult, jak się nazywał, unosili nad nią stetoskop i różne inne przedmioty, których przedtem nie widziała. Nie, więcej operacji nie zniesie, nawet gdyby tak orzekli. Jej dawny lekarz przemawiał do niej ostatnio z wielką powagą w oczach. Teraz nie można już nic więcej zrobić, mówił. Wszystkie próby zawiodły, nic nie pozostało.

Również w twarzach Jaskariego i profesora mogła wyczytać, że nie dają jej żadnych szans. Było im po prostu przykro.

W końcu ów mistyczny Marco położył ręce na jej piersi. Och, nie, czy to jakiś uzdrowiciel? pomyślała Altea z irytacją. Widziała dostatecznie wielu, by wiedzieć, że ich poczynania na nią nie działają ani trochę. Profesor także popatrzył zdumiony i chyba z rezerwą, ale Jaskari przyglądał się Marcowi ze spokojem, jakby już dawniej widywał go przy pracy.

Była trochę rozczarowana, że trafiła w ręce znachora.

Głęboko wciągnęła powietrze. Co to?

Z jego rąk spływało jakieś kojące ciepło, czuła, jak serce odnajduje w nim spokój i siłę. Łzy potoczyły jej się po policzkach, takie silne było to przeżycie, ale nie poruszyła się, żeby je otrzeć. Niech sobie płyną. Chociaż właściwie serce nigdy jej jakoś dojmująco nie dokuczało, z wyjątkiem trudności z oddychaniem, zwłaszcza po wysiłku, to teraz doznała przeświadczenia, że fizyczna wada jej serca się zabiłiła i że ona sama w jednej chwili stała się tak samo młoda i silna jak wszyscy jej rówieśnicy.

To było nieprawdopodobne uczucie.

- W porządku - powiedział Marco z westchnieniem ulgi i wyprostował się. -

Zrobione!

Dal profesorowi znak, że może ją znowu zbadać.

Uczony pochylił się nad Alteą z wyraźną już teraz rezerwą. A potem nagle się wyprostował, jakby doznał szoku. Przykładał stetoskop do wszystkich możliwych punktów, w których spodziewał się usłyszeć pracę chorego organu. Potem bez słowa przekazał aparat Joriemu, który uśmiechnął się tylko i posłuchał przez chwilę.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - jęknął profesor. - Kim pan właściwie jest, książę?

- Lepiej, żebyś nie wiedział - odparł Marco. - Możesz wstać, Alteo. Jesteś zdrowa. A teraz zobaczymy, czy twoja mama już otworzyła oczy.

Judy nie spała. Już z daleka, w wąskim korytarzu, słyszeli jej wołanie z pokoju, w którym leżała. Histerycznie wykrzykiwała, że się boi, że pozostawiono ją na pastwę losu, docierały do nich narzekania, że pościel szorstka i gdzie jest jedwabna bielizna, a także nawoływania w rodzaju: „Gdzie jest Jack”, „Mam straszne pęcherze na rękach, zaraz umrę”, „Gdzie ja jestem”. „Jack, oni mnie uprowadzili, zapłać im, ja tu umrę, skóra ze mnie schodzi, cała moja opalenizna na nic, jak ja się teraz pokażę na balu u burmistrza?”

- O, rany boskie! - jęknął Jaskari, wchodząc do pokoju.

Judy była przerażona. Zniknął jej piękny świat luksusu, komfortu, podziwu mężczyzn i pielęgnowania własnej urody, która ma nieprzyjemną skłonność do wiednięcia, jeśli nie okazuje jej się należytej uwagi.

No i oto stało się to straszne. Urowadzono ją, bo to bez wątpienia było uprowadzenie! Te wszystkie okropieństwa z Devlinem i to, co on mówił o Jacku, to, rzecz jasna, kłamstwo...

Z piersi biedaczki wyrwał się głuchy szloch. Coraz trudniej jej było przekonywać samą siebie, że tamto to kalumnie i że te straszne rzeczy nigdy się nie wydarzyły.

Tak trudno, tak trudno było zachować iluzję szczęścia i miłości Jacka. O Boże, a co tutaj robi jakaś nieznajoma indiańska dziewczyna? To straszne!

Chciała zamknąć oczy, niech cały ten okropny świat zniknie i niech będzie tak jak dawniej. Pośni jeszcze, a jak się obudzi, będzie dobrze.

Ktoś wszedł. To ci, co ją uprowadzili? Nie była w stanie na nich spojrzeć.

O, to ten przystojny wiking Jaskari. Podświadomie starała się przybrać swój zwykły wyraz twarzy, chłodna perfekcja...

I... och, nie... Jaskari przyprowadził ze sobą dwóch innych mężczyzn. Jeden podstarzały, w okularach, szkoda na niego tracić czas, ale za to ten drugi! O Boże, pomóż mi, prosiła Judy w duchu. Ten powinien mnie widzieć w mojej najlepszej formie, a ja jestem taka spalona, co robić? Cóż to za mężczyzna... a może on jest...

- Nie, anioły powinny przecież być białe - powiedziała głośno, nie zdając sobie z tego sprawy. Biedna, nieskomplikowana Judy była oszołomiona i przeżyciami, przez które musiała przejść, i środkami uspokajającymi.

- Anioły powinny być białe - powtórzyła, tym razem z tą spontaniczną kokieterią w głosie, która zawsze się pojawiała w jej zachowaniu, jeśli w pobliżu ukazał się wart zainteresowania mężczyzna. - A może ty jesteś czarnym aniołem?

- Tak - odarł Marco z powagą.

Judy zaśmiała się perliście.

- Lubię ten rodzaj humoru. Gdzieś ty się podziewał przez całe moje życie?

Marco udał, że nie słyszy zaczepki. Już miał zacząć rozmawiać z chorą, gdy Judy spostrzegła, że razem z mężczyznami przyszła też Altea.

- Alteo, natychmiast stąd wyjdź! Nie przeszkadzaj panom, oni teraz zajmują się mną.

Była śmiertelnie przerażona, że ten niewiarygodny, urodziwy mężczyzna dowie się, że Altea jest jej córką.

- Ale, mamu, chciałam ci tylko powiedzieć, że Marco właśnie mnie uzdrowił, wyleczył moje serce. Jestem zdro...

Judy usłyszała tylko słowo: „mamo”

- Wyjdź! Ja nie jestem...

Nie, no nie może tak powiedzieć. Nie może zaprzeczać, że ma na pół dorosłą córkę. Zresztą Jaskari o tym wie, niech to licho!

Mężczyzna w okularach powiedział:

- Jestem profesor Hult. Czy nie słyszałaś, że twoja córka jest zdrowa? Jej serce bije silnie i całkiem normalnie.

- Och, jak to miło - odparła Judy. - Przynajmniej nie będę musiała się martwić.

Zwróciła się znowu do Marca i pokazywała mu swoje ręce, kręcąc nimi kokieteryjnie.

- Trzeba ci wiedzieć, że one nie zawsze tak wyglądały. Zostały tylko wystawione na straszliwie piekące słońce.

Hult się rozszłościł. Zdjął ze ściany lustro i podsunął Judy.

- Chyba nie tylko o ręce chodzi - powiedział gniewnie.

Na widok swojej twarzy Judy wrzasnęła przeraźliwie. Wpadła w taką histerię, że Jaskari musiał jej zrobić uspokajający zastrzyk.

Profesor usiadł na krawędzi łóżka.

- Spróbuj teraz posłuchać, co inni do ciebie mówią, przestań wrzeszczeć i mizdrzyć się! Słyszałaś, że Marco usunął z serca Altei bardzo poważną wadę. Obiecał, że tobie też przywróci urodę, ale musisz trochę z nami współpracować.

- Och, jak ja się pokażę ludziom? O, co powiedzą nasi przyjaciele? Będą triumfować, zawsze mi zazdrościli...

To Jaskari znalazł w końcu rozwiązanie, o którym powinni byli pomyśleć dawno temu.

- Marco, daj jej parę kropel eliksiru!

Judy ujęła szklankę z wodą, do której wpuścili odrobinę już przedtem mocno rozcieńczonego płynu. Pijąc, starała się patrzeć głęboko w oczy temu cudownemu mężczyźnie, który stał obok jej łóżka.

Eliksir pomógł. Judy zaczęła powoli rozumieć i akceptować nową sytuację.

Płakała trochę nad swoim gorzkim losem, przeważnie jednak obejmowała córkę, robiła to bardzo ostrożnie, prosiła o wybaczenie i cieszyła się szczerze, że dziewczyna rozpoczyna nowe życie.

- Pozwól teraz Marcowi, żeby położył na tobie swoje uzdrawiające ręce, mamo.

On jest fantastyczny!

Co do tego ostatniego, Judy zgadzała się z nią całkowicie. A kiedy poczuła ciepło spływające z jego rąk, ogarniające jej skórę i całe ciało - którego zresztą Marco nie dotykał, trzymał ręce kilka centymetrów nad Judy - wtedy ogarnęło ją nigdy przedtem nie doświadczane szczęście, bezpieczeństwo i spokój, który wnikał głęboko do jej udręczonej duszy.

Jakie to ma znaczenie, czy jest piękna czy też nie? Plan popełnienia samobójstwa po skończeniu pięćdziesięciu lat gdzieś się rozwiął. Stres wywołowany koniecznością podporządkowywania się Jackowi też zniknął. Zdrada męża, brutalność Devlina i cała tamta zatruta atmosfera w hacjendzie przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

A ważne zaczęło być to, że Altea została stamtąd wyciągnięta, że uratowano jej zdrowie. Kiedy zaś Judy zobaczyła swoją twarz i ręce po zabiegu Marca, odetchnęła głęboko z wielką ulgą.

- Ale, Judy, powiedz, coś ty zrobiła ze swoją twarzą? - zapytał profesor Hult surowo. - Naprawdę naciągnęłaś skórę do kresu wytrzymałości. To się za parę lat zemści.

Judy chciała powiedzieć, że postępowała tak dla Jacka, ale na myśl o nim zrobiło jej się dziwnie nieprzyjemnie. Westchnęła więc tylko:

- Będę się musiała pogodzić z losem.

- To nie będzie konieczne - wtrącił Marco przyjaźnie. - Ale teraz chciałbym powiedzieć, że mamy nieco inne plany co do wszystkich trzech pań z hacjendy. Na tym skończył i wszyscy poszli na ogólne zebranie.

Wtorek wieczór, około północy

Loman rozmawiał przez swój telefon, którego nikt nie mógł podsłuchiwać.

- Dobrze, Ross! W takim razie Japonia również wpadnie w nasze ręce! To wspaniale! Dopiero teraz będziemy mogli działać! Państwa padają w ostatnich dniach niczym dojrzałe jabłka. Ach, tak, Japonia także? Ross, dostaniesz na własność państwo, które tylko sobie wybierzesz. Będzie twoje, pod moim nadzorem, rzecz jasna. Co? USA? No, nie prosisz o mało, ale jeśli zdążysz przejąć Stany Zjednoczone, zanim nas ubiegną ci purytanie, to będą twoje. Straciliśmy na ich korzyść Australię i różne inne mniejsze terytoria. Tak, moi ludzie tam zostali „zbawieni”. Są teraz sympatyczni jak niewinne baranki, niech ich cholera weźmie! Ale teraz nie mam czasu się nimi zajmować, nasi starzy wrogowie czekają. Wong i ta cała banda.

Skrzywił się, bo uczynił nieostrożny ruch i poczuł przejmujący ból w swoim najbardziej wrażliwym miejscu.

- Nie, spokojnie, spokojnie - odpowiadał na pytanie Rossa. - Zajmiemy się Wongiem i jego kompanią. Moi ludzie są na tropie, to tylko kwestia godzin i zlokalizujemy ich, będzie to dla nich wielka niespodzianka. Pedro de Castillo? Spokojnie, on jest nasz, mamy ich już wszystkich.

Odłożył telefon i usiadł wygodnie w fotelu. Może się zdarzyć, że ci nędznicy mają u siebie Alteę. To by nawet było bardzo dobrze, zgarnąć wszystkich za jednym zamachem. A wtedy panienska zostanie poddana torturom gorszym niż za czasów inkwizycji. A to niemało, bo przecież nikt nie potrafi tak dręczyć innych jak wybrani przez Boga, jedyni, którzy wierzą tak jak trzeba.

22

Nøsen, we wtorek o północy

Indianin z Ameryki Północnej, Fourwell Hunter, zaopiekował się młodą indiańską dziewczyną z Ameryki Południowej, Nellie, która przy nim czuła się absolutnie

bezpieczna. Jak przy ojcu. Własnego ojca zresztą znała jedynie jako pijaczka, który przychodził do domu tylko po to, żeby się najeść i przespać, a przy okazji zrobić kolejne dziecko. Była natomiast związana z matką. Bo Nellie nadawała się znakomicie do wszystkich niewolniczych prac w domu. Teraz, kiedy młodsze siostry podrosły, Nellie musiała dom opuścić, żeby zarabiać pieniądze dla licznej rodziny.

No ale wszystko ułożyło się jak najgorzej. I dopiero teraz Nellie poczuła, że nareszcie znalazła się w dobrych rękach.

Marco zapytał dziewczynę:

- Nellie, inni twierdzą, że mówiłaś coś w rodzaju: „wszyscy byli martwi”? Jaskari natomiast twierdzi, że ciężarówki były bardzo wyładowane i ludzie siedzieli w nich ściśnięci niczym śledzie w beczce.

- Bo oni leżeli jeden na drugim. Żeby wszyscy zabici się zmieścili. Widziałam, jak do nich strzelali. Nikt się nie uratował.

- Powinniśmy byli coś z tym zrobić tam na miejscu - powiedział Jaskari. -

Zameldować na policji w najbliższym mieście albo co - westchnął Jaskari.

- To by się na nic nie zdało - uspokoiła go Altea. - Wszystkie miejscowe władze Jack przekupił. Policja była po jego stronie.

- Dziwne, że nie zawładnął całym państwem - powiedział profesor Hult.

- Ależ zawładnął - wtrącił inspektor policji. - Może nie akurat Chile, pewnie bał się ujawnienia, bo wszędzie tam był znany. Ale mniejsze kraje w Ameryce

Południowej: Wenezuela, Kolumbia, Ekwador, wszystkie znajdują się pod jego wpływami. Wszędzie tam dokonano przewrotów, którym nikt się nie sprzeciwił, bo Loman je znakomicie przygotował.

- Tam jeszcze nie dotarliśmy - powiedział Ram. - Ale przewroty musiały się dokonać całkiem niedawno.

- Wczoraj. Wiadomości na ten temat pojawiły się dzisiaj rano.

- Jori i Sassa nie zdążyli podjąć tam spryskiwania. Zresztą akurat to terytorium do nich nie należy. I pojawiły się też pogłoski o niepokojach w Japonii.

- Czy on gdzieś osobiście stanął na czele państwa? A może wszędzie? Stany Zjednoczone Lomana, co?

- Nie, nie sędzę - rzekł inspektor policji. - Ale skąd się dowiemy, jak on wygląda? Nigdzie przecież nie ma jego zdjęć.

- Nie ma - potwierdziła Altea. - Aparaty fotograficzne były w hacjendzie surowo zabronione, więc ja też nic nie mam. Zresztą pewnie i tak bym go nie fotografowała.

Judy milczała. Nie miała żadnych fotografii swego męża, zresztą była całkiem naga, kiedy ją znaleziono.

Nagle drgnęła.

- Czy wy uważacie, że to Jack jest tym poszukiwanym przez wszystkich wielkim... jak go nazywacie? Szeferem mafii?

- Szeferem szefów - potwierdził inspektor. - Ścigamy go od bardzo dawna. Pedro de Castillo trzy lata temu zaczął mu deptać po piętach, ale on nagle gdzieś przepadł. Najprawdopodobniej osiedlił się wówczas w Chile.

Wszyscy zachęcali Alteę i Judy, by sporządziły portret Jacka, najdokładniej jak potrafią. Nellie też zaproszono do współpracy, ale ona była w posiadłości całkiem nową osobą, poza tym jej talenty plastyczne nie na wiele się zdały. W pewnym momencie Indra zapytała ostrożnie, czy dziewczynka rysuje siedzącego wielbłąda.

Mieszkańcy Królestwa Światła nad czymś między sobą dyskutowali. Cicho i z wielką powagą, a potem Ram powiedział:

- Teraz Jaskari nas opuszcza. Musi wrócić do pracy ze zwierzętami w naszym kraju. Zastanawialiśmy się nad sytuacją trzech uratowanych pań. Judy i Altea znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, dopóki Loman i jego ludzie pozostają na wolności. Nellie może nic strasznego nie grozi, ale jej przyszłość jest niepewna...

Hunter podniósł rękę.

- Postanowiłem zaopiekować się Nellie. Moja rodzina z radością przyjmie jeszcze

jedną córkę, mamy dzieci w jej wieku. I Nellie też chce być z nami.

- Znakomicie! - ucieszył się Ram. - Ufam, że w razie czego będziesz jej bronił nawet z narażeniem życia.

- Dostatecznie długo byłem ścigany przez popleczników Lomana, by wiedzieć, jak się przed nimi bronić. Poza tym duch Ziemi jest z nami.

- To prawda.

Ram zwrócił się do Judy i Altei z pytaniem, czy nie chciałyby pojechać z Jaskarim do jego „kraju”. Gdyby się zgodziły, muszą być przygotowane na pewne niezwykle przeżycia. Nie, nie grozi im nic, po prostu będzie tam wiele nowych dla nich rzeczy.

Obie panie bardzo chciały pojechać, szczególnie Altea. Chociaż Jaskari nigdy nawet nie wspomniał o wydarzeniu w Andach, to jednak czuła, że powstała między nimi więź. Piękna i niezwykła. W każdym razie tak to odczuwała, a ukradkowe uśmiechy Jaskariego pod jej adresem mogły świadczyć, że z nim jest podobnie. Widziała w jego oczach czułość, od której przenikało ją ciepło.

Zapytała niepewnie, czy będzie mogła mu pomagać w pracy, bo bardzo lubi zwierzęta i zawsze świetnie się z nimi porozumiewała. No, może z wyjątkiem rasowego kocura Judy, który chodził swoimi ścieżkami i na ludzi w ogóle nie zwracał uwagi. I jeśli tylko znalazł jakiś ką, gdzie mógł spokojnie nasikać, to był zadowolony.

Odpowiedź Jaskariego dawała nadzieję i Altea bardzo się zdziwiła, że serce zabiło jej tak mocno na myśl, iż będzie mogła pracować w pobliżu niego w tym kraju, który nie wiadomo, gdzie się znajduje.

Judy była zachwycona opowieścią o Świętym Słońcu, które zachowa jej młodość. Niczego więcej nie potrzebowała, żeby z radością wyrazić zgodę na wyjazd, co tam zgodę, wdzięczność za taką wspaniałą możliwość.

Tak więc Jaskari i Zinnabar wyjechali z żoną i pasierbicą Lomana, a Sassa i Jori opuścili Nøsen, by wrócić do przerwanych zajęć w Chile. Nataniel i Ellen, Taran i Uriel także wrócili do swoich obowiązków.

Pozostali siedzieli jeszcze długo w noc i zanim nareszcie poszli spać, zaplanowali działalność na najbliższe dni.

Nøsen, środa

Ścigający od lat mafię Pedro de Castillo przyjechał helikopterem następnego ranka.

Indra nie bardzo wiedziała, czego się spodziewała, w każdym razie jednak nie tego podstarzałego, silnej budowy pana z wieńcem krótko przystrzyżonych srebrnych włosów i ciemnymi hiszpańskimi oczyma. Wyglądało na to, że żył sobie dobrze w tym swoim zamku. Tak przynajmniej można było sądzić po jego wystającym brzuchu, musiał mieć sporą nadwagę. Po ostatnim ataku na swoje życie chodził o lasce.

Przywiózł ze sobą sekretarza, ochroniarza, współpracownika w jednej osobie. Aż się palił, by rozpocząć polowanie na Lomana.

- Bardzo dobrze państwa znam - powiedział na powitanie. - Wszystkich czworo. Hunter, Carpentier, Bogote i Wong, te nazwiska znakomicie brzmią w naszych kręgach. To będzie dla mnie radość i zaszczyt móc z wami pracować.

Przywitał się z pozostałymi, z uczonymi, inspektorem policji i sekretarkami, Indrę elegancko pocałował w rękę, ale Marca i Rama taksował ze zdumieniem.

- Później wyjaśnimy powody naszej obecności - powiedział Marco pospiesznie - ale teraz przejdźmy do rzeczy.

- Dobrze powiedziane - rzekł Hiszpan. - Słyszałem, że zidentyfikowaliście interesującego nas człowieka jako Jacka Lomana, zamieszkałego w Chile, skąd jednak ostatnio znowu się wyniósł i zmylił pogonie.

- Zgadza się. I bardzo się po tym uaktywnił. Doprowadził do przewrotów w wielu krajach świata. Wybrani przez niego ludzie przejęli władzę, ale to wszystko było przygotowywane od dawna. Pedro de Castillo roześmiał się cierpko.

- Mimo że to mój największy wróg, muszę go, wbrew własnej woli, podziwiać za

skuteczność. I za to, że potrafił tak długo zachować anonimowość! No, dobrze, moje panie i panowie, od czego zaczynamy?

- Od śniadania - uśmiechnął się Ram. - Bardzo proszę wszystkich.

Brakowało tylko Nellie, ale była taka zmęczona, że pozwolono jej zostać w łóżku.

Jak większość nastolatków lubiła długo spać.

Natomiast Sol i Kiro brali udział w spotkaniu. Sol siedziała rozszczebiotana obok Smitha, który okazał się dość ponurym typem. Wszelkie jej zaczepki spływały po nim jak woda po gęsi. To jednak zdawało się nie przeszkadzać Sol, zachowała promienny humor.

Gospodyni podała wykwintne śniadanie i wszyscy zebrali się przy dużym okrągłym stole.

Indra zwróciła uwagę, że Marco mało co je, dłubie w zamyśleniu widelcem w kawałku mięsa.

- Przypadkiem poznałem kilka poprzednich kryjówek Lomana - oznajmił energiczny de Castillo, wymachując widelcem w powietrzu. - No właśnie, czy będziemy nazywać go Loman, skoro już udało nam się zdobyć coś w rodzaju jego nazwiska?

- Tak - rzekł Ram. - Chociaż z pewnością już je zmienił.

- Na pewno. No ale w każdym razie wydaje mi się możliwe, że wrócił do jednej z dawniejszych kryjówek. Jedna znajduje się we Włoszech.

- Wygląda na to, że pan Loman jest południowcem - wtrąciła Indra. - Zawsze wybiera kraje romańskojęzyczne.

- Sądzę, że ten człowiek zna wiele języków. Jeśli przebywa we Włoszech, to znajduje się w trudno dostępnym zamku, prawdziwej twierdzy. Próbowaliśmy już się tam dostać, proszę mi wierzyć. Druga kryjówka, o której wiemy, znajduje się w Maroku i, jeśli to możliwe, jest jeszcze trudniej dostępna niż pierwsza.

- No to pocieszające - westchnęła Indra z goryczą. - Marco, co z tobą?

Książę westchnął.

- Nic konkretnego. Tylko... Widzisz, ja wyczuwam niebezpieczeństwo.

Smith i Castillo popatrzyli na niego nie rozumiejąc, o co chodzi. Pozostałych, bardziej już nawykłych do zachowań Marca, jego słowa szczerze zmartwiły.

Wkrótce otrzymali odpowiedź, skąd się biorą jego przeczucia.

Do jadalni wszedł kilkunastoletni syn gospodarzy. Z wahaniem podszedł do Indry, która widocznie budziła w nim najwięcej zaufania. Bo poza tym w sali znajdowało się tylu dziwnych ludzi. Chińczycy i Murzyni, Indianie oraz dwie ogromne istoty w ogóle do nikogo niepodobne, i jeden mężczyzna taki przystojny, że człowiek nie miał odwagi na niego patrzeć.

- Mama uważa, że powinienem państwu powiedzieć - oznajmił chłopiec. - Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale kiedy przed chwilą wracałem ze wsi, to widziałem... choć to nie jest sezon łowiecki, i w ogóle żadnych zwierząt nie ma, to w jałowcach dookoła naszego domu leży mnóstwo mężczyzn z bronią. Bardzo nowoczesną, widziałem taką w telewizji, lasery i w ogóle...

Chociaż bowiem rozwój przemysłu i technologii od początku trzeciego tysiąclecia cechowała stagnacja, to produkcji śmiercionośnej broni ona nie dotyczyła. W tej dziedzinie ludzie zawsze potrafią dbać o postęp.

Wszyscy podskoczyli, słysząc słowa chłopca.

- Tutaj? - spytał Ram z niedowierzaniem. - Jak oni nas tu znaleźli?

Królestwo Światła, tego samego dnia

Dotarli do bazy Zinnabara, gdzie Judy i Altea zostały uśpione. Wciąż nie wiedziały, dokąd jada, ponieważ nikt nie miał zaufania do stanu nerwów Judy.

Kiedy się ponownie obudziły, otaczało je ciepłe, złociste światło. Siedziały w gondoli, podobnej do tej, jakiej używał Jori, i płynęły w powietrzu, niezbyt wysoko nad cudownie kwitnącymi łąkami i rzekami, w których niebo odbijało się złociście, a nie niebiesko.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Altea, która ocknęła się pierwsza.

Jaskari ukucnął obok jej fotela.

- Witaj w mojej ojczyźnie, w Królestwie Światła - uśmiechnął się. - Jesteś we wnętrzu Ziemi i teraz już wszystko będzie dobrze. Jack Loman nigdy cię tu nie dosięgnie.

Minęło sporo czasu, zanim Altea otrzymała odpowiedzi na wszystkie swoje pytania i opanowała się jakoś po przeżytym wstrząsie. Ale oczy Jaskariego zawierały w sobie tyle ciepła, a jego ręce spoczywały na jej ramionach i uspokajały ją, w końcu więc przestała pytać i rozkoszowała się chwilą.

- Dokąd jedziemy? - brzmiało jej ostatnie pytanie.

- Do Sagi, to jest miasto Marca. Ja też tam mieszkam, ale teraz pracuję na terenie hodowli zwierząt. Wyślemy je na Ziemię, kiedy zapanują tam odpowiednie warunki. Altea, ja...

- Tak, co chciałeś powiedzieć? - spytała łagodnie, czując, że serce zaczyna jej mocniej bić.

- Dużo myślałem o tym, co zrobiliśmy... - Rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy nikt go nie słyszy. - To ma dla mnie znaczenie.

A gdy najwyraźniej czekał na odpowiedź, Altea wyszeptała:

- Dla mnie też.

Energicznie pokiwał głową.

- Chciałabyś zamieszkać blisko mnie?

- Nie mogę sobie wyobrazić nic lepszego.

- Bo ja bym chciał, byśmy się lepiej poznali. I... - uśmiechnął się szeroko. - I znowu to zrobili. Ale teraz inaczej, z uczuciem. Bo szczerze mówiąc, po tym, co zrobiliśmy tam, było mi trochę przykro.

- Powiedzmy, że to była tylko próba.

- Tak będzie najlepiej - roześmiał się. - Altea, ja zacząłem cię lubić... tak naprawdę, wiesz.

- Ja także. To znaczy, chciałam powiedzieć, że ja też lubię ciebie. Ale zdaje się, że mama otwiera oczy.

Jaskari uścisnął jej rękę i wstał. Altea z błogim uśmiechem przymknęła powieki i

wsluchiwała się w kroki Jaskariego, który szedł do tylnej części gondoli. Potem w milczeniu wyjęła z torebki rękopis swojej powieści, podarła go na kawałki i wyrzuciła. Nikomu nie będzie to już potrzebne.

Nøsen, środa przed południem

Lada moment wybuchnie panika. Pedro de Castillo krzyczał:

- A mówiliście, że tu jest bezpiecznie! Co teraz zrobimy?

Sol popatrzyła na Marca i rzekła spokojnie:

- Pozwól, że ja się tym zajmę.

Mieszkańcy Królestwa Światła odetchnęli. Ale ci z Ziemi rozglądali się przestraszeni.

Marco skinął głową.

- Działaj, Sol. Chłopiec pokaże ci, gdzie oni są.

- W trzech miejscach - tłumaczył chłopak zdyszany. - Oni mnie nie widzieli, bo wszyscy patrzyli tylko w stronę zabudowań.

- Miałeś szczęście - powiedział Ram. - Myślę jednak, że zostaliśmy otoczeni.

- I wy mówicie o tym tak spokojnie? - denerwował się Smith.

- Sol poradzi sobie z nimi. Naprawdę możemy kończyć śniadanie.

Uczeni i czworo obrońców środowiska posłało Ramowi spojrzenia świadczące, że po części rozumieją, i wszyscy usiedli. Ale rozumieli naprawdę tylko po części, ponieważ nie potrafili uplasować Sol. Nie bardzo wiedzieli, kim jest ta pani, która ma się zająć draniami ukrytymi w krzakach. Sama powiedziała, że bywa duchem, jeśli chce...

Smith był wzburzony.

- Zostaliśmy wciągnięci w pułapkę. Idę do pokoju po rewolwer.

- Ja także - powiedział Wong.

Marco skinął głową.

- Tylko trzymajcie się z daleka od okien... gdyby zaczęli strzelać.

- Myślę, że nie zdążą - wtrącił Kiro złośliwie.

Pedro de Castillo został na miejscu. Nikt nie może powiedzieć, że brak mu odwagi.

- O ile dobrze zrozumiałem, to miały tu być żona i córka Lomana? One pewnie też są w niebezpieczeństwie.

- Pasierbica - sprostował Marco. - Nie sądzę, żeby ona przyznawała się do pokrewieństwa z tym draniem. I proszę się nie martwić, ich już tu nie ma, są bezpieczne. Absolutnie bezpieczne.

- Gdzie?

- Później będzie czas o tym porozmawiać. Została tylko jedna z tych trzech urato... Co to było?

Na podwórzu rozległ się straszny łoskot, a z pobliskich wzgórz słychać było krzyki. Zebrani ostrożnie wyjrzeni przez okno. Zobaczyli gromadę mężczyzn biegnących w dół do jeziora w szalonej ucieczce przed czymś, czego obserwujący nie mogli zobaczyć.

- Chodźcie no i popatrzcie! - zawołał Kiro od okna, które wychodziło na podwórze. Pobiegli.

Pośrodku dziedzińca leżała supernowoczesna broń Lomana, wszystko zrzucone na wielki stos, połamane, powykrzywiane, na pół stopione, do niczego nieprzydatne. Po prostu złom.

- Nie, och... nigdy nie widziałem czegoś podobnego - szepnął de Castillo najwyraźniej wstrząśnięty. - I ludzie uciekają, jakby ich ktoś gonił.

W chwilę później na dziedzińcu pojawiła się Sol i starannie otrzepała ręce.

- Ona to zrobiła? Sama? - jęknął de Castillo.

- Nie, nie sama - uśmiechnęła się Louise Carpentier.

- Ale nie widzę nikogo więcej.

- Tak, to prawda, nikogo nie widać.

- A więc i tym razem zostaliśmy uratowani - powiedział Bogote. - Dziękuję! - zawołał w stronę sufitu.

Na chwilę zaległa cisza. Wszyscy byli tacy zmęczeni, jakby brali udział w przepędzeniu napastników.

- Niczego nie rozumiem - westchnął de Castillo. - A co to się stało ze Smithem?

- I z Wongiem - dodał Bogote. - Pójdę rozejrzeć się za nimi.

Zniknął w starszej części hotelu.

- Gdybyście państwo teraz mogli mi wytłumaczyć... - zaczął de Castillo.

Marco uniósł rękę.

- Przykro mi, jeszcze nie. To by nam zabrało zbyt wiele czasu. Sytuacja jest krytyczna, musimy liczyć się z tym, że banda Lomana wróci. Sądzę więc, że powinniśmy się stąd wyprowadzić, i to jak najszybciej. Nie, no ale teraz to i Bogote zniknął. Co się dzieje? Czy aż tak długo trwa przejście po pokojach? Wszyscy razem wchodzili na górę po zniszczonych schodach.

Najpierw zajrzeli do pokoju Bogote, ale on pewnie szukał tamtych. Poszli więc do Smitha, lecz tam też nie było nikogo.

Musieli bardzo hałasować, bo po chwili z pokoju Nellie wysunęła się zaspana głowa.

- Nellie, widziałaś tu na górze kogoś? - spytała Indra.

- Nie - wykrztusiła przerażona dziewczyna wpatrując się w plecy jednego ze znikających za zakrętem korytarza. - Ale słyszałam hałasy z któregoś pokoju, gdzieś tutaj.

- Dawno?

- Nie, dopiero co.

Wciąż wyglądała na wstrząśniętą. Marco zatrzymał się również i spojrzał na nią pytająco.

Nellie nieustannie patrzyła w stronę, gdzie na zakręcie korytarza zniknęły jej te plecy.

- Czy ty się boisz, Nellie? - zapytał Marco przyjaźnie.

Spojrzała na niego pospiesznie.

- Tak. Bo nie rozumiem...

- Czego nie rozumiesz? - dopytywała się Indra.
- Te plecy, tam...
- Nellie, o co ci chodzi?
- Ja nie rozumiem, co tutaj robi pan Loman - szepnęła Nellie ze zgrozą.

24

Strach chwycił Indrę i Marca za gardła.

Kto szedł tam, tym krętym korytarzem?

Fourwell Hunter. Jego znali dobrze, był z nimi od samego początku. Louise Carpentier również. A ten trzeci?

Pedro de Castillo!

Indra zasłoniła dłonią usta.

- Dobry Boże - wyszeptała. A potem dodała bardzo stanowczo: - Nellie! Wracaj do pokoju! Zamknij drzwi na klucz i nie otwieraj absolutnie nikomu, tylko mnie i Marcowi!

Nic więcej nie mogła powiedzieć, żeby całkiem nie wystraszyć małej Indianki.

Nellie natychmiast posłuchała, usłyszeli tylko zgrzyt klucza w zamku.

- Chodź, Marco. Ten tak zwany Smith uwięził Wonga i Bogote. Żeby tylko nie było za późno...

Pobiegli korytarzem. Bez broni. Wiedzieli jednak, że czas nagli.

Zakręt.

Tam też pusto. Cisza. Słysząc, że ktoś krzyczy w nowej części hotelu.

- Louise Carpentier - mamrocze Indra, pełna najgorszych przeczuc. - I Indianin Hunter, opiekun Nellie. Oni również musieli wpaść w ich łapy.

- Przeszukujemy pokoje! Szybko!

Kiedy w największym zdenerwowaniu biegli z pokoju do pokoju, Indra wzywała głośno Rama i pozostałych. Marco działał bardziej skutecznie, on używał telefonu komórkowego, zatelefonował do Kiro i ostrzegł go przed de Castillo.

- Szukajcie czworga zaginionych w całym hotelu! Tylko uważajcie na Castillo - Lomana i tak zwanego Smitha. Na pewno są uzbrojeni. Skontaktujcie się z

gospodarzami, musimy wiedzieć jak najwięcej o hotelu!

Kiro przekazywał ostrzeżenie dalej.

- Marco, martwi mnie coś jeszcze - powiedziała Indra. - Co się stało z prawdziwym de Castillo?

- No właśnie. I gdzie dokonała się zamiana? Prawdopodobnie w hotelu w Oslo.

Gdy tylko będzie można, natychmiast zaczniemy go szukać.

- Marco, to się mogło naprawdę źle skończyć!

- Wciąż jeszcze może się źle skończyć, Indro.

Nøsen, w chwilę później

Cholera, myślał Jack Loman. Cholera jasna, cholera! Co się tu dzieje, do diabła, co to za cyrk? Wszyscy moi ludzie ukryci w krzakach uciekli. Bez powodu! Niech to diabli...

No a broń? Moja kosztowna broń, najnowsza, jaką można dostać, zamieniona w kupę złomu. Szlag może człowieka trafić!

Kto zwałił to wszystko na dziedziniec z takim łoskotem? Kim jest ta cała Sol, która zniknęła, a teraz triumfalnie powraca?

Dlaczego ci obcy nie są tym wszystkim tak samo zaszokowani jak ja? Co się tutaj dzieje?

A Altea i Judy? Muszę się zemścić na Altei, która zrujnowała moje życie miłosne na długi czas, może na zawsze. A ja jestem taki żywotny, mogłem zaspokoić pięć kobiet jednego wieczoru, a potem Judy nawet niczego nie zauważyła. Jeśli Altea pozbawiła mnie tej przyjemności, to będzie musiała umrzeć! Tylko że nie chcą mi powiedzieć, gdzie ona i Judy się podziewają.

Kim, do cholery, jest ten jakiś czarny anioł, czy kogo on tam przypomina?

Nienawidzę go, zaduszę go własnymi rękami.

Tylko gdzie jest któryś z moich ludzi? Choćby jeden. Wszyscy się rozpiezchli, każdy w swoją stronę.

No trudno, mam ich gdzieś, sami z Devlinem damy sobie radę. Już udało nam się złapać tego przeklętego Wonga i Bogote.

Devlin jest dobry. Odgrywa tego Smitha! A swoją drogą jak łatwo podejść tych tam wolnomularzy, czy kim oni są. O Boże, jak ja ich nienawidzę! Ale dostaną za swoje!

Devlin jest na górze. Wyłapie ich jednego po drugim. Ja chcę dostać tego czarnego szatana; żeby tylko go ująć, to reszta będzie bezradna.

Ale co to za diabliska ta Sol?

Teraz idą na górę. Domyślili się, że coś się stało. Devlin, bądź gotów!

Ja też idę, na pewno się przydam.

Co to za przeklęte wronie gniazdo, ten hotel! Te korytarze, te zakręty!

Jakie to szczęście, że wybrali Norwegię na miejsce spotkania. Takie pustkowie i jeszcze nie spryskali go tą swoją święconą wodą, więc my z Devlinem nie musimy przez cały czas nosić tych cholernych maseczek.

Jack Loman był zbyt uprzejmy, uznając, że miejsce jest bardzo dobre. Od wielu lat już nie kłął tak jak dzisiaj. Udawał jednak starszego pana, który razem z Louise i Hunterem wchodzi na piętro. Fakt, że z trudem idzie po schodach, tłumaczyli sobie bólem nogi po ostatnim zamachu, no a poza tym nie jest przecież młody. Nie mogli nic wiedzieć o upokarzającym stanie jego najwrażliwszego na całym ciele miejsca.

Usłyszał, że za nimi otwierają się jakieś drzwi i ktoś rozmawia. Nie odwracając się, minął wraz z towarzyszącymi mu osobami zakręt korytarza.

Spotkali Devlina, który natychmiast zajął się Louise. Loman złapał Huntera.

No i dobrze, pomyślał zadowolony. Mamy wszystkich bojowników o czystość środowiska. Reszta pójdzie jak po maśle.

Wysłali Louise i Huntera tą samą drogą co Bogote i Wonga, potem ukryli się w pokoju Lomana w szafie na ubrania.

Bo usłyszeli, że nadchodzi ten nieznośny Marco z jakąś kobietą.

Indra i Marco zostali zatrzymani w drzwiach na końcu korytarza.

- Drzwi prowadzą do najstarszej części hotelu - ostrzegł Marco. - Jest ona przeznaczona do rozbiórki, nie wolno tam wchodzić, to może być niebezpieczne.

Indra jednak nigdy się specjalnie nie przejmowała zakazami. Ujęła teraz klamkę.

- Przecież powinny być zamknięte na klucz - powiedziała zdumiona.

Marco podszedł i popchnął. Drzwi się otworzyły, buchnął im w twarze zatęchły piwniczny odór.

- O rany! - mruknęła Indra.

Miała po temu wszelkie powody. Wewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności, wszystko wskazywało na to, że piwnica jest bardzo głęboka i że pod używaną do niedawna piwnicą jest jeszcze jedna głęboka jama. Po prostu otchłań.

- A czworo naszych zniknęło - szepnął Marco. - ; Dobry Boże, oni musieli ich tutaj wrzucić. Biedacy nie mieli najmniejszej szansy...

W tej samej chwili usłyszeli wołanie z dołu, z dużego salonu w nowej części hotelu. To głos Sol, dziwnie radosny...

- Marco! Indra, wszyscy inni! Chodźcie tu zaraz!

Zamknęli drzwi i zawrócili. Biegli korytarzem z mieszanymi uczuciami. Lęk, niepokój o los tam - tych czworga, ciekawość, co Sol ma do powiedzenia.

Inni też biegli do pięknego salonu i stawali jak wryci.

Bo w salonie siedziała Louise Carpentier w towarzystwie Bogote i Huntera, i Wonga, wszyscy uśmiechnięci.

- Co na...? - zaczęła Indra. - Myśleliśmy, że wrzucili was do piwnicy!

- Byliśmy w piwnicy, owszem - powiedział Hunter. - Ale duch Ognia zajął się Louise, duch Wody złapał Bogote, duch powietrza Wonga, a duch Ziemi mnie. I mogliśmy spacerkiem wrócić tutaj.

Zdumiona twarz Indry rozjaśniła się w radosnym uśmiechu.

W tym samym momencie do pokoju wszedł „de Castillo”.

- Słyszałem wołanie - oznajmił jowialnie. - Znalazłem mojego pomocnika Smitha, zresztą...

Umilkł nagle. Zarówno on, jak i towarzyszący mu ochroniarz, otworzyli gęby jak szeroko, widząc czworo „umarłych”.

Kiro zamknął za nimi drzwi. Ale Smith - Devlin, który domyślił się, że zostali ujawnieni, wymknął się innym wyjściem.

- A jemu co się stało? - zapytał Castillo - Loman jakby nigdy nic.

Kiro chciał biec za Devlinem, ale Sol powiedziała spokojnie:

- Niech leci, pozwól mu, i tak zostanie złapany.

W tej chwili większość z obecnych wiedziała już, co to oznacza.

Na chwilę zaległa cisza.

- Jak to dobrze, że wszystko w porządku - powiedział „de Castillo” wesoło. - W takim razie możemy kontynuować dyskusję na temat przyszłości świata.

Indra podeszła bliżej i przyglądała mu się uporczywie. Odsunął się, ale ona znowu się przysunęła.

- Co? O co chodzi? - wybuchnął w końcu zirytowany.

- Tak właśnie myślałam, że te oczy są zbyt ciemne i zbyt czyste jak na starszego człowieka - powiedziała Indra i szarpnęła mocno jego siwe włosy. Próbował odepchnąć jej rękę, ale ona nie ustępowała, więc włosy razem z łysiną zaczęły się powoli zsuwać. Pod peruką ukazały się czarne loki Jacka Lomana.

Ram i Kiro tymczasem złapali go za ręce. Indra spokojnie ściągała cieniutką maskę z oszusta. Była ona tak mocno przytwierdzona, że Indra zdołała odsłonić tylko część prawdziwej twarzy o południowych rysach. Zaniechała dalszych starań.

Na dziedzińcu startował helikopter.

- Oto ucieka twój ochroniarz - szydziła sobie Indra.

- Nie wyjdziecie stąd żywi! - ryknął Jack Loman. - Ja panuję nad całym światem, moi ludzie zaraz tu wrócą!

- Nie zrobią tego - zapewniła go Sol z uśmiechem. - Bo ja skropiłam ich eliksirem.

Oni już nie chcą mieć z tobą do czynienia.

Loman wysyczał jakieś przekleństwa przez zaciśnięte zęby, ale zwisająca w

strzępach maska czyniła go śmiesznym, o czym Indra natychmiast go poinformowała.

- Czy jemu i temu drugiemu też nie powinno się sprawić prysznic? - zapytał Kiro niepewnie.

Marco prychnął:

- Im? Szkoda zachodu, to by były stracone krople.

Ram zapytał:

- Gdzie jest prawdziwy de Castillo?

Loman rzucił mu wściekłe spojrzenie, król gang - sterów wyrwał się z wściekłością i pobiegł ku drzwiom. W biegu ściągnął z siebie grubą kurtkę, żeby odzyskać swobodę ruchów. Stał się po tym znacz - nie szczuplejszy.

Nikt go nie zatrzymywał. Za oknem widać było cień odlatującego helikoptera, słyszeli, jak Loman wrzeszczy do Devlina, ale tamten nie reagował. Helikopter był coraz dalej.

Ryk rozczarowania i wściekłości wyrwał się z piersi Lomana i zakłócił panującą w górach ciszę.

- Pozwolicie mu uciec? - zapytał Bogote.

- Nie, nie, zajmie się nim piąty duch Shiry - odparł Marco.

Znowu to. Piąty duch. Piąty żywioł.

Twarz Wonga się rozjaśniła.

- Ależ tak, oczywiście! W naszych dawnych wierzeniach było pięć żywiołów.

Ziemia, woda, ogień, powietrze i - kamień!

- Tak jest - uśmiechnął się Marco. - Tylko my nazywamy go trochę inaczej.

- Jak?

- Shama. On jest nie tylko duchem kamieni. Jest także duchem nagłej śmierci.

Czworo bojowników o czystość środowiska naturalnego popatrzyło po sobie i odetchnęło cicho, z drżeniem.

25

Bardzo dobrze cię widziałem, myślał Devlin ze złością. Ale teraz żegluj sobie po

własnym jeziorze, Jacku Lomanie, bo ja tam raz jeszcze nie wyląduję. Ci ludzie są niebezpieczni! Nienaturalni! Nic się ich nie ima.

Jeśli się jeszcze kiedyś spotkamy, Jack, to powiem, że cię nie widziałem, nie widziałem, że stoisz na dziedzińcu i wołasz. I wołania też nie słyszałem.

Devlin był dość zdezorientowany w obcej Norwegii i gnał na zachód. Zresztą wszystko jedno w którą stronę, myślał, byleby tylko jak najdalej od tych ludzi, czy kim oni są, bo naprawdę można się zastanawiać.

Krajobraz stawał się coraz bardziej dziki. To chyba niemożliwe, czyżby znalazł się na pustkowiach jeszcze większych niż wokół tego przeklętego hotelu? I co to w ogóle za kraj? Czy oni tu nie mają miast jak w innych cywilizowanych regionach? Daleko, bardzo daleko przed sobą zauważył mieniające się morze. Dobre i to, na wybrzeżach znajdują się zazwyczaj większe miasta.

Nie miał najmniejszego pojęcia, że znalazł się w Sogn. Inny człowiek dostrzegłby pewnie, że krajobraz w dole jest oślepiająco piękny, ale Devlin nigdy nie miał skłonności do takich zachwyków. Piękno to dla niego ładna dziewczyna i na tym koniec.

Roześmiał się sam do siebie. Ech, Jack, żebyś ty wiedział, jak posuwałem twoją starą. Ale powiem ci, że ona nic nie warta.

Ciekawe, co się stało z nią i z córką?

Nagle helikopterem zatrzęsło. Co to się dzieje? Oj, trzęsie, jakbym wpadł w trąbę powietrzną.

Bardzo się musiał namęczyć, żeby utrzymać maszynę w prawidłowym położeniu. Rzuciło ją jak liściem podczas wichury, a przecież tego dnia w ogóle nie było wiatru, absolutna cisza, widział drzewa w dole na zboczach, najmniejszego ruchu, ani jednego kręgu na wodzie, nad którą się teraz znajdował. Leciał nad wąskim fiordem o stromych brzegach.

A tu ciska nim jak w tańcu czarownicy. Kurczowo trzymał się fotela, nie bardzo wiedział, gdzie jest, nic prawie nie widział.

Nagle przeniknął go lodowaty strach - paliło się pod jego stopami!

Lądowisko! Jak najszybciej!

Ale nigdzie w okolicy nie było nawet spłachetka ziemi, na której mógłby wylądować. Tylko szczyty wzgórz, nie, to łańcuch górskich szczytów, które niemal pionowo schodziły do wody.

Płomienie otaczały go już ze wszystkich stron. Spadochron! Gdzie?

Tam! Mimo potwornego rzucania jakoś go na siebie włożył, krztusił się dymem, o mało się nie udławił, w kabinie było gorąco jak w piekle.

Devlin otworzył drzwi i wyskoczył. Helikopter natychmiast runął w dół, leciał w stronę cypla wyraźnie widocznego na tle błękitnego morza, potem wpadł w korkociąg i z hałasem rozpryskiwał wodę.

Devlin nic więcej nie widział, musiał się bardzo starać, żeby jakoś wyjść z opresji. Ku swemu przerażeniu odkrył, że zabrał ze sobą z helikoptera ogień, paliły mu się nogawki spodni, spadochron wprawdzie się otworzył, ale wszystkie wiązania, które Devlin miał na plecach, stały w płomieniach.

Wrzeszczał strasznie z przerażenia, tłukł rękami, żeby ugasić ogień, nie mógł jednak odpiąć wiązań spadochronu, bo przecież by spadł.

Wszystkie linki już się zajęły, jeśli się przepalą, on runie prosto w dół, i nie spadnie do wody, tylko na te strome góry.

Rozpaczliwie starał się jakoś skierować spadochron ku morzu, w stronę wody.

Znajdował się nad odnogą fiordu, okolica była zupełnie bezludna, bo kto by mieszkał na takich skalach?

Tymczasem znalazł się już bardzo nisko, może mimo wszystko się uratuje? Tak, bo czyż zawsze nie powtarzał, że jego nic nie złamie, że jest nieśmiertelny?

Jakieś osypisko kamieni tuż pod nim. Musi odsunąć się dalej, nie może na tym wylądować! Żeby tak usiąść na wodzie, blisko brzegu, to byłby uratowany.

Czuł, że ma na siedzeniu rozległe oparzenia, potwornie go to bolało! Wody, teraz, rozkosznie zimnej wody! Och, proszę!

Ale nie, spadochron nie chciał tego samego co on, prąd powietrza znosił go akurat tam, gdzie nie powinien. I wtedy przepaliła się jedna linka.

Devlin runął w dół, na łeb, na szyję, uderzył głową w kamienne rumowisko i zaczął się czołgać ku wodzie, do ust dostało mu się mnóstwo ziemi i kamyków, ziemia w nosie i w oczach, nie był w stanie oddychać...

Nareszcie! Błogosławiona woda! Wczołgał się do niej cały. Płomienie gasły z sykiem, Devlin starał się wypluć ziemię, ale zsuwała się bardzo głęboko do gardła...

A spadochron ciągnął go w dół. Tonał, ciężki, jakby był z ołowiu, Devlin próbował się od niego uwolnić, ale wszystko stawiało mu opór.

Opadał i opadał, i nigdy nie wypłynął na powierzchnię.

Duchy czterech żywiołów zemściły się za wszystkich tych ludzi, którym odebrał życie.

26

Jack Loman rozglądał się wokół z desperacją we wzroku.

Devlin zostawił go i uciekł! Jak on się ważył? Przecież widział Jacka, a po prostu wystartował i odleciał.

No, dostanie za swoje, kiedy się spotkają! Oj, ale dostanie!

Czy w tym hotelu nie mają samochodów? Loman nie widział ani jednego, a nie miał czasu, żeby biegać i szukać. Bo może tamci się rozmyślą i postanowią go złapać?

Dlaczego pozwolili mu odejść? On na ich miejscu nigdy by nie pozwolił.

Szybko, uciekać stąd jak najszybciej! No bo w jaki sposób tych czworo w piwnicy przeżyło? Bez najmniejszego draśnięcia?

W tym domu nic nie dzieje się tak, jak powinno. To naprawdę jakieś szaleństwo.

Uciekać stąd, dopóki jeszcze ma jakąś szansę! Ale iść piechotą przez te pustkowia?

Tam! Rower chłopaka! Lata minęły od czasu, gdy Loman ostatnio jeździł na rowerze, ale powiadają, że jak kto raz się tego nauczy, to...

Było trudniej, niż przypuszczał, mimo to jednak w wielkim pędzie wypadł z dziedzińca na drogę.

Loman też nie był wrażliwy na piękno natury. Nie widział ani łagodnych linii wzniesień, ani skalnych rumowisk i uskoków, ani licznych szczytów wokół jeziora. Dostrzegał jedynie strome zbocza, na które musiał się dostać, kamienistą drogę i zimne niebo. Śnieg na szczytach i w rozpadlinach, do których nie dotarła jeszcze wiosna.

Uff, jakie to okropnie męczące, dyszał jak paro - wóz, chociaż znajdował się dopiero na początku zbocza.

Przeklęty Devlin! Siedzi sobie teraz wygodnie w bezpiecznym helikopterze, podczas gdy jego szef, władca świata, męczy się na obrzydliwym siodelku roweru, które go gniecie w najbardziej wrażliwe miejsca.

Zsiadł z roweru. Nie porzucił go jednak, bo wedle wszelkich praw natury musi przecież w końcu być też z górki. Chociaż starego grata trudno było za sobą ciągnąć.

Nagle Loman przystanął.

Co to, do diabła, tam jest?

Serce zaczęło mu walić jak młotem. Ktoś czy coś stało na szczycie wzgórza i czekało na niego. Coś ogromnego, dziwnie szarego i nagiego, tylko z opaską na biodrach w tym wiosennym chłodzie. Była to ludzka postać, ale mimo to tak nieludzka, że Loman o mało nie narobił w spodnie. Nikt by i tak tego nie zobaczył, bo ten tutaj był...

Jak koszmar z piekielnej otchłani.

Całkiem łysy, okrągła czaszka, z grymasem, który miał chyba uchodzić za uśmiech, ale to nie był dobry uśmiech.

Szary niczym kamień. I w końcu się poruszył. Szedł teraz wolno Lomanowi na spotkanie.

Ten wpatrywał się jak urzeczony w zjawę, nie pomyślał, że powinien uciekać albo może wrócić rowerem do hotelu, miałby nareszcie z górki. Ale on po prostu patrzył i patrzył na te osobliwe, jakby toczące się ruchy, kiedy straszliwa istota szła. Jakby członki nie były ze sobą połączone.

Teraz był już tak blisko, że Loman widział oczy. Czarne jak węgiel z zielonymi, tańczącymi płomykami.

- No, Jacku Loman, jak to sam o sobie mówisz. Jak się teraz czujesz?

Ta istota mówi! Jakimś pełnym ironii, zaczepnym głosem, syczącym niczym zimny wiatr.

- Ja... Ja...

- Czyżbyś utracił swój wyjątkowy dar mowy, Loman?

W końcu zdołał się pozbierać.

- Przepuść mnie, w imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego!

- Wielkie słowa padają z twoich ust! Ale chyba nie jesteś do nich za bardzo przyzwyczajony, prawda? Jeśli myślisz, że jestem istotą z piekielnych otchłani, którą przepędzisz za pomocą bożego imienia, to się mylisz. Ja należę do okrutnej rzeczywistości. Jestem Shama. Śmierć.

Powietrze uszło z płuc Jacka Lomana.

- Nie - jęknął. - Nie mam czasu na takie głupstwa. Przepuść mnie!

- A to dlaczego?

Słowa pojawiły się nie wiadomo skąd.

- Bo ja mam zostać władcą świata.

- Jak to? Nikt przecież nie zna twego imienia.

- Cóż znaczy imię?

- Wszystko. Nie możesz przecież być znany pod imieniem „Ten - który - ukrywał - się - przed - światem - i - myślał - że - nim - rządzi”.

- Ale tak było.

- Niedokładnie. A poza tym nazwisko Jack Loman nie jest twoje. Ukradłeś je jednemu z tysięcy tych, którym odebrałeś życie.

- Żeby dotrzeć do celu, trzeba czasem kogoś poświęcić.

Uśmiech Shamy wyrażał teraz obrzydzenie. Loman sam słyszał, jak fałszywie zabrzmiały jego słowa, ale wszystko, co mówił, wypływało po prostu z jego ust, lecz jakby poza jego wolą, to nie on tym kierował.

Może to prawda chciała się wydostać na światło dzienne?

- Nie możesz mi odebrać marzenia mego życia - słyszał własne słowa. - Bo ja jestem największy, najlepszy, ja jestem niepokonany!

Znowu głupstwo! Powinien być pokorny, no ale to by było kłamstwo, to przynajmniej rozumiał.

- Już teraz panuję nad wieloma krajami.

- A kto o tym wie? Kto ciebie kocha?

- Kocha? - prychnął Loman. - Takie rzeczy to się robi z kobietami w łóżku. Władza! Oto co się liczy!

- Wspinałeś się. Ale teraz koniec wspinaczki. Teraz droga wiedzie w dół.

- Nie, nieprawda! Mogę przecież wspiąć się jeszcze wyżej, zawładnąć Universum! Shama wolno pokręcił głową.

- Właśnie spotkałeś kogoś, kto niemal to osiągnął, ale nie musiał iść po trupach. Jest od ciebie lepszy.

- Nienawidzę go! Nienawidzę!

Sam słyszał, że zachowuje się jak mały chłopiec, który tupie ze złości nogami, ale nie był w stanie powstrzymać następnych słów:

- Ja go zamorduję! Zajmę jego miejsce!

- Nie jesteś wart lizać jego butów. Jesteś tylko pospolitym geszefciarzem. Brzydzą się tobą. I znam twoją aktualną słabość. Pewna kobieta uczyniła cię bardzo wrażliwym.

- Tak. Ale ja ją odnajdę! Będę ją torturował!

- Ona się znajduje poza twoim zasięgiem, jest nieosiągalna.

- Cała ziemia jest otoczona siatką oddanych mi ludzi. Oni ją znajdują.

- Została ci tylko garstka. Reszta nawdychała się czyniącego dobro eliksiru.

Odwrócili się od ciebie.

- Nie! - ryknął Loman. - To się nie mogło stać! Nie mogło!

Shama westchnął obojętnie.

- A teraz zabieraj się stąd! Nie, nie na tym rowerze, uciekaj ode mnie, daję ci

szansę. Ale w tym swoim okaleczonym miejscu poczujesz szarpnięcie bólu za każdego człowieka, którego pozbawiłeś życia.

- Och, nie, bądź miłosierny!

- Nagła śmierć nigdy nie bywa miłosierna. Jeśli dobiegniesz do wsi, zanim cię złapię, będziesz wolny.

Loman spoglądał na niego zdumiony.

- Jak to? Dajesz mi wolność?

- Tego nie mówiłem. Powiedziałem: jeśli dojdiesz do wsi...

Człowiek, który nazywał się Jack Loman, zaczął biec. Gdy tylko się ruszył, czuł nieznośny ból w podbrzuszu. Zginał się wpół, potem prostował i biegł dalej. A za sobą słyszał ciężkie, nieubłagane kroki.

Potworny ból, Loman stwierdził, że za chwilę straci przytomność, ból narastał. Z każdym krokiem było gorzej, bo kroki za nim też przyspieszały.

W końcu musiał się zatrzymać. Miał mdłości, słyszał zbliżające się kroki, powlókł się - więc dalej.

Krzyczał okropnie, ale nikt go nie słyszał na tych pustkowiach.

Po chwili zaczął błagać głośno:

- Pozwól mi umrzeć! Teraz! Nie zniosę już więcej!

- Nie - powiedział Shama, który znajdował się tuż za nim. - Jest jeszcze wiele tysięcy nieszczęść, które sprowadziłeś na innych. Ruszaj!

Pokładanie się na ziemi też nie pomogło. Shama szturchał go boleśnie i kazał wstawać.

I znowu zaczynał się ten niemiłosierny marsz.

Dotarli do skraju zagajnika, gdy Shama nareszcie przestał go dręczyć. Ale też wtedy Loman już od dawna czołgał się na czworakach, padał, musiał się podnosić i wlec się dalej. W końcu pełzł już tylko na brzuchu. Wielokrotnie musiał tracić przytomność, bo bóle były takie nieznośne. Shama jednak go cucił, żeby odczuwał każdy skurcz.

Teraz położył się na plecach i wykrztusił:

- Co... co stanie się... potem?

- Będziesz kwiatem w moim czarnym ogrodzie - powiedział Shama zadowolony. -
W Ogrodzie Śmierci.

Całe zgromadzenie stało na dziedzińcu, kiedy Shama wrócił do hotelu.

Teraz nic już nie mogło zadziwić mieszkańców Ziemi, zwłaszcza, że widzieli
Shamę z daleka i byli przygotowani.

- No? - zapytał Marco.

- Jest skończony - odparł Shama. - Jego imperium się rozpada.

- Tak, słyszeliśmy. Najbliższy współpracownik, niejaki Ross, chciał podobno
przejąć kierowanie całą mafią światową, ale nasze gondole dotarły już bardzo
daleko w swojej krucjacie. Sam Ross w chwili słabości nie włożył na twarz maski i
stał się sympatyczny, jak to określają Indra i Sol. Zresztą i tak był o włos lepszy
niż ci dwaj, których mieliśmy okazję poznać. Wciąż jednak pozostały wielkie
połącze świata, w których pleni się zło.

- I dostaliśmy wiadomości o losie prawdziwego de Castillo - wtrącił Ram. - Obaj ze
Smithem zostali znalezieni w bardzo nieciekawym stanie, ale żywi. Znajdują się
teraz w Oslo pod dobrą opieką. A z nimi ci dwaj, którzy mieli ich spotkać na
lotnisku.

- Znakomicie!

- Dzięki za pomoc - powiedział Marco.

- Być na wasze usługi, to prawdziwa przyjemność - odparł Shama uprzejmie i
zniknął.

Przyjemność, inni może nie użyliby akurat tego słowa...

Zerwał się chłodny wiatr, zapadał wieczór, zebra - ni weszli do domu.

- Odezwali się może inni? - zapytała Indra w drzwiach.

- Tak. Nataniel i Ellen wrócili do Królestwa Światła - odpowiedział Ram. - Uriel i
Taran też skończyli.

- Jori i Sassa też, i na dodatek w końcu odnaleźli się nawzajem - powiedziała Sol

z romantycznym westchnieniem i rozsiadła się wygodnie w fotelu. Sprowadzono Nellie, która w końcu mogła przestać się bać.

W oczach Indry pojawiły się ciepłe błyski.

- Jeśli się nie mylę - powiedziała - to i Jaskari znalazł wreszcie miłość swego życia.

- Masz na myśli Alteę? Tak, to możliwe.

Miały rację, choć sam Jaskari jeszcze o tym nie wiedział. Nie przeczuwał, że ta miłość przetrwa i z latami będzie coraz głębsza.

Marco miał bardzo poważną minę.

- Martwię się o pozostałych - wyznał. - Słyszałem, że któreś z nich ma problemy.

Indra zaczęła się zastanawiać. Czy chodzi o Dolga i Lilję? A może o Móriego, Berengarię i Gorama? Armas też jest jeszcze gdzieś na Ziemi, nie pamiętała gdzie ani z kim. A może to właśnie Dolg i Lilja mieli z nim pracować?

- No, w każdym razie nie muszą się zmagać z mafią, z korupcją, bo akurat to udało nam się wyrwać z korzeniami.

- Nie, to nie chodzi o mafię - zapewnił Marco.